www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 39 (1029)
23-29.09.2019
Cena 6,80 zł
(w tym 8% VAT)

DR HAB. PRZEMYSŁAW SADURA
DO WŁADZY DOCHODZĄ CYNICY

10 TYS. MATEK NASTOLATEK
KIEDY DZIECI RODZĄ DZIECI

JOLANTA BANACH
SPRAWIEDLIWE PODATKI

MAGDALENA GAJDA
OTYŁOŚĆ – CHOROBA JAK KAŻDA INNA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
39 >
9 771509 311904

Monika Jaruzelska

KANDYDUJĘ, BO...

eprasa.pl 4b09e5477c

BROADWAY EXCLUSIVE

najpiękniejsze przeboje musicalowe

rampa
TEATR ROKU 2018

JAKUB WOCIAL - IDEA, SCENARIUSZ • **JAN STOKŁOSA** - KIEROWNICTWO MUZYCZNE I ARANŻACJE • **SANTIAGO BELLO** - CHOREOGRAFIA

SOLIŚCI: **JAKUB WOCIAL • PAULINA JANCZAK • DOROTA OSIŃSKA • NATALIA PIOTROWSKA-PACIOREK • MACIEJ PAWLAK**

eprasa.pl 4b09e5477c

CYTATY

JANUSZ GAJOS,
aktor
Myśl o zakończeniu pracy jeszcze mi nie doskwiera.
„Tygodnik Powszechny"

JERZY BACZYŃSKI,
redaktor naczelny
Obiecane „państwo dobrobytu PiS" jawi się jako coś pomiędzy Polnische Wirtschaft i Polish Jokes.
„Polityka"

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,
Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW
Tyle władzy (PiS) po to, by stworzyć po raz kolejny skansen nad Wisłą.
„Dziennik Gazeta Prawna"

ZYGMUNT FRANKIEWICZ,
prezydent Gliwic, prezes Związku Miast Polskich
Elementarna przyzwoitość wymaga, by decyzje rządu dotyczyły jego własnych dochodów.
„Rzeczpospolita"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Nie wysłali nawet wieńca

75. rocznica wyzwolenia Pragi wypadła w piękny wrześniowy dzień. Ciekaw byłem, kto pamięta o dniach chwały polskiego wojska. Niestety, był to też dzień hańby ludzi rządzących Polską. Poza panią burmistrz Pragi Północ i przewodniczącym rady dzielnicy nie przyszedł nikt z władz państwowych.

Gdy wśród kilkudziesięciu osób, przeważnie wojskowych, stałem przed pomnikiem Kościuszkowców na praskim brzegu Wisły, z dumą myślałem o żołnierzach 1. Armii Wojska Polskiego, którzy po krwawej bitwie w dniach 10-15 września 1944 r. wyzwolili prawobrzeżną część Warszawy. 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki straciła w bojach o Warszawę 1792 żołnierzy i oficerów. Za wolność, którą przynieśli rodakom, zapłacili najwyższą cenę. Byli młodzi. Z pewnością chcieli żyć. Mieli swoje plany i marzenia. Przyszli ze wschodu, bo nie mieli wpływu na to, gdzie rzuciła ich najkrwawsza wojenna zawierucha.

Wiedzieli, że każdy kolejny dzień niemieckiej okupacji to wiele ofiar śmiertelnych. Widzieli płonącą powstańczą Warszawę. Z rozkazu gen. Berlinga próbowali się przebić na Czerniaków. W najcięższych walkach, jakie były toczone w czasie powstania, poległo, zaginęło i zostało rannych 2276 żołnierzy. Niewielu kościuszkowców tę bitwę przeżyło.

Dla każdego uczciwego Polaka jest więc oczywiste, że po wieczne czasy należy im się nasza wdzięczność. Niestety, mamy władzę, która nie tylko dzieli żywych, ale też dobrała się do poległych. Władzę, która pisze naszą historię na opak. Bezczelnym kłamcom przypominam przestrogę prof. Łagowskiego. Fałszywa historia zawsze rodzi błędną politykę. Prędzej niż PiS myśli, fałszerze usłyszą „sprawdzam". Prawda o bohaterach i prawda o nikczemnikach, którzy odbierają im honor, musi wygrać. Bo jeśli przyjmiemy taką wersję niby-historii, którą głoszą politycy PiS z Dudą, Morawieckim i Błaszczakiem na czele, to znaczy, że tracimy instynkt narodowy. Że kompletnie zatarły się granice między prawdą a fałszem. Że głupcy mogą być nauczycielami i przewodnikami narodu.

Owszem, na krótką metę taki stan, w którym rządzą mściwi i bezmyślni, może się zdarzyć. Ale społeczeństwa płacą później straszną cenę.

Los Polski w 1939 r. zależał właśnie od takich polityków jak dzisiejsza ekipa. Widzę między nimi coraz więcej podobieństw. Bardzo z siebie zadowolony prezydent. I premier, który jest gotów powiedzieć wszystko, byleby go prezes nie odwołał. A tam, gdzie powinni być 16 września, nie wysłali nawet wieńca.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 4b09e5477c

W NUMERZE

KRAJ

8 **Kandyduję, bo…**
– rozmowa z Moniką Jaruzelską

14 **Szwindel z promocją**
PFN marnuje publiczne pieniądze

17 **Cyniczny lud... to kupi**
– rozmowa z dr. hab. Przemysławem Sadurą

20 **Utrącony ręką prezesa**
Olsztyńskie zagrania Kaczyńskiego

22 **10 tysięcy matek nastolatek**
Kiedy dziecko rodzi dziecko

26 **Sam na sam z autyzmem**
40 tysięcy dzieci cierpi na autyzm

36 **Bursztynowy mroczny szlak**
Przemyt na wielką skalę

38 **Sprawiedliwe podatki**
– rozmowa z Jolantą Banach

ZAGRANICA

30 **Pieniądze jak pomost**
Walka z biedą za pomocą transferów

32 **Niemieckie ofiary krwawego rytuału**
Korespondencja z Berlina

HISTORIA

40 **Niedołężni dowódcy. Oddziały na papierze**
Raport płk. Rzepeckiego

KULTURA

44 **Igranie z wiarą jest jak igranie z ogniem**
– rozmowa z Janem Komasą i Mateuszem Pacewiczem

48 **Qulturalia**

66 **Jan Lebenstein. Capriccia**

OPINIE

50 **Adam Jaśkow**
30 lat polskiej kontrreformacji

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

53 **Czy budżet na 2020 r. jest na miarę krajowych wyzwań?**

ZDROWIE

54 **Otyłość – choroba jak każda inna**
– rozmowa z Magdaleną Gajdą

OBSERWACJE

58 **Edukacja braci**
Życie intymne w Omanie

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Nie wysłali nawet wieńca

13 **Roman Kurkiewicz**
Konformizmu Polaków portret

35 **Tomasz Jastrun**
Życie w pudłach

47 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Kobziarz

57 **Edward Mikołajczyk**
Trampowisko

14
KRAJ

SZWINDEL Z PROMOCJĄ
PFN marnuje publiczne pieniądze

30
ZAGRANICA

PIENIĄDZE JAK POMOST
Walka z biedą za pomocą transferów

58
OBSERWACJE

EDUKACJA BRACI
Życie intymne w Omanie

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4b09e5477c

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Zofia Leszczyńska-Niziołek
Czy każdego grzyba można polizać

Coraz więcej tętniaków, coraz lepsze metody leczenia

Ludwik Stomma
Wyklęci, przeklęci, ogłupiali

Przebrany za Ślązaka

W ramce w tekście „Operacja »Ślązak Morawiecki«" (PRZEGLĄD nr 38) w wykazie podróży premiera po Górnym Śląsku zostały podane wizyty w Częstochowie i w Dąbrowie Górniczej. Oba te miasta znalazły się w województwie śląskim, ale nie leżą na Górnym Śląsku. Mieliśmy nawet kiedyś takie powiedzenie „Rządowa bzdura – wśród kopalni Jasna Góra".

Prawdziwy Ślązak

Chorwaci nas wyprzedzili

W tekście „Wrzuć butelkę" (PRZEGLĄD nr 33) pani Dorota Bartosewicz trochę przeceniła polską innowacyjność, pisząc, że stawiane u nas automaty są pierwszymi na świecie przyjmującymi trzy różne rodzaje opakowań. Właśnie wróciłem z Chorwacji, gdzie takie urządzenia stoją i najwyraźniej nie są nowością. Przyjmują szklane butelki po piwie i winie, butelki plastikowe i puszki.

Marek Suchoń

Czy jesteśmy bezradni wobec hejtu

Nie jesteśmy bezradni. Wystarczy wobec wydawców mediów internetowych stosować prawo prasowe, tak jak wobec wydawców tradycyjnych. Tymczasem Twitter, YouTube czy Facebook zarabiają niemałe pieniądze na publikowaniu różnych ohydnych treści, nie ponosząc z tego tytułu najmniejszej odpowiedzialności. A ponieważ im mocniejszy hejt, tym więcej ma odsłon i tym więcej wydawca zarabia pieniędzy, treści te nie tylko nie są usuwane, ale nawet bywają promowane. To nie jest wolność słowa, to jest wolność zarabiania kosztem społeczeństwa.

Zdzisław Nowak

•

Najlepszy sposób na walkę z hejtem to zacząć od siebie i najpierw się zastanowić kilka razy, zanim umieści się jakiś komentarz w przestrzeni publicznej.

Mateusz Jakubowicz

Kraj pustych kościołów

Pisząc o tym, że w Holandii pustoszeją kościoły (PRZEGLĄD nr 36), warto zadać sobie pytanie, dlaczego jest ich tak wiele. Otóż od XVI do XIX w. nie można tam było budować katolickich świątyń. Były gdzieś poukrywane. Kiedy w XIX w. ten zakaz został zniesiony, pod koniec tego stulecia zaczęto błyskawicznie budować kościoły, często neogotyckie. Już 50 lat później było ich za dużo. W każdym razie wolę, jak kościoły są przerabiane na biblioteki niż na dyskoteki.

Natalia Kunikowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

„Łupaszka" bohaterem nie dla wszystkich mieszkańców Podlasia. Zniszczona tablica z nazwą ulicy w Białymstoku.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 4b09e5477c

Sędzia Anna Bator-Ciesielska z Sądu Okręgowego w Warszawie odmówiła współpracy z sędziami zamieszanymi w aferę hejterską.

Według raportu „Atrakcyjność inwestycyjna Europy 2019” Polska w zeszłym roku awansowała na szóste miejsce. Liderami są Wielka Brytania, Francja i Niemcy. W 2018 r. inwestorzy zagraniczni zakończyli u nas 272 projekty.

676 mln euro otrzyma Polska z unijnego budżetu na poprawę infrastruktury kolejowej i drogowej. Program rozpocznie się w 2023 r. i obejmie **14 tys. km linii kolejowych.**

Muzeum Okręgowe w Toruniu otrzymało prestiżowy tytuł „Modernizacja Roku 2018” w kategorii Obiekty Zabytkowe za **modernizację Domu Mikołaja Kopernika.**

Olga Hund, autorka książki „Psy ras drobnych”, otrzymała **Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza** za debiut.

Arkadiusz Nowiński, prezes Volvo Car Poland, został szefem Volvo Car na kolejne 66 krajów Europy, Bliskiego Wschodu i Afryki.

W budowie jachtów o długości 6-9 m jesteśmy potęgą światową. Z produkcją 22 tys. rocznie jesteśmy drudzy po USA.

Według Państwowego Instytutu Higieny aż 400 tys. Polaków choruje na migrenę przewlekłą.

Bolesław z dochodem 2211 zł na mieszkańca jest najbiedniejszą gminą w Polsce. Tuż za nim jest Jasło (2242 zł) i Wysokie Mazowieckie (2251 zł).

Abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski, i **Jan Kosiorowski, dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie,** budują kaplicę w sercu Puszczy Niepołomickiej. **Dla ich zachcianki wycinane są hektary starych drzew.**

Internetowy sklep Morele.net został ukarany za nienależytą ochronę danych osobowych ponad 2,2 mln klientów. Decyzją Urzędu Ochrony Danych Osobowych spółka musi zapłacić 2,8 mln zł kary.

Ks. Henryk Pyka, były proboszcz parafii w Ponikwi (woj. małopolskie) **odwołany za obrażanie i poniżanie wiernych oraz terroryzowanie dzieci na lekcjach religii,** nie chce opuścić plebanii. W czasie pikiety protestujących mieszkańców wsi księdza ochraniało sześć radiowozów policji.

Program I Polskiego Radia bije rekordy spadku słuchalności. Po tym jak na antenie zaczęli występować Magdalena **Ogórek i Grzegorz Jankowski** („Fakt” i Polsat), ze stacją pożegnała się kolejna grupa słuchaczy.

PRZEBŁYSKI

Dziadek Cenckiewicza zlustrowany przez Giertycha

Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Chociaż Sławomira Cenckiewicza trudno zaliczyć do tego pięknego gatunku. Sądząc po jego obyczajach, bliżej mu do hieny. Przebrany za rycerza z wypraw krzyżowych walił przeciwników na odlew. No i doczekał się tego samego. Paskudny atak na Jędrzeja Giertycha sprowokował jego wnuka, Romana, do przypomnienia, że Mieczysław Cenckiewicz, dziadek Sławomira, był „zbrodniarzem i kanalią, trudniącą się torturowaniem i zabijaniem ludzi za poglądy”. Nie oceniamy ludzi po życiorysach rodziny. Ale dla Cenckiewicza robimy wyjątek.

Na ratunek Napieralskiemu

Polityk, któremu kończy się życie na koszt podatników, zawsze może liczyć na ustawkę w „Super Expressie”. Ustawka to taki cud medialny najczęściej przydarzający się właśnie temu tabloidowi. Tym razem jego ekipa, oczywiście całkowicie przypadkowo, ocieplała wizerunek Grzegorza Napieralskiego, senatora PO. Tego, który kiedyś przez parę minut rozdawał jabłka przed bramą stoczni. Teraz jabłka droższe, więc Napieralski zaprosił obchodzącą urodziny matkę na obiad. I wręczył jej kwiaty… w doniczce. Niestety, sondaże wyborcze nawet nie drgnęły. Poparcie dla Napieralskiego ciągle śladowe.

Na urodziny zabrał mamę do restauracji

Emilewicz w kosmosie

Ma czas na skoki spadochronowe. Jadwiga Emilewicz w objęciach zawodowego instruktora – taka pokazówka dla wyborców. W kampanii każdy trik jest dobry. Szkoda, że na kogucie nie poleciała na Księżyc. Byłby światowy hicior. Dlaczego na Księżyc? Bo Polska Agencja Kosmiczna podlega właśnie minister Emilewicz. Pechowcy do kwadratu. Wszyscy przecież wiedzą, że jak się Emilewicz uprze, to i z koguta zrobi prezesa PAK. A co! Uparła się, że będzie nim Michał Szaniawski – i jest! No, prawie jest. Choć nie ma odpowiedniego wykształcenia ani nawet minimalnego czteroletniego stażu pracy. Ale coś ma! Bezgraniczne poparcie Emilewicz.

Na pastwiskach „dobrej zmiany”

Oj, dzieje się, dzieje na pisowskich pastwiskach. Żerowiska to bogate, bo pieniądz płynie jak ścieki do Wisły. Ale ile by Sakiewiczowi spółki skarbu państwa wpompowały kasy i tak szeregowi żołnierze „Gazety Polskiej”, organu… Macierewicza, dostają ochłapy. I to z opóźnieniem. Nic dziwnego, że nastroje w organie fatalne. A najbardziej ludzi wkurza dobrostan Sakiewicza i jego dworu. I to, że ta ekipa nawet nie ukrywa, gdzie ma pisowskich wyrobników. Prawdziwe paniska. Mocno przekarmione. Modelowi kandydaci na dietę wege. Po wyborach.

FOT. YOUTUBE, ARCHIWUM, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 4b09e5477c

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak mądrze wspierać akcję „Sprzątanie świata”?

SŁAWEK BRZÓZEK,
Fundacja Nasza Ziemia – organizator akcji

Przede wszystkim pamiętajmy, aby nie śmiecić. Nie tylko nie rzucajmy wokół siebie tego, co uważamy za śmieci, ale również zdobądźmy się na chwilę refleksji, jak na co dzień ograniczać powstawanie odpadów. Przykładowo nie kupujmy niepotrzebnych rzeczy czy zbyt dużych ilości jedzenia, w czym pomaga robienie list zakupów. Warto też nie brać zbędnych opakowań; własna torba na zakupy w dużym stopniu rozwiązuje problem śmieci. Warto wreszcie wychodzić z domu i sprzątać wokół siebie w trzeci weekend września. To działanie symboliczne, ale bardzo potrzebne. Dobrze widoczne akcje, w których uczestniczy cała społeczność, dają nam siłę, żeby nie śmiecić i żeby sprzątać, a także podkreślają wagę problemu. Bo jeśli uważamy, że wokół nas jest brudno i dobrze by było, aby ludzie nie śmiecili, ale nie pokazujemy tego, to zmiana społeczna nie nastąpi.

JOANNA MIESZKOWICZ,
Fundacja Aeris Futuro

W akcje ekologiczne powinniśmy się angażować z myślą, by nie popełniać więcej tych samych błędów. Sprzątaniu powinna towarzyszyć refleksja, jak unikać wytwarzania odpadów, np. dzięki powstrzymywaniu się od kupowania produktów w opakowaniach, które nie ulegają rozkładowi. „Sprzątanie świata” uczy odpowiedzialnych nawyków, a jednocześnie zachęca do myślenia o źródłach problemów ekologicznych, takich jak nadmierna, bezrefleksyjna konsumpcja. Co więcej, akcję tę można wykorzystać do integracji społeczności lokalnych lub innych grup wokół wspólnego celu, jakim jest dbałość o piękno wybranego obszaru. Dodatkowym efektem takiego pobudzenia aktywności społecznej może być upowszechnienie się nawyku zgłaszania służbom porządkowym przypadków nielegalnego składowania odpadów. Sprzątając otoczenie, dajemy dobry przykład innym, a sami mamy satysfakcję, że zrobiliśmy coś dobrego dla planety i przyszłych pokoleń. Bo zmiany systemowe zaczynają się od małych kroków.

KONRAD MALEC,
edukator ekologiczny, Kultura i Natura

Sprawa jest beznadziejna. Zabrałem znajomych z amerykańsko-białorusko-polskiej rodziny na spacer po moich nadnarwiańskich okolicach. Tylko przy drodze, przy której mieszkam, widzieliśmy cztery muszle klozetowe, niestety ustawione na boku, pozbawione spłuczek i ścian zapewniających intymność. Polski model toalet wprawił moich gości w osłupienie. Jeszcze bardziej zdziwiła ich nasza wersja totemów. W okolicy niemal każde niższe drzewo na końcach gałązek owocuje butelkami i puszkami po piwie, paczkami po papierosach itp. Lasy i przydrożne rowy toną w śmieciach, zostawianych pospołu przez letników z Warszawy i miejscowych. Żaden szanujący się wędkarz nie zostawi po sobie nieoznakowanego terenu nad rzeką. Sprzątać? A po cholerę? Większość Polaków kocha śmieci, a reszta niech się dostosuje.

JAN BIŃCZYCKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Sprzątać świat także w dni nieobjęte akcją.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 4b09e5477c

Kandyduję, bo…

Życie nie jest ani lewicowe, ani prawicowe

Rozmawia Robert Walenciak

Kandyduje do Senatu z listy Komitetu Wyborczego Polska Lewica w okręgu wyborczym nr 43 (Warszawa).

Miała pani startować do parlamentu z list SLD! I co się stało?

– O nie! Znowu to pytanie!

Pytam, bo w tym szumie wciąż nie wiadomo, o co chodzi.

– Obiecano mi, że będę mogła startować. Potem zaczęły się piętrzyć przeszkody.

Jak to obiecano?

– Obiecał mi to szef SLD, Włodzimierz Czarzasty. Rozmawialiśmy o tym, ustaliliśmy, że będę startowała do Rady Warszawy, a potem do parlamentu. Kiedy więc zbliżały się wybory, próbowałam o tym porozmawiać z panem przewodniczącym. Ale to był etap, kiedy liczył na koalicję z PO i przesiadywał w przedpokoju u pana Grzegorza Schetyny.

W końcu jednak doszło do waszego spotkania.

– Wtedy pan Czarzasty powiedział mi, że Grzegorz Schetyna prawdopodobnie na moją kandydaturę się nie zgodzi, bo jest antykomunistą. Zrozumiałam, że jestem komunistką. Chociaż w przeciwieństwie do pana Czarzastego nigdy nie byłam w PZPR ani w Związku Młodzieży Socjalistycznej.

Bo tu o nazwisko chodzi… Niedługo będzie tak, że na mocy ustawy dekomunizacyjnej każą pani je zmienić.

– Być może. I następny etap był taki, że koalicji z PO nie będzie. Za to została zawiązana koalicja z Razem i z Wiosną. Wtedy warszawska rada SLD zarekomendowała moją kandydaturę, przegłosowała ją prawie jednogłośnie. Jej szef, Sebastian Wierzbicki, chciał ją wnieść na posiedzenie Rady Krajowej, ale wtedy usłyszał od przewodniczącego Czarzastego, żeby tego nie robił. Bo do trzeciego miejsca na liście ustali trzech tenorów, a reszta zostanie oddana strukturom. Czyli że mogłabym startować z miejsca piątego, siedemnastego itd.

Jak ktoś mi daje słowo, traktuję to poważnie

Uspokoiło to panią?

– Nie do końca, bo widziałam, jak traktowana jest Katarzyna Piekarska.

Rozmawiała z nią pani?

– Mówiła mi, jak była zwodzona, oszukiwana. Niczego jej nie proponowano, nie odbierano telefonów

eprasa.pl 4b09e5477c

od niej. Potem, kiedy odeszła do PO, zaczęto ją obrażać, nazywać kałużą. Widząc to, napisałam mejla do przewodniczącego Czarzastego, że po raz kolejny zgłaszam gotowość do startowania, nie musi to być pierwsze miejsce. I że czekam na konkretną odpowiedź. Tej odpowiedzi się nie doczekałam. Natomiast tydzień później, 12 sierpnia, przeczytałam, że rzeczniczka SLD powiedziała, że kandydatura Jaruzelskiej nie była rekomendowana ani do Sejmu, ani do Senatu. Uznałam, że to jest wiadomość oficjalna, że nie startuję.

Warszawskiej radzie SLD zabrakło siły przebicia?

– Byłam przez Sebastiana Wierzbickiego informowana na bieżąco, jak te sprawy się toczą. Najpierw było udawanie, że nie ma sprawy, że miejsce dla Jaruzelskiej się znajdzie. Takie zwodzenie, gra na czas. A chwilę potem już kategorycznie mówiono, że sprawa jest zamknięta. Tym razem dlatego, że przeciwni byli Biedroń i Zandberg, bo jestem konserwatywna i jestem przeciwko prawu do przerywania ciąży.

Najpierw komunistka, potem konserwatystka. To wszystko na poważnie czy było tylko pretekstem?

– Nie tak dawno otrzymałam od Roberta Biedronia SMS, że nie ma nic wspólnego z zablokowaniem mojej kandydatury. „Szanuję panią i uważam, że nie powinno być wrogów na lewicy, trzymam kciuki, pozdrawiam serdecznie", napisał. Z kolei w Wirtualnej Polsce występował pan Krzysztof Śmiszek, który potwierdził, że pan Biedroń absolutnie nie blokował mojej kandydatury. I że sprawa mojej osoby była w gestii władz SLD. Zapytałam więc Włodzimierza Czarzastego, jak było. Jak można się domyślić, odpowiedzi nie dostałam.

A jak było? Wie już pani?

– Wszystko było robione tak, żeby na liście warszawskiej znalazła się jak najwyżej pani Anna Maria Żukowska i żeby nie miała konkurencji. Dlatego Jaruzelskiej, Piekarskiej, Danuty Waniek na tę listę nie wpuszczono. Bo każda z nas by ją przeskoczyła. Pani Żukowska dostała w wyborach do Rady Warszawy w swoim okręgu 1 tys. głosów, ja – 8,5 tys. Proszę zwrócić uwagę, jak trudno się przebić do mediów kandydatom z listy warszawskiej, tym z dalszych miejsc. Dochodzą do mnie głosy, że są blokowani. Pan Zandberg przebija się sam, potem jest rzeczniczka. I koniec. Cisza.

Nie dziwi pani, że to wszystko jest tak robione, żeby na liście warszawskiej nikt nie zaszkodził pani Żukowskiej?

– Nie, nie dziwi. Rozumiem. Tylko tak być nie powinno.

Zostałam oszukana. Podjęłam więc walkę.

A zaskoczyło to panią?

– Nie. Miałam do Włodzimierza Czarzastego ograniczone zaufanie. Choć jak mi ktoś daje słowo, traktuję to poważnie. Wychowałam się w domu wojskowego, gdzie dane słowo to jest coś. Żałuję, że w dzisiejszych czasach słowo honoru nic nie znaczy. Można je wypisać na sztandarze i tyle. W tym wszystkim brakuje mi wiarygodności, godności osobistej. Nie wymagam chyba za dużo, mówiąc, że jak się da słowo, to przynajmniej powinno się wyjaśnić, dlaczego nie można go dotrzymać.

Co miał pani powiedzieć?

– No tak…

Ale to źle się skończy. Jest granica śmieszności. A chłop, któremu stuka sześćdziesiątka, nie powinien jej przekraczać.

– Proszę pana, dostaną się do Sejmu. Stołki zgarną. Pani Żukowska zostanie wicemarszałkiem Sejmu, tak jak jej pan Czarzasty obiecał. A że drugie miejsce na liście? Normalni ludzie nie zwracają na takie rzeczy uwagi. Jest lista Lewicy i głosują.

Nie musimy ciągle tkwić w duopolu PO-PiS!

Wszystkie ręce na pokład!

A pani z innej listy. Rozbija pani SLD.

– Warszawska rada SLD mnie poparła, więc to nie ja rozbijam. Ja zostałam oszukana. Zresztą coraz więcej się mówi, że nastąpiło wrogie przejęcie SLD. Przez Ordynacką i Ruch Palikota. A co do innej listy… Po 12 sierpnia, gdy usłyszałam, że nie ma mnie na listach SLD, myślałam, że to już koniec. I wtedy przyszła propozycja Jacka Zdrojewskiego, żebym startowała do Senatu z listy Polskiej Lewicy. Zastanawiałam się cały dzień. Mieliśmy tydzień na zebranie podpisów. Konkretnie – 2 tys. podpisów.

I zdecydowała pani: startuję!

– Przecież tylu ludzi mnie wsparło! Nawet gdy się przegra, to się przegra z honorem. Drzewa umierają, stojąc! Podjęłam walkę. Najpierw zebranie podpisów wydawało się zupełnie niemożliwe. Potem napięcie rosło, bo podpisów przybywało. Zbierały je środowiska wojskowe, zbierali działacze SLD. Zebraliśmy ponad 2,8 tys. 3 września wcześnie rano zanieśliśmy je do PKW i czekaliśmy na decyzję. Przyszła o godz. 19.20 – brakuje 160 głosów! Na tych odrzuconych albo jest zły PESEL, albo inne miejsce zamieszkania.

To koniec…

– Mieliśmy 10 minut na decyzję. Spróbujmy! Wrzuciliśmy na Facebooka wiadomość: potrzebujemy jeszcze ok. 150 podpisów, wszystkie ręce na pokład, czekamy na was pod PKW do 24.00. Pojechaliśmy pod PKW. Ludzie zaczęli przychodzić. Najpierw pojedynczo. Tylko żeby się podpisać. Potem przyjeżdżały osoby z listami poparcia. Jedna z pań pobudziła w Wawrze sąsiadów, przywiozła prawie 40 podpisów... Ludzie zaczęli się gromadzić. Pospolite ruszenie! Głosy podliczaliśmy na bieżąco. Zebraliśmy 460 z górką. Zanieśliśmy je do PKW, a gdy już były liczone, przypieczętowane, to jeszcze dwóch chłopaków weszło do środka, bo jeszcze przywieźli listę z podpisami. Dodatkowymi. Było to wzruszające, a jednocześnie krzepiące, że jest taki odzew na moją kandydaturę.

A nie myślała pani, że jeśli zabierze pani głosy kandydatce Koalicji Obywatelskiej, to wygra pisowiec?

– Nie uległam zaczynającemu się pojawiać szantażowi, że rozbijam pakt senacki. Bo ten pakt to fikcja. No i szantaż, bo zabrania kandydować innym, spoza tych dwóch partii. Zerwijmy z tym! Nie musimy ciągle tkwić w duopolu PO-PiS!

eprasa.pl 4b09e5477c

Pani z niego wypadła. SLD już pani nie wystawi.

– Jeżeli nic w SLD się nie zmieni, to ja w tym składzie nie będę chciała być wystawiana.

Czy ja jestem konserwatywna?

Myślę o tych rzekomych zarzutach Biedronia i Zandberga. Dlaczego jest pani konserwatywna?

– Czy ja jestem konserwatywna? Życie nie jest ani lewicowe, ani prawicowe. Jeżeli przychodzi do mnie syn albo przyjaciółka i mówi o jakimś swoim problemie, to najpierw staram się zrozumieć skalę tego problemu, jego przyczyny, a przede wszystkim, jak ten problem rozwiązać. Nie zastanawiam się, czy rozwiązanie jest lewicowe czy prawicowe, tylko czy jest skuteczne.

A jest pani za prawem do przerywania ciąży?

– Zawsze powtarzałam, że jestem za tym, żeby ustawę antyaborcyjną zliberalizować. Jestem za dopuszczeniem prawa do przerywania ciąży ze względów psychologicznych lub społecznych. Ale mówię też, że nie powinna się nazywać aborcją na życzenie. Że nie podobają mi się okładki: aborcja jest OK. Szanujmy drugą stronę, dla której jest to życie. Dla wielu kobiet ogromną tragedią jest poronienie na wczesnym etapie ciąży, więc mówienie im, że nic się nie stało, bo to wielkości miętówki… Nie wchodzę w te rozważania. Jestem niewierząca. W moim sumieniu nie ma kwestii religijnych.

16 września, w 75. rocznicę wyzwolenia Pragi, kwiaty pod pomnikiem Kościuszkowców złożyli Monika Jaruzelska – radna m.st. Warszawy, Katarzyna Piekarska oraz przewodniczący Rady Dzielnicy Praga-Północ Ireneusz Tondera.

Zarzucano też pani, że w Radzie Warszawy głosuje pani jak PiS. Jak pani tam się pracuje?

– Przypadła mi wdzięczna rola takiego trochę arbitra. I jestem jedną z niewielu osób uważnie słuchających obu stron, ich argumentów. I cóż… Żadna dyscyplina partyjna mnie nie obowiązuje, a nawet gdyby obowiązywała, głosowałabym tak, jak sama uważam i jak rozum mi podpowiada.

I jak to wychodzi?

– W sprawie bonifikat za wykup mieszkań głosowałam tak jak radni PiS. I nie dlatego, że oni tak głosowali, tylko ponieważ uważałam, że skoro przed wyborami została obiecana bonifikata w wysokości 98%, to po wyborach nie można jej zmniejszać o połowę! Trzeba zachować uczciwość. Kiedy głosowano nad podpisaniem deklaracji karty LGBT, wstrzymałam się od głosu. Ale nie dlatego, że jestem przeciwna gejom i lesbijkom, tylko dlatego, że została przerwana dyskusja. A ja chciałam zadać kilka pytań, dotyczących chociażby tego, jak to będzie wyglądało w rzeczywistości. Na ile będziemy tym osobom pomagać, a na ile jest to bicie piany, robienie szumu politycznego.

No i okazało się, że to było bicie piany.

– Na ostatnim posiedzeniu rady na pytanie, ile pieniędzy jest przeznaczonych do końca roku na tę sprawę, okazało się, że na cały 2019 r. nie były przeznaczone żadne środki finansowe na kartę LGBT.

Dyskutowaliście więc o fantomie, o rzeczy, która nie istnieje.

– Głosowaliśmy także nad uchwałą w sprawie katastrofalnej sytuacji klimatycznej. Głosowałam za nią, tak jak radni Koalicji, ale miałam również pytania, co ta uchwała ma do sytuacji w mieście, czy służy konkretnej sprawie, czy tylko temu, żeby sobie pokrzyczeć.

Żeby walczyć z suszą.

– A konkret wygląda tak: jest akcja milion drzew dla Warszawy, a ile mamy treegatorów? To są takie worki do nawadniania kropelkowego, one podlewają młode drzewa. Otóż mamy ich w Warszawie ok. 1,3 tys., na milion drzew… Słyszę, że miasto chce walczyć z suszą, więc powinno też walczyć z suszą fizjologiczną, którą mamy dlatego, że sypiemy zimą na ulice chlorek sodu. Który poza tym, że niszczy ulice, chodniki, samochody i zwierzęce łapy, przenika do gleby i powoduje umieranie drzew. Bo wszystko jest zasolone. Owszem, można przejść na chlorek magnezu, który jest co prawda droższy, ale du-

W Radzie Warszawy zmianę nazwy ulicy z 17 Stycznia na Komitetu Obrony Robotników PO i PiS przegłosowały ramię w ramię.

A jakie są?

– Zanim zostałam matką, miałam do kwestii aborcji takie podejście, że to zwyczajny zabieg. Kiedy jest się w ciąży, słyszy się bicie serca dziecka, widzi jego ruchy na USG, nie sposób nie czuć, że to jest jakiś zaczątek człowieka, który ma swoje DNA, który będzie miał swój kolor oczu, tembr głosu, jakieś cechy temperamentu i osobowości, które są zapisane w genach. Tylko że dla mnie to jest kwestia sumienia, a nie prawa. W związku z tym jestem za liberalizacją ustawy, ale jestem przeciwna mówieniu, że aborcja jest OK.

eprasa.pl 4b09e5477c

żo bardziej wydajny. Tyle że na razie miasto nie przechodzi. Mówmy więc o konkretach. Zwróćmy zresztą uwagę, jak się zmieniło to, co jest lewicowe i prawicowe, chociażby w sprawie ekologii. Kiedyś ci konserwatywni byli przeciwko postępowi, przeciwko industrializacji, za zachowaniem istniejącego dobrostanu. A postępowcy za przemysłem.

Wołali: miasto, masa, maszyna.

– Dziś to się odwróciło. Lewicowcy walczą ze zmianami klimatycznymi, z wycinaniem lasów.

Wojsko jest bezbronne wobec polityków

A ludzie w Radzie Warszawy?

– Sporów w Radzie Warszawy nie brakuje. Choć z drugiej strony są momenty, kiedy widzę, jak oni, ci z PiS i z PO, są podobni. Chociażby w takiej sprawie jak dekomunizacja ulicy 17 Stycznia. Decyzją sądu administracyjnego nazwa ta została przywrócona, ale prezydent Trzaskowski uznał, że trzeba ją zdekomunizować powtórnie. Razem ze środowiskiem wojskowych, ze Związkiem Żołnierzy Wojska Polskiego napisaliśmy list otwarty, apel do prezydenta miasta, ja napisałam interpelację w tej sprawie – odpowiedzi nie było. Mimo że przeciwni zmianie nazwy byli i mieszkańcy, i rada dzielnicy, w Radzie Warszawy zmiana nazwy z 17 Stycznia na Komitetu Obrony Robotników została przegłosowana przez PO i PiS ramię w ramię.

Z jakim przesłaniem idzie pani do wyborów? Większości osób zapewne kojarzy się pani z obroną praw żołnierzy.

– Z tym weszłam do polityki. Żebyśmy bronili się przed ustawą degradacyjną. Ona dopuszczała degradację nie tylko tych żołnierzy, którzy służyli przed rokiem 1989. Ona dopuszczała możliwość degradacji każdego żołnierza! Na zasadzie donosu, że sprzeniewierzył się wartościom moralnym. Minister mógł degradować od razu, nie licząc się z zasadą domniemania niewinności czy wysłuchania racji oskarżonego. W wojsku nie ma związków zawodowych, więc wojsko jest bezbronne wobec polityków. A po wprowadzeniu tej ustawy byłoby bezbronne jeszcze bardziej.

Pierwszym krokiem, który pokazał politykom, że służbami mundurowymi można poniewierać, była ustawa dezubekizacyjna.

– Przyjęto ją w roku 2009, czyli za rządów PO. Została uznana za zgodną z konstytucją przez Trybunał Konstytucyjny i podpisana przez prof. Rzeplińskiego. Od tego czasu się zaczęło – pokazywanie ludziom, którzy pracowali w Polsce Ludowej, że mają być za to ukarani.

Że można im zabrać środki do życia. Bo PiS drugą ustawą dezubekizacyjną zabrało tak samo, jak zabierała wcześniej PO, tylko więcej. Ale stosując ten sam mechanizm.

– To prawda, to jest ten sam mechanizm. Po roku 1989, może z wyłączeniem rządu Tadeusza Mazowieckiego i rządów SLD, wszystkie pozostałe zawsze pokazywały ludziom wywodzącym się z Polski Ludowej, że są tym gorszym sortem.

Dlatego pani chce ich bronić?

– To tylko jeden z elementów mojego programu, myślenia o wyborcach, których chciałabym reprezentować. Chciałabym również zwrócić uwagę na sprawy dotyczące kobiet.

To szeroki temat.

– Dużo mówimy o liberalizacji ustawy antyaborcyjnej. A ja bym dorzuciła jeszcze jedno – objęcie szczególną opieką kobiet w ciąży i w okresie porodowym. Jeżeli rządy PiS mówią, że są przeciwne liberalizacji ustawy antyaborcyjnej, to dlaczego nie traktują kobiet w ciąży jak matek? 500+ powinna kobieta otrzymywać od momentu, kiedy pójdzie do lekarza i tam ciąża zostanie stwierdzona. Tak powinno być, zwłaszcza że to trudny dla kobiet czas. Alarmujące są także informacje dotyczące opieki porodowej w szpitalach i kwestii znieczulenia podczas porodu. Uważam, że każda kobieta powinna mieć to absolutnie zapewnione i dopiero kiedy odmówi znieczulenia, to go nie dostanie. Są też kwestie naszych dzieci. Związane z edukacją.

Tu już mleko się wylało.

– Nie mam na myśli samej reformy-deformy, która wprowadziła wiele złego. Myślę o czymś innym – o tym, że polska edukacja cały czas opiera się na uczeniu wielu rzeczy niepotrzebnych, obciążających

Za czasów PRL nie było w szkole rywalizacji, szkoła była bardzo demokratyczna.

Weszłam do polityki, żeby bronić żołnierzy przed ustawą degradacyjną.

FOT. KARINA KRYSTOSIAK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 4b09e5477c

dzieci. Druga kwestia: nasz system edukacyjny polega właściwie na rywalizacji dzieci, i to od zerówki. Wszystko opiera się na uczeniu się do testów, a nie na rozwijaniu samodzielnego myślenia i umiejętności pracy w grupie. Bardzo ceniłam sobie to, że za czasów PRL nie było w szkole rywalizacji, szkoła była bardzo demokratyczna, dziecko profesora siedziało z dzieckiem dozorczyni, wszyscy byli równo traktowani przez siebie i przez szkołę. Nie było rywalizacji na oceny, tylko była współpraca.

Przy ściąganiu…

– Tak! Kto był dobry z matematyki, pisał ściągę dla połowy klasy. A ktoś inny przynosił gotowca z polskiego. Klasa była organizmem. A dzisiaj rodzice stymulują dzieci w duchu korporacji, że muszą rywalizować, że można poskarżyć na kolegę za ściąganie i będzie się za to chwalonym. To rozbija poczucie wspólnoty. A przecież w firmach wymaga się umiejętności pracy w grupie.

Zbieramy co łaska

Widzę, że sprawy kampanii coraz mocniej panią angażują.

– Teraz zbieramy na kampanię. Przeciw sobie mamy konkurentów ze strukturami partii, z potężnymi funduszami. A my zbieramy co łaska. Plakaty będziemy drukować, jak będziemy wiedzieli, ile mamy pieniędzy, czy nas na to stać. Nie wystarczy przecież być dobrym merytorycznie, trzeba też być widocznym.

> Teraz zbieramy na kampanię. Przeciw sobie mamy konkurentów ze strukturami partii, z potężnymi funduszami. A my zbieramy co łaska.

Wie pani, gdzie szukać poparcia? Wśród jakich grup?

– Z badań nam wyszło, że popierają mnie środowiska mundurowych – zawsze mogę na nich liczyć, a oni mogą liczyć na mnie. Nigdy ich nie zawiodę. Wspiera mnie także bardzo duża grupa kobiet. One są w różnym wieku, pamiętają np. lata 90., kiedy współtworzyłam „Twój Styl". Wtedy się ze mną poznały. Potem była moja praca w modzie, w biznesie i też mnie z tego znały. Do tego dochodzi grupa czytelniczek moich książek. Wiele z nich czuje ze mną wręcz osobistą więź.

Bo przeczytały i…

– Była wzruszająca scena, gdy zbieraliśmy podpisy i przyszła elegancka pani, znacznie młodsza ode mnie, żeby się podpisać. Powiedziała, że czuje ze mną bliską więź ze względu na to, że moja książka „Oddech" bardzo jej pomogła przejść przez żałobę, przez depresję po śmierci ojca, który zmarł miesiąc przed moim. „Oddech" jest zapisem przeżywania żałoby i wychodzenia z niej. Ona mówiła, że chodziła na terapię, ale wciąż czuła się samotna, a dzięki tej książce była ze mną i razem przez żałobę przechodziłyśmy. Inna sytuacja – na ławce siedziały dwie panie. Podeszliśmy ze słowami, że zbieramy podpisy poparcia dla Moniki Jaruzelskiej. Wtedy pierwsza od razu zastrzegła: „Ja dziękuję, na pewno na tę panią nie będę głosować". A druga odpowiedziała: „A ja wręcz przeciwnie, czytałam książki tej pani i bardzo ją lubię". Podziękowałam jednej i drugiej, mówiąc, że mam nadzieję, że pań nie poróżnię. Na co ta pierwsza odparła: „Niestety, pani nie poróżni, jesteśmy rodziną…".

Robert Walenciak

80-lecie króla polskiej sceny

W teatrze jest aktorem bez zastępcy. Kto stanąłby na jego miejscu, z góry skazałby się na przegraną. Każdej bowiem swojej kreacji – a wciąż zaskakuje ich różnorodnością – Janusz Gajos nadaje nie tylko znakomity szlif artystyczny, ale i głęboką interpretację intelektualną. Czy to jako Mateusz Bigda w sztuce „Bigda idzie", czy spragniony uczucia lebiega w „Ławeczce" Gelmana, czy Koczkariew w „Ożenku" Gogola, Willy Loman w „Śmierci komiwojażera" Millera, czy w monodramie „Msza za miasto Arras" według Szczypiorskiego.

Obok sceny 90 ról filmowych, które zapisały się w historii kina i telewizji. Od czasu, kiedy wyszedł z czołgu czterech pancernych, był sędzią piłkarskim Laguną w „Piłkarskim pokerze", majorem w „Przesłuchaniu", cenzorem w „Ucieczce z kina Wolność", głównym bohaterem „Żółtego szalika", prokuratorem w filmie „Body/Ciało", wreszcie abp. Mordowiczem w „Klerze". Lista mistrzowskich ról jest długa.

A kto nie pamięta dozorcy Tureckiego z Kabaretu Olgi Lipińskiej, dygnitarza z serialu „Alternatywy 4" czy występów Gajosa w kabarecie Dudek?

Nagrody Gajosa za wybitne kreacje trudno zliczyć. W 2016 r. Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna im. Leona Schillera w Łodzi wyróżniła go tytułem doktora honoris causa.

Dziś niekwestionowany król polskiej sceny kończy 80 lat, ale na emeryturę się nie wybiera. Marzą mu się jeszcze wielkie Szekspiry, „bohaterowie w podeszłym wieku, którzy mówią, jak to z tym życiem jest", jak mówił w najnowszym wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego".

Kiedy w 2002 r. Janusz Gajos otrzymywał Busolę – nagrodę PRZEGLĄDU, na dyplomie znalazły się słowa: „Wybitnemu aktorowi, który ułatwia nam zrozumienie świata". Tak jest do dziś i niech trwa jak najdłużej. *Ad multos annos,* Drogi Jubilacie!

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 4b09e5477c

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Konformizmu Polaków portret

W serialu pod tytułem „Kto ty jesteś" i „Kim i jaki jesteś, Polaku" mamy nowy odcinek napisany przez wyniki badań społecznych i ich analizę autorstwa Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego. „Polityczny cynizm Polaków" to efekt badań prowadzonych w lipcu i sierpniu 2019 r. Wielowątkowe konstatacje staną się pożywką dla interpretacji, odczytań, przewidywań i lęków. Sami autorzy uznali, że do opisania postaw polskich wyborców (niezależnie od stopnia identyfikacji z jedną z głównych partii: PiS, Platformą, Lewicą) najlepiej będzie użyć słowa cynizm. Jest to o tyle zastanawiające, że wyłania się z tych badań (pełny tekst tutaj: krytykapolityczna.pl/file/sites/4/2017/10/polityczny-cynizm-polakow.pdf) obraz ludzi doskonale rozpoznających mechanizmy polityczne, odróżniających wyraźnie własny interes, będących w swojej masie grupą niezmanipulowaną („Wyborcy PiS nie są biernymi ofiarami propagandy mediów publicznych – blisko połowa z nich uważa je za stronnicze. Dużo częściej niż wyborcy PO deklarują oglądanie programów informacyjnych różnych telewizji, podczas gdy zwolennicy opozycji są wyraźnie bardziej przywiązani do przekazu stacji TVN"). Wybierają własny interes, tak jak go dobrze rozumieją, być może w innej wersji interpretacyjnej można by powiedzieć, że to taka *Realpolitik*: doskonale rozumieją metody działania polityków, akceptują ich „krętactwa", „puste obietnice" i nie wystawiają im za to rachunku, nie mają złudzeń, kierują się własnym interesem, chcą coś z tego mieć.

Wizja oczekiwanej Polski z tych badań się nie wyłania. Raczej można powiedzieć, że to obraz pogodzenia się z losem: tak już jest, tak to działa, kopać się z koniem nie warto (tu ciekawy wątek stosunku do zjawiska pedofilii w Kościele – „Problem pedofilii i innych nadużyć w Kościele katolickim jest dostrzegany przez wielu wyborców PiS, głośny film braci Sekielskich traktują oni jako wiarygodny. Jego publikacja nie zmobilizowała ich – wbrew tezom np. polityków PSL – do głosowania na PiS, ale też tej partii nie zaszkodziła. Grzechy Kościoła szkodzą jemu samemu, ale nie rzutują na wybory polityczne zwolenników władzy").

Autorzy snują wizję trzech scenariuszy przyszłości, nazywając je węgierskim, słowackim i bawarskim. W wariancie węgierskim PiS, mimo wyraźnego braku takiej potrzeby, a nawet dystansu wobec takiego scenariusza, zdobywa większość konstytucyjną (pułap poparcia dla tej partii szybuje w maksymalnej odsłonie nawet w okolicach 55%). W słowackim: „Spowodowane czynnikami zewnętrznymi lub kryzysem przywództwa załamanie Prawa i Sprawiedliwości może doprowadzić do powstania populizmu lewicowego. (…) Lewicowa koalicja, w której silny udział ma np. partia Razem, może socjalnie przelicytować PiS i zaproponować jakiś wariant *welfare state* 2.0. (...) Musiałyby to być rozwiązania w stylu bezwarunkowego dochodu podstawowego (czymś *quasi* takim jest 500+) objąć pracujący na »śmieciówkach« prekariat oraz młodych, o których upominali się rozmówcy we wszystkich badanych przez nas grupach. Wyzwaniem dla populistycznej Lewicy byłyby kwestie kulturowe. Część wyborców socjalnych głosuje dziś z oporami na »rydzykowy« PiS, może jutro z powodów socjalnych byliby w stanie też z oporami zagłosować na »tęczową« Lewicę?". A w bawarskim „Platforma (w koalicji z PSL albo/i z pragmatyczną Lewicą) uczy się być demokratycznym PiS. Warunkiem realizacji tego scenariusza jest zaproponowanie przemyślanego modelu nowoczesnego państwa dobrobytu i organizacji usług publicznych. (...) Liberalny model państwa dobrobytu minimum (doraźna pomoc tylko najbardziej potrzebującym: bezrobotnym, bezdomnym) to za mało, a skandynawski, gdzie wszelkie uprawnienia wynikają z faktu bycia obywatelem i należą się wszystkim, to dla polskiego wyborcy za dużo".

Można powiedzieć, że najbliższe tygodnie mają szansę popchnąć Polskę w nowe rejony, które jeszcze niedawno wydawały się odległe i niedosiężne. Ale jednym z najbardziej wstrząsających wniosków jest konstatacja następująca: „Zwolennicy Kaczyńskiego nie chcą dla niego większości konstytucyjnej i widzą pożytek z istnienia opozycji; nie rozumieją jednak potrzeby ograniczenia władzy PiS przez mechanizmy instytucjonalne. W efekcie partia ta może uzyskać pełnię nieograniczonej władzy nawet wbrew intencjom własnych wyborców". Tu jesteśmy o krok do powstania demokratycznie umocowanej (przynajmniej w sensie oddanych głosów) dyktatury. Słowo cynizm tego nie tłumaczy. Słabość polityczna opozycji, brak odwagi i determinacji w formułowaniu alternatywnego modelu państwa już bardziej. Lata zaniedbań, zarówno socjalnych, jak i edukacyjnych, zbierają żniwo. Może niestety przywołanie Niemiec lat 30. ubiegłego wieku jest jednak realną ilustracją tego, co się w Polsce wydarzy. Grunt i postawy są przygotowane, partia zdeterminowana, wódz jest. I tak oto możemy być wkrótce świadkami spektaklu grozy, bo umiejętność wyartykułowania najważniejszej potrzeby, potrzeby silnego państwa dobrobytu bez umocowania w systemie politycznie zrównoważonej władzy (trójpodział władzy, niezawisły Trybunał Konstytucyjny, niezależne sądy), ma tylko jedna partia. I na dodatek ma zbyt wiele do stracenia, żeby władzę oddać. Dostanie ją od Polaków. Prawdziwych. Którzy nawet woleliby jej w takim stopniu nie oddawać.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b09e5477c

Szwindel z promocją

Polska Fundacja Narodowa na budowanie wizerunku Polski wydaje miliony. Przede wszystkim służą one ludziom i firmom współpracującym z PFN

Andrzej Leszyk

Wygląda na to, że zdaniem działaczy Prawa i Sprawiedliwości wspieranie firm naszego najważniejszego sojusznika stanowi nader chwalebną działalność. Czy ktoś więc mógłby mieć pretensje do władz Polskiej Fundacji Narodowej o to, że w sumie wypłaciły amerykańskiemu przedsiębiorstwu ponad 5,5 mln dol. pod pretekstem promowania wizerunku Polski w Stanach Zjednoczonych?

Pod pretekstem – bo tylko tak można określić skromne działania, jakie za te pieniądze wykonywała od października 2017 r. firma o dumnej nazwie White House Writers Group (opisał to w Onecie red. Andrzej Stankiewicz).

Lekką ręką

Polska Fundacja Narodowa ma lekką rękę do wydawania publicznych pieniędzy, co poniekąd można zrozumieć, bo jest to instytucja państwowa stworzona w 2016 r. przez pisowską władzę w celu dbania o dobre imię i honor Polski za granicą (a jak wiemy od 80 lat, jest tylko jedna bezcenna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw. Tą rzeczą jest honor). PFN w dodatku nie musi się liczyć z kasą, bo na polecenie obecnej ekipy jest finansowana przez 17 największych spółek państwowych.

Drugim, mniej oficjalnym celem PFN jest organizowanie kampanii przeciw środowiskom uznanym przez PiS za nieprzyjazne (takim jak sędziowskie). I kto wie, czy ostatnim, już zupełnie nieoficjalnym celem, nie jest transferowanie części tych państwowych pieniędzy w prywatne ręce osób związanych z obecną ekipą.

W przeszłości Polska Fundacja Narodowa niejednokrotnie angażowała się w poczynania, delikatnie mówiąc, mało skuteczne, za to kosztowne, które można by określić jako wyrzucanie publicznych pieniędzy w błoto. Tak było np. z rejsem jachtu o nazwie „I love Poland", nabytym za 0,9 mln euro. Polska jest ponoć potęgą w produkcji jachtów, ale kupiono jednostkę francuską (używaną). Zaplanowano, że popłynie po morzach i oceanach, szkoląc polskich żeglarzy regatowych i promując nasz kraj. W kwietniu br., 14 godzin po rozpoczęciu wyprawy, złamał się jednak maszt, jacht czeka na naprawę w amerykańskim porcie, rejs się nie odbył.

PFN ma wyraźne, acz niezbyt szczęśliwe predylekcje do jachtingu. Wcześniej w rejs do stu portów, sławiący Polskę w stulecie jej niepodległości, miał bowiem popłynąć żeglarski mistrz olimpijski Mateusz Kusznierewicz ze swoją załogą – na czym bardzo zależało wicepremierowi Piotrowi Glińskiemu. Wicepremier stwierdził, że bierze odpowiedzialność za ów patriotyczny projekt. Fundacja zrezygnowała jednak ze współpracy z naszym mistrzem (zarzucając mu za duże wydatki, i to dla siebie, nie dla załogi), więc i tego rejsu nie było. Mateusz Kusznierewicz odpowiedział zaś, że PFN zdradziła go, kłamie w żywe oczy, gra poniżej pasa – a sama za późno kupiła jacht i nie przekazała środków na jego remont.

Trudno także pojąć sens gruntownej modernizacji i rozbudowy muzeum gen. Ryszarda Kuklińskiego w Warszawie. PFN podkreśla, że

FOT. MARCIN BIELECKI/PAP

eprasa.pl 4b09e5477c

Fundacja angażowała się w poczynania, które można by określić jako wyrzucanie publicznych pieniędzy w błoto. Tak było z rejsem jachtu „I love Poland", nabytym za 0,9 mln euro.

to jedyna taka placówka w Europie. Ciekawe, ilu gości z Zachodu zawitało do tego muzeum (nie mówiąc już o tym, jak to wpłynęło na poprawę wizerunku Polski w ich oczach)? Albo jak miało się przysłużyć dobrej marce naszego kraju za granicą wydanie w Polsce przez PFN śpiewnika pieśni żołnierskich i legionowych?

Podobne uwagi można zgłosić wobec konkursu dla mazowieckich uczniów, zatytułowanego „Odkrywanie śladów historii 1944-1989" (oczywiście z uwzględnieniem martyrologii, „żołnierzy wyklętych" i opozycji antykomunistycznej) – bo Mazowsze, niczego mu nie ujmując, to jednak nie zagranica. Żeby więc nikt się nie czepiał, zmieniono lekko statut Polskiej Fundacji Narodowej, wpisując weń upowszechnianie w kraju wiedzy o historii Polski. Teraz PFN może wydawać państwowe pieniądze praktycznie na to, na co chce. Dlatego uzasadnione są opinie, że 500 mln zł, które łącznie ma dostać PFN od spółek państwowych, to sposób obecnej władzy na ominięcie systemu finansowania partii politycznych – bo część tej kasy idzie na działania ewidentnie służące PiS.

Wspomniana wcześniej kampania przeciw sędziom, kosztująca prawie 8,5 mln zł i nosząca oficjalną nazwę „Sprawiedliwe sądy", zakończyła się zaś właśnie w sądzie. Sąd rejonowy orzekł, że jest ona sprzeczna ze statutowymi celami działalności fundacji. Orzeczenie się uprawomocniło, bo w czerwcu br. sąd okręgowy oddalił apelację wniesioną przez PFN.

Gdy natomiast trzeba było działać serio, jak w przypadku nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, która doprowadziła do poważnego kryzysu w relacjach Polski z USA i Izraelem, to reakcja PFN była niezauważalna.

Historia współpracy fundacji z White House Writers Group dobrze się wpisuje w te, oględnie mówiąc, nieudane scenariusze.

Efekty nie są wymagane

WHWG dostawała najpierw za swoje usługi 45 tys. dol. miesięcznie, potem ta kwota dwukrotnie wzrosła. Co robi za te sumy? Wysyła dziennikarzom różnych amerykańskich redakcji informacje prasowe i komentarze dotyczące naszego kraju. Czy i jak ci odbiorcy z nich korzystają, to już ich rzecz. Prowadzi też poświęcony Polsce serwis na Twitterze, mający prawie 6 tys. obserwatorów, oraz dwa profile internetowe. Oba niespecjalnie popularne. Pierwszy, na Instagramie, obserwuje regularnie „aż" 51 osób. Drugi, na YouTubie, ma 13 subskrybentów. Tylu zainteresowanych było na całym świecie (wedle stanu na połowę września). Prawdopodobnie to grono składa się z pracowników polskiego personelu dyplomatycznego i ich rodzin. Dla porównania – 20-letnia polska blogerka Littlemooonster ma 1,5 mln obserwatorów.

Na jednym z profili prowadzonych przez WHWG piękny zachód słońca w Polsce ilustruje zdjęcie zrobione w Pradze, a Zakopane jest przedstawione jako Zakapone – ale zrozumiałe, że firmie z USA mogło się pomylić, bo przecież w Warszawie też jest Praga, a Al Capone mógł w końcu być w Zakopanem. W innym miejscu gratulacje dla Kamila Stocha za zdobycie Pucharu Świata 2018 zilustrowano zdjęciem jakiegoś narciarza freestyle'owego wykonującego akrobację, lecz także nie ma co się czepiać, bo w końcu jeden i drugi to skoczkowie.

Gdy w ubiegłym tygodniu „dokonania" promocyjne Polskiej Fundacji Narodowej stały się bardziej znane, doszło do radykalnych zmian. Liczba osób obserwujących profil na Instagramie wzrosła raptem do 189, a grono subskrybentów na YouTubie do 37. Serwis na Twitterze został zaś w ogóle zlikwidowany. A co z osieroconym gronem prawie 6 tys. osób, które jakoby go obserwowały?

WHWG organizuje też niekiedy konferencje i dyskusje, acz nie można ocenić, czy cokolwiek one dają. To zrozumiałe, gdyż w umowie między WHWG a PFN przezornie zapisano, że strona amerykańska nie gwarantuje żadnych konkretnych rezultatów. Ówcześni szefowie PFN, wiceprezes Maciej Świrski oraz prezes Cezary Jurkiewicz, przystali na takie postanowienie – no i rezultatów nie ma.

Po zmianie statutu fundacja może wydawać państwowe pieniądze praktycznie na to, na co chce.

Czy da się bowiem ocenić, jakie rezultaty przyniosła ubiegłoroczna konferencja poświęcona współpracy prezydenta Reagana z papieżem Janem Pawłem II, stanowiąca najbardziej widoczne osiągnięcie organizacyjne firmy WHWG (wzięła w niej udział ambasador USA w Watykanie)? Czy można chociaż wskazać, czy konferencja ta bardziej służyła promowaniu dokonań amerykańskiego prezydenta, czy polskiego papieża?

Tak więc w majestacie prawa działalność promocyjna WHWG może przynosić zerowe efekty, a Polska musi za nią płacić (ta narracja jest także powszechnie stosowana przez PFN, która informuje nie o tym, co osiągnęła, lecz czym się zajmowała).

Wszelkie konferencje i spotkania są finansowane przez Polską Fundację Narodową osobno, poza comiesięcznymi honorariami. Zdarzało się, że WHWG wśród swoich działań wymieniała imprezy, których bynajmniej nie organizowała – jak choćby dwa spotkania w polskiej ambasadzie w Waszyngtonie – ale to nikomu nie przeszkadzało. PFN zwraca też koszty wykazywane przez WHWG, co oznaczało wydatki sięgające dotychczas niemal 3 mln dol.

Kwota robi wrażenie, w porównaniu np. z kampanią „polski hydraulik", która 14 lat temu w dobrym świetle zaprezentowała Polskę w całej Europie (nie tylko we Francji) i kosztowała grosze, mieszcząc się w zwykłym budżecie Polskiej Organizacji Turystycznej.

Drugim, mniej oficjalnym celem PFN jest organizowanie kampanii przeciw środowiskom uznanym przez PiS za nieprzyjazne.

eprasa.pl 4b09e5477c

Krewni i znajomi królika

Zarząd Polskiej Fundacji Narodowej zareagował na publikację w Onecie. Nie odniósł się jednak merytorycznie do tego, jak wygląda i ile kosztuje współpraca z WHWG, lecz stwierdził: „Z ubolewaniem przyjmujemy fakt, że Grupa Onet wybiórczo i subiektywnie postanowiła wykorzystać współpracę PFN z WHWG, aby zdeprecjonować i zdyskredytować podejmowane przez Fundację działania (...). Z niepokojem zauważamy, że inicjatywy PFN wspierające polską rację stanu są intencjonalnie negowane przez portal należący do zagranicznego koncernu medialnego (...). Jest to kolejna, obok wywiadów z kandydatami Koalicji Obywatelskiej do Sejmu, próba wpływania na rzeczywistość polityczną w Polsce i brutalna operacja zaangażowania PFN w trwającą kampanię wyborczą (...). Dobór i zatrudnienie pracowników przez WHWG oraz wysokość uposażeń pozostaje w kompetencjach WHWG. Polska Fundacja Narodowa nie ma żadnego wpływu na decyzje kadrowe i płacowe zewnętrznego kooperanta".

Dwa ostatnie zdania są najważniejsze w całym tym oświadczeniu władz fundacji. Mówią one jasno, że PFN nie ma wpływu na wydatki WHWG. Może tylko je pokrywać z pieniędzy polskich podatników. Nie zmienia to faktu, że z dotychczasowych oświadczeń Polskiej Fundacji Narodowej wynika, iż jest ona zadowolona ze współpracy z WHWG.

Firma WHWG dostawała najpierw za swoje usługi 45 tys. dol. miesięcznie, potem ta kwota dwukrotnie wzrosła.

Chyba jeszcze bardziej zadowolony jest związany z PiS historyk, prof. Marek J. Chodakiewicz. Tak się bowiem składa, że profesor, na co dzień nauczający w waszyngtońskim Instytucie Polityki Światowej, to dobry znajomy Macieja Świrskiego, który był wiceprezesem PFN, w chwili gdy fundacja nawiązywała współpracę z WHWG. Zrozumiałe więc, że np. profesor dostał 1 tys. dol. za to, że wziął udział w konferencji na temat współpracy Ronalda Reagana i Jana Pawła II. Była już tu o niej mowa, bo to sztandarowe (gdyż niemal jedyne) dokonanie PFN na amerykańskim gruncie.

Ponadto w WHWG pracuje siostra prof. Chodakiewicza, Anna Chodakiewicz-Wellisz, która zarabia rocznie 120 tys. dol., a przede wszystkim korzysta ze zwrotu kosztów. Przelewy z WHWG otrzymywała także małżonka, Monika Jabłońska-Chodakiewicz. W sumie, jak obliczył red. Stankiewicz, państwo Chodakiewiczowie na współpracy z PFN zarobili ponad 250 tys. dol. w ciągu dwóch lat.

I to jest chyba najbardziej konkretny i mierzalny rezultat działalności promocyjnej Polskiej Fundacji Narodowej w Stanach Zjednoczonych.

Andrzej Leszyk

eprasa.pl 4b09e5477c

Cyniczny lud... to kupi

Można wiedzieć, że opanowane przez daną partię media regularnie kłamią, i wciąż tę partię popierać

Rozmawia Jakub Dymek

„Jeden z wyborców Prawa i Sprawiedliwości, poproszony o narysowanie swojej partii, zaczął od krzyżyka, kija i marchewki", piszecie w swoich badaniach „Polityczny cynizm Polaków". O co z tym rysowaniem, kijem i krzyżem chodzi?

– W takim pytaniu chodzi o to, by wydobyć z ludzi ich pierwsze, najsilniejsze skojarzenia, wyobrażenia, np. o partiach politycznych jako osobach. Jaką partia polityczna ma płeć, wzrost, atrybuty, jak się ubiera. Czy jest wielkomiejskim hipsterem, czy zgarbionym dziadkiem? W ten sposób można się dowiedzieć wielu rzeczy o intuicjach czy niewypowiedzianych skojarzeniach – nawet jeśli ktoś nie ma pod ręką gotowych diagnoz czy spostrzeżeń.

Krzyż znaczy oczywiście „PiS pod rękę z Kościołem" – wyborcy niekoniecznie muszą to lubić, ale postrzegają tę partię jako mocno związaną z Kościołem. A kij i marchewka to sposoby kierowania społeczeństwem.

Ale to przede wszystkim pokazuje, jak duży jest dystans do partii politycznych, sceny politycznej. Kiedy w badaniach fokusowych zadajemy pytania: jak się państwu żyje, co się zmienia na lepsze, co na gorsze, Polacy nie są aż takimi pesymistami. Ale gdy pojawia się polityka, po prostu zaczyna się wylewać szambo. Rozmówcy nie przebierają w słowach, a my nawet większości z tego, co mówią, w badaniach nie cytujemy.

Czy nad wyobrażeniami Polek i Polaków o polityce dominuje Jarosław Kaczyński i PiS? Bo wśród komentatorów, analityków i samej opozycji tak jest.

– Nie. Ludzie mówią o polityce to, co Patryk Vega próbował pokazać w filmie o tym tytule. Patrzysz na politykę jak na zapasy w błocie, jak na igrzyska – masz tam swojego gladiatora i mu kibicujesz. Dominuje konflikt. O PiS mówi się w odniesieniu do Platformy i odwrotnie. Polacy są zaangażowani w politykę, tylko jeśli jako zaangażowanie rozumieć kibicowanie i śledzenie polityki jako spektaklu w telewizji – można to porównać do oglądania serialu lub zawodów sportowych.

DR HAB. PRZEMYSŁAW SADURA
– socjolog, pracownik naukowy Instytutu Socjologii UW, członek zespołu „Krytyki Politycznej"

Co to znaczy?

– To znaczy, że gdy oglądasz ulubiony serial lub mecz piłkarski, to oczywiście interesuje cię, co się dzieje na ekranie, ale twoją pierwszą myślą nie jest pójść na casting do serialu lub zapisać się do klubu sportowego, prawda? I dokładnie tak jest z polityką. Nasi respondenci w ogóle nie kojarzyli polityki z działaniem obywatelskim, z jakąś aktywnością, w której można (albo należy) uczestniczyć. Pytanie „Czy chciał(a)by się pan/pani zapisać do partii politycznej?" było regularnie przyjmowane z wielkim zdziwieniem.

I to jest ten tytułowy cynizm?

– Jedno ujęcie cynizmu to doprowadzony do skrajności pragmatyzm – robienie dowolnych rzeczy w celu osiągnięcia jakiejś korzyści czy utrzymania wygodnej dla siebie sytuacji. Kiedyś wyborcy tak myśleli o politykach, szczególnie na tak rozumiany cynizm narzekało się w kontekście formacji postkomunistycznych. Dziś jednak wyborcy coraz częściej sami taką postawę stosują i akceptują: wszystko ujdzie, bylebym ja na końcu coś z tego miał.

Z drugiej strony cynizm oznacza świadome robienie jednego i mówienie drugiego. Wiemy, że to, co robimy i mówimy, się nie pokrywa, ale cynizm pozwala – zamiast jakoś uzgodnić swoją postawę, zmienić zachowanie – po prostu z tym się pogodzić. Taki cynizm uniemożliwia krytykę. „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?". Badani przez nas Polacy zachowują się jednak racjonalnie – widzą i rozumieją, że „ich" partia nie jest uczciwa, ale mówią: no ale ze wszystkich nieuczciwych, załganych i złodziejskich partii głosowanie na tę mnie akurat się opłaca.

To oznacza akceptację dla nieuczciwości w polityce?

eprasa.pl 4b09e5477c

– Wyborcy, przynajmniej PiS, odróżniają korupcję „indywidualną" od „instytucjonalnej". Co to znaczy? Jeśli ktoś dopuścił się korupcji, żeby wzbogacić się osobiście, wziąć do kieszeni, mówiąc najprościej – jest to niedopuszczalne i stanowi powód, żeby kogoś takiego ukarać lub wykluczyć z polityki. Ale jak długo partia czy poszczególni politycy stosują mechanizmy na pograniczu prawa czy wprost niezgodne z prawem, korupcyjne, na rzecz partii i na rzecz tego, żeby pewien program dla Polski był realizowany – to dobrze! W przypadku Platformy mamy rewers tego problemu; jej wyborcy mają świadomość, że afery i korupcja były problemami za czasów rządów Tuska i Kopacz, ale uważają je za niską cenę ewentualnego odsunięcia PiS od władzy.

Czyli mówicie, że w Polsce mamy przyzwolenie na stosowanie podwójnych standardów. Swoim wolno więcej.

– Po 30 latach obserwowania demokratycznej polityki w Polsce wyborcy pozbyli się złudzeń. Spaliły na panewce pomysły takich partii jak Razem, których hasłem było „Inna polityka jest możliwa". To nie działa, bo nikt ani nie wierzy, ani nie oczekuje, że polityka będzie inna. Nie wszyscy oczywiście, ale bardzo wiele osób jest już zdania, że polityka to sfera niereformowalna.

Gdyby jednak wszyscy byli tak konsekwentnie cyniczni, jak mówisz, nie patrzylibyśmy, jak co wybory jakaś nowa partia łamie dotychczasowy układ i wchodzi do ogólnokrajowej polityki: Samoobrona, LPR, Palikot, Kukiz, Nowoczesna...

– Mam wrażenie, że to może zaraz się skończyć. Furtka zostawiona dla nowych bytów politycznych może się zamknąć. Nie musi, ale może. Z punktu widzenia socjologii wyborców to wygląda tak, że jest miejsce na pewne figury w polityce: biznesmena (Platforma, wcześniej KLD), „moherowego beretu", emeryta, księdza (PiS, wcześniej także LPR), i jest miejsce dla błazna, trickstera, niespodzianki – i w tę rolę również cyklicznie ktoś wchodzi. Mieliśmy już sytuacje, że wyborcy Samoobrony odchodzili do Palikota, a ci następnie do Kukiza. To jednak pokazuje wyłącznie słabość tych ugrupowań i fakt, że potrzeba nowości w polityce jest sezonowa.

Wyborcy PiS postępują racjonalnie, nie są fanatykami smoleńskimi ani otumanionymi przez propagandę baranami – te konkluzje waszych badań zdziwiły część opinii publicznej głównego nurtu.

– A to jest jeszcze bardziej prawdziwe, jeśli spojrzysz na nowych wyborców PiS, tych, którzy zasilili partię po 2015 r., gdy Prawo i Sprawiedliwość było już u władzy. Oni wcale nie muszą popierać Tadeusza Rydzka ani podkomisji smoleńskiej Macierewicza, ale z pewnością jakoś im po drodze z konserwatywnymi wartościami partii – nie akceptują współczesnego feminizmu czy języka kulturowej lewicy.

Wśród nowych wyborców PiS są ci, których spokojnie można nazwać elektoratem socjalnym. Ale jest jeszcze inna grupa, która docenia nawet nie tyle programy socjalne czy to specyficzne „państwo dobrobytu", ile po prostu fakt, że program jest wdrażany, państwo wzmacniane, władza pracuje, a obietnice są realizowane. Oczywiście w ich ocenie, bo na temat, czy naprawdę tak jest, moglibyśmy przeprowadzić osobną dyskusję.

Dziś wyborcy akceptują postawę: wszystko ujdzie, bylebym ja na końcu coś z tego miał.

Dla nich „rydzykowość" i „radiomaryjność" – jak mówiła jedna pani – to może i problem, ale można nad nim przejść do porządku dziennego. „Bo ja jestem tolerancyjna", dodawała nasza rozmówczyni. Głosujący na PiS nie z powodu, ale pomimo jego co bardziej radykalnych tendencji to nierzadkie zjawisko.

Czy polskie społeczeństwo jest wobec tego bardziej, czy mniej konserwatywne niż elity polityczne?

– Skończył się już czas, kiedy elity chciały edukować społeczeństwo. Było tak szczególnie na początku transformacji, kiedy na wyborców, czytelników, obywateli patrzyło się z góry i tłumaczyło: trzeba się rozwijać, modernizować, dostosowywać, zaciskać pasa, różne rzeczy trzeba robić. Jedni mówili, że tak; drudzy, że inaczej – ale każdy miał dla Polek i Polaków jakąś wizję, której należało być posłusznym. Od jakiegoś czasu klasa polityczna – już za Platformy Obywatelskiej było to widoczne – patrzy w badania i sondaże, czyta raporty z fokusów i stara się podchodzić do obywatela tak, aby go nie zgubić.

Dlatego PiS nie zabrnie bardzo mocno np. w zaostrzanie przepisów antyaborcyjnych, bo wie, że większość społeczeństwa traktuje obowiązujące rozwiązania jako kompromisowe i nie chce ich ani liberalizować, ani zaostrzać. W rządzie nie mają zatem nic do wygrania na ewentualnym zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej. Muszą jakoś zaspokajać oczekiwania środowisk bardziej radykalnie kościelnych, więc raz na jakiś czas muszą pozorować, że coś chcą zrobić. Ale wywołają tym samym reakcję drugiej strony w postaci czarnego protestu. My, po stronie liberalnej i lewicowej, przeżywamy to jako coś wielkiego, święto emancypacji i moment zwrotny, który lada dzień doprowadzi do obalenia PiS – podczas gdy to władza używa instrumentalnie czarnych protestów do rozegrania własnych konserwatystów i podporządkowania ich sobie. Radykalizm widać natomiast, kiedy spojrzeć przez pryzmat przemian sfery medialnej.

PiS nie buduje państwa opiekuńczego, tylko zgodnie z zasadą lepszy wróbel w garści daje żywą gotówkę.

Nowe sposoby komunikacji popchnęły nas ku skrajnościom?

– Media zmieniły się w media tożsamościowe. Nie ma nikogo, kto chciałby opisać rzeczywistość. Mówiąc obrazowo, korespondenci wojenni zaczęli nosić karabiny i strzelać do siebie, zamiast opisywać, co widzą. Trochę jest tak, że albo jesteś „pedałem", albo „homofobem", sięgając po ten brutalny język, którym mówią nasi rozmówcy – i bardzo trudno o coś pośrodku. Gdy rozmawialiśmy z lewicowym elektoratem, tyle że na prowincji, rozmówcy czuli się zmuszeni jakoś wytłumaczyć

eprasa.pl 4b09e5477c

Lewica musi być w sprawach społecznych i obyczajowych postępowa, ale postępowa względem polskiej średniej.

z tego, że są przeciw dyskryminacji i przemocy, ale adopcja dzieci przez pary LGBT to już dla nich, a na pewno dla wszystkich w ich najbliższym otoczeniu, za dużo. I nie są w stanie wyrazić na to zgody – choć sami nie zdradzali żadnych zachowań homofobicznych, wrogich żyjącym w związkach z osobą tej samej płci. Są więc za legalizacją związków partnerskich, nawet małżeństw jednopłciowych, ale nie chcą, by to poszło tak daleko. Ale przez to czują z kolei, że sami – ze swoimi poglądami – nie byliby akceptowani przez osoby ze środowisk LGBT, bo postrzegają je jako bardzo radykalne, walczące, ekskluzywne.

Czy wobec tego wniosek z waszych badań jest taki, że lewica nie powinna umierać za prawo do adopcji dzieci przez pary jednopłciowe albo – jak doradzał socjolog Jan Sowa – mogłaby iść po władzę „po trupach kobiet"?

– Myślę, że intuicja Jana była słuszna, tylko wybrał sobie zły przykład – bo akurat poparcie dla równouprawnienia jest w Polsce duże, nawet w środowiskach konserwatywnych. Oczywiście nie mówimy o akceptacji najbardziej skrajnych pomysłów środowisk feministycznych, ale o jakimś minimum. Polskie społeczeństwo jest konserwatywne niezależnie od tego, jak bardzo byśmy się na to obrażali.

Na jakim więc boisku niekonserwatywne siły mają się spotkać z PiS?

– Na boisku welfare state, państwa dobrobytu! PiS ostatecznie postawiło kropkę na końcu polskiej transformacji. Ustrojowo i gospodarczo transformacja się skończyła, skończył się czas zaciskania pasa i nadganiania, a teraz zobaczyliśmy, że państwo stać na jakieś rozwiązania socjalne. Można się spierać, jak one mają wyglądać – Prawo i Sprawiedliwość nie buduje państwa opiekuńczego, tylko zgodnie z zasadą lepszy wróbel w garści daje żywą gotówkę. To miało spowodować, że państwo wpadnie w długi – okazało się, że nie wpadło, co więcej, obiecuje kolejne rozwiązania i programy socjalne, idące jeszcze dalej. W tym momencie nie da się więc nie grać z nimi na tym boisku. Nawet wyborcy Platformy doceniają politykę społeczną PiS. Oczywiście domagają się jakiejś reformy, odebrania świadczenia „patologii" – jak mówią – czy powiązania świadczeń z pracą zarobkową jednego lub obojga rodziców w przypadku 500+. Ale nie ma już siły politycznej, która nie rozmawia o państwie socjalnym.

Czy w takim razie ów cynizm pozwala poradzić sobie z dysonansem?

– Wbrew stereotypom środowisk liberalnych elektorat PiS to nie są ci, którzy wierzą w propagandę sprzedawaną przez TVP. Otóż to wyborcy Platformy akceptują jako wiarygodne treści oglądane w TVN i nie sięgają po inne źródła informacji w telewizji. Wyborcy PiS natomiast mają właśnie świadomość, że TVP jest tubą rządu i w związku z tym sięgają po różne źródła informacji. To też ciekawe, że można wiedzieć, że opanowane przez daną partię media regularnie kłamią, i wciąż tę partię popierać – bo to jest właśnie definicja cynizmu. Część pisowców, jak sami siebie określają, sama się śmieje z nierzeczywistości przekazu TVP i żartuje: pomyślcie, jak pięknie by było, gdyby naprawdę tak było. Paradoksalnie więc bardziej naiwny jest w tym układzie elektorat opozycji.

Po obu stronach rośnie przekonanie, że media są takimi samymi uczestnikami walki jak partie polityczne.

Bo chce wierzyć, że gdzieś jest prawda?

– Bo wierzy, że „Gazeta Wyborcza" i „Fakty" to obiektywne źródła wiedzy o świecie, a nie część politycznej walki o dominację. Ale i tych czytelników i odbiorców jest coraz mniej. Po obu stronach rośnie przekonanie, że media są takimi samymi uczestnikami walki jak partie polityczne.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, M. LASYK/REPORTER

eprasa.pl 4b09e5477c

Czy w tym układzie coś się zmienia?

– To oczywiście zależy, w jakiej perspektywie – czy czterech tygodni, czy czterech lat. Bo do wyborów nic się nie zmieni, role zostały już dawno rozdane, a potencjał partii określony.

W waszym raporcie można przeczytać, że maksymalny potencjał PiS to 55%, a Koalicji Obywatelskiej 47%. I tak zostanie?

– Określając maksymalny pułap poparcia, wzięliśmy pod uwagę nie tylko zdeklarowanych wyborców danej partii, ale także osoby, które głosowały na nią w przeszłości, ufają jej lub wskazują ją jako partię drugiego wyboru. W tym rozdaniu rzeczywiście nie ma specjalnie wiele miejsca na zmiany – bo gdy ktoś zadeklarował, że największym zaufaniem darzy PiS, nie zmieni nagle preferencji i nie wybierze Platformy, prawda? I *vice versa*.

Problemem opozycji jest to, że w tej chwili jej elektoraty nachodzą na siebie. 20%, na które w najlepszym razie może liczyć Lewica, to niemal w całości potencjalny elektorat KO. Jasne, że w dłuższej perspektywie jakieś przemeblowanie na scenie politycznej jest możliwe. Może się dokonać w odniesieniu do kwestii socjalnych i opiekuńczej roli państwa – tutaj otwiera się faktyczne pole do wejścia w centrum. Lewica musi być w sprawach społecznych i obyczajowych postępowa, ale postępowa względem, no cóż, polskiej średniej.

A nie znajdować się w awangardzie debaty światowej?

– W Polsce wystarczająco progresywnym postulatem jest walka z homofobią lub legalizacja związków partnerskich. Niekoniecznie zaś pełna równość małżeńska dla par jednopłciowych z prawem do adopcji. To są dwie różne rzeczy. W takich okolicznościach, jakie mamy, receptą dla ugrupowań lewicowych jest umiarkowany progresywizm w kwestiach kulturowych, za to mocny i przemyślany socjal. To jest to, co bym widział jako szansę. Swego rodzaju lewicowy populizm. Program bardziej ludowy niż liberalny i wielkomiejski.

Kończy się dekada, co oczywiście jest wyłącznie symboliczne, ale czy twoim zdaniem wchodzimy w czasy jakiegoś nowego porządku? W Polsce polityka i debata publiczna są już radykalnie inne. Może – jak pisze Jamie Bartlett – demokracja, „jaką znamy", nie przetrwa?

– Już jesteśmy w sferze silnych turbulencji. Nie my jako Polska, lecz w ogóle. Spójrzmy na Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone, Unię Europejską – wszyscy walczą z tym samym, czyli z prawicowym populizmem, ale także z tym, że sfera medialna i opiniotwórcza się zapadły. Utraciliśmy złudzenia co do demokracji.

Dawniej, gdy zawodziła demokracja, często mówiono sobie, że receptą na deficyt demokracji może być więcej demokracji – robiono więc referenda, partycypację itd. Dziś okazuje się, że im więcej się robi referendów, tym łatwiej nimi manipulować. Dobry przykład to sprawa brexitu, z którym Brytyjczycy do dziś nie wiedzą, co chcą zrobić. Podważyć referendum, zrobić jeszcze raz – tak czy inaczej będzie to klęska demokracji. Ci, którzy kiedyś chcieli więcej demokracji, dziś zresztą mówią, że to podzielenie się władzą z ludem być może nie było aż takim dobrym pomysłem. I może należy raczej przywrócić pewien deliberacyjny, elitarny sznyt polityce, bo w tym ludowym kostiumie elity i tak czeka ośmieszenie lub marginalizacja. A do władzy dochodzą cynicy.

Jakub Dymek

20%, na które w najlepszym razie może liczyć Lewica, to niemal w całości potencjalny elektorat KO.

Przemysław Sadura wraz ze Sławomirem Sierakowskim opracował raport z badań socjologicznych elektoratów partyjnych „Polityczny cynizm Polaków". Raport dostępny jest na stronach internetowych „Krytyki Politycznej" i Fundacji Pole Dialogu.

Marek Książek

Jerzy Szmit nie ma szczęścia. Lub po prostu nie cieszy się zaufaniem prezesa PiS, który ponownie – tak jak w 2015 r. – usunął go z listy kandydatów do parlamentu. Cztery lata temu, jak pisaliśmy w tekście „Ostatnia klęska pechowego polityka" (PRZEGLĄD nr 39/2015), Jarosław Kaczyński zrobił to w ostatniej chwili, gdy okazało się, że „mogą się pojawić kolejne materiały na jego temat". Wcześniejsze publikacje w „Fakcie" dotyczyły Szmita przyłapanego z kochanką w Warszawie. A przecież 55-letni wtedy poseł kreował się na człowieka respektującego katolickie wartości rodzinne. Dlatego na koniec wspomnianego artykułu zadaliśmy pytanie: „Czy to już koniec kariery politycznej Jerzego Szmita?".

Na horyzoncie agent Tomek

Pytanie było zasadne, bo w karierze Szmita, z wykształcenia inżyniera geodezji, dominowały klęski, szczególnie na szczeblu lokalnym, gdzie przegrywał wybory na prezydenta Olsztyna, a marszałkiem województwa był ledwie kilka miesięcy. Odnosił co prawda i sukcesy, raz zdobywając mandat senatora (2005-2007) i raz posła (2011-2015), lecz przy innych szefach regionów wypadał blado. Brylował jedynie na szosach, przekraczając limit prędkości, za co został pozbawiony prawa jazdy. Brak nazwiska Szmita na liście kandydatów do Sejmu w 2015 r. nie zakończył jednak jego kariery, bo na otarcie łez został on wiceministrem infrastruktury i budownictwa, odpowiedzialnym za... drogownictwo. Jak wspominają olsztyńscy drogowcy, chętnie przecinał pod sztandarem PiS wstęgi na oddawanych do użytku arteriach, chociaż były one dziełem ekipy PO-PSL.

Niespodziewanie we wrześniu 2017 r. stracił ministerialne stanowisko. Mediom przekazał informację, że zrezygnował „z powodów osobistych". Ale nie przeciął domysłów, że mogła to być konsekwencja jego nieudanej misji w ministerstwie. „Fakt" sugerował nawet, że jego pracą w resorcie zainteresowało się CBA, o co Szmit pozwał tabloid i wygrał z nim w sądzie. Wcześniej

eprasa.pl 4b09e5477c

Utrącony ręką prezesa

Jerzy Szmit, lider PiS na Warmii i Mazurach, już po raz drugi nie został przez Jarosława Kaczyńskiego wystawiony do Sejmu

Jerzy Szmit pojawiał się obok i Jarosława Kaczyńskiego, i Mateusza Morawieckiego, ale miejsca na liście PiS nie dostał.

głośno było o jego konflikcie z Iwoną Arent, „zawsze drugą" działaczką PiS w regionie. Posłanka Arent stanęła w obronie byłego kolegi z ław poselskich, Tomasza Kaczmarka, czyli agenta Tomka, który związał się i w końcu ożenił z szefową stowarzyszenia Helper, prowadzącego domy opieki społecznej w Olsztynie i okolicy. Wojewoda (również z PiS) nasłał na stowarzyszenie kontrolę, a ta stwierdziła wiele nieprawidłowości, co skończyło się postawieniem pani prezes zarzutów prokuratorskich o wyłudzenie unijnych pieniędzy. A że wojewoda Artur Chojecki był kiedyś dyrektorem biura poselskiego Jerzego Szmita, zrozumiałe jest, po której stronie były pryncypał się opowiedział. Jak twierdzą wtajemniczeni, był to zewnętrzny przejaw walki o władzę w regionalnych strukturach PiS. Stracili na niej i Szmit pozbawiony szans na kandydowanie do Sejmu, i Arent, która pozostała druga na liście.

Wygrywa faworyt Gowina

Bo pierwsze miejsce niespodziewanie otrzymał prof. Wojciech Maksymowicz, w latach 1997-1999 minister zdrowia i opieki społecznej w rządzie Jerzego Buzka, a od 2006 r. członek Platformy Obywatelskiej. Ale już wtedy zerkał w stronę Jarosława Gowina, razem z którym w 2013 r. opuścił szeregi PO. Obecny wicepremier w zeszłym roku powołał go na swojego doradcę, a w lipcu 2019 r. – na podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Teraz natomiast przeforsował jedynkę dla Maksymowicza na olsztyńskiej liście do Sejmu, co oburzyło miejscowych działaczy PiS.

Jeszcze do połowy sierpnia Jerzy Szmit miał solidne trzecie miejsce na liście. Jednak nazajutrz po kościelno-państwowym święcie prezes usunął go z listy. Z relacji partyjnych kolegów wynika, że Szmit jeździł za Kaczyńskim po kraju, próbując odwrócić niekorzystną decyzję. Bez powodzenia. Na Nowogrodzką trafił nawet list z Olsztyna z argumentacją, że „brak wśród kandydatów PiS prezesa Zarządu Okręgowego Jerzego Szmita – osoby o solidarnościowym rodowodzie i ogromnym doświadczeniu, również parlamentarnym – który od początku jest liderem naszego środowiska, będzie sygnałem niezrozumiałym dla działaczy PiS i elektoratu. Bez wątpienia osłabi to nas wizerunkowo i wpłynie negatywnie na wynik, jaki możemy osiągnąć". List podpisało kilkaset osób, chociaż część z oporami, a niektórzy wręcz odmówili, uznając, że „prezes zawsze ma rację". Usunięcie lidera partii z listy może się skończyć także jego przegraną w walce o przywództwo w regionie.

Co Kaczyński ma na myśli

Elektorat pisowski istotnie może nie rozumieć decyzji Kaczyńskiego, zwłaszcza że podczas olsztyńskiej konwencji Jerzy Szmit pojawiał się obok prezesa. A ten nie rekomendował go nawet na kandydata do Senatu, bo tutaj PiS ustąpiło pola Lidii Staroń. Ta była działaczka PO już drugi raz ma największe szanse na mandat senatora, głównie dzięki występom w programie TVP „Sprawa dla reportera". Według Iwony Arent Kaczyński uznał, że w Olsztynie, gdzie PiS zawsze przegrywało z PO, trzeba było coś zmienić, a prof. Maksymowicz może przyciągnąć nowych wyborców. Ale czy tak jest w istocie? Niektórzy sądzą, że Szmit nie sprawdził się jako wiceminister (nieudacznik?) albo po prostu prezes pamięta jeszcze skandal obyczajowy z warszawską kochanką. Sam niedoszły kandydat odpowiada, że to sprawa wewnątrzpartyjna i nie będzie jej komentował.

W sumie jednak nie ma co narzekać; od stycznia 2018 r., czyli wkrótce po odwołaniu z funkcji wiceministra infrastruktury, został członkiem zarządu państwowej spółki PKP Telkol, zajmującej się telekomunikacją na kolei. Czy pozostanie nim, gdy straci stołek lidera partii w regionie? ■

FOT. ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 4b09e5477c

10 tysięcy matek nastolatek

Kiedy dziecko rodzi dziecko

Anna Brzeska

Kiedy chciałam iść do sklepu czy do znajomych, babcia mnie strofowała: „Gdzie z tym brzuchem będziesz chodzić?". Bo przecież wstyd przyniosłam rodzinie, moje dziecko to bękart, a ja jestem puszczalska – opowiada Kasia, która urodziła synka, mając 17 lat.

– W zeszłym roku w Polsce matkami zostało ponad 10 tys. nastolatek – mówi Antonina Lewandowska, edukatorka z Grupy Ponton. – Nastoletnie macierzyństwo jest więc bardzo aktualnym zjawiskiem społecznym. Brakuje nam jednak debaty publicznej na ten temat i rzetelnej edukacji seksualnej. A bez tego nie będziemy w stanie nic zdziałać. Zamiatanie tematu pod dywan niczego nie da. Tymczasem w Polsce jedyne dane, na których możemy polegać, to liczbowe dane GUS. Brakuje natomiast analiz pedagogicznych, psychologicznych czy socjologicznych.

– Jak to się stało, że zaszłam w ciążę? No wiesz, seks bez zabezpieczeń – opowiada dalej Kasia. – On twierdził, że jest bezpłodny. Jego matka też była o tym przekonana, potem w ten sposób broniła go przed płaceniem alimentów. Powiedziała mojej mamie, że pewnie się z kimś innym „puściłam". A mama nigdy ze mną nie rozmawiała o seksie. Prezerwatyw nie używaliśmy. Mój były chłopak twierdził, że ma na nie uczulenie. Poznałam go u koleżanki, spotykaliśmy się przez kilka miesięcy. Potem zaczęło się między nami psuć, bo coraz częściej wolał widywać się z kolegami niż ze mną. Jakiś miesiąc po rozstaniu z nim dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Do lekarza poszłam prywatnie, pieniądze na wizytę musiałam sama odłożyć – rodzicom o tym nie mówiłam. Dopiero kiedy tamtego dnia mama wróciła do domu i zastała mnie płaczącą, powiedziałam jej o ciąży. Wściekła się niesamowicie. Rzuciła czymś w moją stronę, na szczęście nie było to nic ciężkiego. Potem wrócił z pracy ojczym. Najpierw zapytał: „Co ty żeś najlepszego zrobiła matuli?", potem wyraził nadzieję, że jeśli mi pomogą z mamą, skończę szkołę, „tak jak trzeba", czyli razem z moim rocznikiem.

Antonina Lewandowska: – Jak wiadomo, istnieją środki, które mogłyby zmniejszyć liczbę nastoletnich ciąż – mowa o antykoncepcji awaryjnej, tzw. tabletce po. Mamy jednak w polskim prawie lukę. Seks można legalnie uprawiać od 15. roku życia, ale do lekarza bez wiedzy i zgody rodziców nastolatka może pójść dopiero od 18. roku życia. Przez trzy lata dziewczyna nie może zatem pójść do lekarza sama, np. po taką pigułkę. Musi poinformować rodziców. A wiele dziewczyn boi się tego. To problem, o którym w ogóle się nie mówi. Jednak nawet jeśli nastolatka dostanie zgodę albo rodzic pójdzie z nią do gabinetu, zdarza się, że lekarz odmawia wypisania recepty. Tego zaś w świetle prawa nie może zrobić. Klauzula sumienia zawarta w ustawie o zawodzie lekarza i lekarza dentysty mówi o odmowie leczenia. Jednak zdaniem Komitetu Bioetyki przy Prezydium PAN wystawienie recepty nie jest leczeniem, lecz dostępem do informacji medycznej. Lekarze nie mają więc prawa odmówić wydania recepty, a jeśli to robią, mają obowiązek zrobić to na piśmie i skierować pacjentkę do lekarza, który taką receptę wystawi. Oczywiście nikt tego nie przestrzega, bo pacjentki często nie wiedzą, że mogą się odwołać od odmowy lekarza, a nawet jeśli wiedzą, to wykłócanie się w gabinecie – w sytuacji stresowej! – jest trudne.

Błędne koło stygmatyzacji

Gdy Kasia urodziła dziecko, jej chłopak miał 19 lat. Nie mogła liczyć na jego wsparcie, alimenty otrzymywała z Funduszu Alimentacyjnego. – Jak dowiedziałam się o ciąży, pojechałam do niego z siostrą – wspomina. – Na wiadomość o ciąży najpierw stwierdził, że to żarty, później, że to na pewno nie jego dziecko, a na końcu, że w takim razie musimy wziąć ślub. Odpowiedziałam, że ślubu nie będzie, póki nie skończę szkoły, a on nie udowodni, że potrafi zająć się rodziną i na nią zapracować. Powiedział, że przyjedzie do nas w święta, wtedy porozmawiamy. Ale przez długie lata w ogóle się nie pojawił – żali się młoda mama.

Jednak dla dziewczyny bolesne było nie tylko samotne rodzicielstwo, ale również odrzucenie przez niektórych bliskich. – Gdy byłam w zaawansowanej ciąży, pojechałam do babci na wieś, na wakacje. Dziadek był pozytywnie nastawiony, ale babcia wyraźnie miała problem z moim stanem i wciąż robiła przykre uwagi. Kilka lat później, kiedy urodziłam drugie dziecko, ciotka zapytała, czy nie mogę sobie „p... zaszyć", bo „jednego bękarta już urodziłam".

Antonina Lewandowska: – W takich sytuacjach zwykle obwinia się wyłącznie dziewczynę, która zaszła w ciążę. Powszechne jest okrutne stwierdzenie, że się puściła. W domyśle: nie jest mi jej żal, to przecież patologia. Tymczasem wykluczone z głównego nurtu życia społecznego młode matki mogą częściej podejmować tzw. zachowania ryzykowne: nadużywać alkoholu czy angażować się w niezabezpieczone kontakty seksualne. Zostało to udowodnione w badaniach. Ale młoda matka to nie „patologia", to raczej nasze podejście do nastoletniego rodzicielstwa niejako wpycha je w taki destrukcyjny sposób życia. Zamiast więc mówić, że nastoletni rodzice się puszczają, piją i żyją z zasiłków, lepiej byłoby umożliwić im dokończenie nauki i start do normalnego życia. Bez tego mamy bardzo małe szanse na zrobienie czegokolwiek z tym zjawiskiem.

Mimo że rodzina oceniła Kasię bardzo surowo, jej rodzice ostatecznie pomogli córce wychować synka. – Mama i ojczym byli alkoholikami, ale i tak czułam, że mam w nich wsparcie. Zajmowali się wnukiem, wprawdzie nie zawsze zgodnie z moimi prośbami czy zaleceniami lekarza – syn był aler-

eprasa.pl 4b09e5477c

gikiem – ale robili, co mogli. Dla mnie ukończenie liceum było sprawą priorytetową. Jak mogłabym dziecku powiedzieć, że przez niego nie ukończyłam szkoły? – podkreśla.

Do nauki wróciła zaledwie miesiąc po porodzie. – Wstawałam rano, odciągałam pokarm dla małego, potem leciałam do szkoły – opowiada. – Czasem ściągałam mleko także u pielęgniarki w gabinecie i przechowywałam je w lodówce, w bufecie szkolnym. Po szkole biegiem do domu. W tym czasie z synkiem siedziała moja starsza siostra, która wychowywała też swoje dziecko. Wieczorami synka przejmowała mama, a ja odrabiałam lekcje. W nocy musiałam karmić małego, więc nie było lekko. Ale jakoś daliśmy radę. W weekendy ja z kolei zajmowałam się dzieckiem siostry, by mogła mieć trochę wolnego czasu dla siebie i męża.

Kasia twierdzi, że mimo wszystko nie żałuje urodzenia synka. – Udało mi się skończyć liceum i iść do szkoły policealnej. Chciałam studiować, ale nie było mnie na to stać, a teraz mamy jeszcze z obecnym partnerem drugie dziecko. Chciałabym synów wychować na mądrych mężczyzn – stwierdza na koniec.

Mama myślała, że wszystko zrobię po kolei

Marianna zaszła w ciążę w wieku 16 lat. W odróżnieniu od Kasi mogła liczyć na wsparcie chłopaka – jej obecnego męża – ale i tak padła ofiarą napiętnowania ze strony niektórych bliskich.

Jak to się stało, że w tak młodym wieku zaszła w ciążę? – Wstyd się przyznać, ale o antykoncepcji wiedziałam wszystko. Mój partner również. Byłam w związku od sześciu tygodni, ale znaliśmy się już kilka miesięcy. To był nasz pierwszy raz. Nie myślałam o konsekwencjach. Trzy tygodnie później zrobiłam test, bo spóźnił mi się okres. Okazało się, że jestem w ciąży.

Dziewczyna przyznaje, że nigdy wcześniej nie była u ginekologa. – Moja mama była rozżalona – mówi. – Sama urodziła mnie, mając 19 lat, ale myślała, że ze mną będzie inaczej, że normalnie skończę szkołę, potem studia, że wszystko będzie „po kolei". Mimo ogromnego smutku zapewniała mnie, że zawsze mogę na nią liczyć.

Antonina Lewandowska: – Z badań wynika, że nastoletnie macierzyństwo może być zjawiskiem dziedziczonym pokoleniowo. Jeśli nastoletnia mama rodzi dziecko, rośnie prawdopodobieństwo, że jej córka zajdzie w ciążę jako nastolatka.

Rodzina Marianny nie mogła się pogodzić z sytuacją. – Tata, dziadek i babcia unikali mnie, przez długi czas nikt nie podejmował tematu ciąży – opowiada dziewczyna. – Najgorsza była jednak teściowa. Zaczęło się od propozycji, że opłaci zabieg aborcji. Na szczęście mój obecny mąż stanął na wysokości zadania. Był bardzo opiekuńczy, dbał o mnie, jak tylko potrafił najlepiej. Ale jego rodzice mają dużą firmę, chcieli mieć następcę. W ich oczach pokrzyżowałam im plany.

Teściowa Marianny, mimo niechęci do przyszłej synowej, zaproponowała młodym wspólne zamieszkanie. Dziewczyna przeprowadziła się więc do rodziny chłopaka jeszcze przed urodzeniem córki. – Bałam się. Cała ciąża to był ciągły stres. Urodziłam wcześniaka w 33. tygodniu – pewnie też w jakimś stopniu z powodu lęku, ale przede wszystkim przez infekcję bakteryjną. Miałam ogromne obawy związane z naszą sytuacją finansową, stresowało mnie przymusowe mieszkanie u teściów. W szkole chciałam być traktowana normalnie, nie jak okaz w zoo, który potrzebuje dobrych rad czy współczucia. Większość osób była w porządku, ale słyszałam też komentarze typu: „Nie pójdziesz już na imprezę, tylko będziesz siedzieć w pieluchach" albo „Ciąża zniszczy ci ciało". Przyznam, że w ogóle mnie to wtedy nie obchodziło. Miałam już wystarczająco dużo stresów i nie potrzebowałam kolejnych.

Seks można legalnie uprawiać od 15. roku życia, ale do lekarza bez zgody rodziców może pójść dopiero 18-latka.

Antonina Lewandowska: – Nastoletnie macierzyństwo wiąże się ze zwiększonym ryzykiem rozmaitych patologii ciąży, m.in. nadciśnieniem ciążowym, stanem przedrzucawkowym, anemią, krwotokiem wewnętrznym, zakażeniem czy sepsą. W trakcie porodu u nastolatek notuje się zwiększone ryzyko pęknięcia miednicy czy perforacji macicy, utworzenia się przetok itd. Te zagrożenia się zwiększają, gdy ma się utrudniony dostęp do opieki prenatalnej, z czym często muszą się borykać nastolatki. Wszystko razem rzutuje też na zdrowie psychiczne młodych mam, zwłaszcza że zwykle nastoletnie ciąże nie są planowane. Do tego dochodzi częste złe traktowanie nastolatek przez personel medyczny w szpitalu. Dlatego wśród nich częściej występuje depresja poporodowa, która w skrajnych

eprasa.pl 4b09e5477c

przypadkach może prowadzić do aktów autoagresji, z samobójstwem włącznie, albo prób skrzywdzenia dziecka. To rzadkie sytuacje, ale warto pamiętać, że takie mogą być konsekwencje stygmatyzowania.

Czy to oznacza, że nastolatkom odmawia się leczenia lub prowadzenia ciąży? – Nie jestem w stanie podać tu żadnych statystyk, bo nikt w Polsce tym zagadnieniem za bardzo się nie zajmuje – mówi edukatorka Pontonu. – Znamy jednostkowe historie, ale nie skalę problemu. Słyszałam o paru przypadkach, kiedy lekarze w gabinecie szpitalnym odmówili nastolatkom prowadzenia ciąży i zaprosili na wizyty prywatne. Na to jednak nastolatki nie mogą sobie pozwolić, bo zwykle nie mają pieniędzy.

Marianna: – Po urodzeniu wcześniaka było coraz gorzej. Teściowa opowiadała znajomym, że się puszczam, że mam choroby weneryczne i dlatego dziecko urodziło się za szybko, poza tym jest śmiertelnie chore. Mówiła im, że do niczego się nie nadaję, że nie poradzę sobie z dzieckiem, na niczym się nie znam. Gdy postanowiliśmy się wyprowadzić, wykrzyczała mi to wszystko w twarz.

Młodzi rodzice, nie mogąc znieść takiego zachowania, przenieśli się do rodziców dziewczyny. Trafili z deszczu pod rynnę. – Mój tata jest alkoholikiem i mierzy wszystkich miarą pieniądza. Zarabia dużo i gardził moim mężem. Nie mieliśmy jednak gdzie się podziać. Obydwoje płakaliśmy w poduszkę i przez kilka miesięcy znosiliśmy uwagi ojca – wspomina Marianna. – Na szczęście sporo wyjeżdżał. Mimo to czuliśmy ogromną presję, bo zagarniał całą wypłatę mojego męża. Ja nie pracowałam, uczyłam się. Gdy któregoś razu znów się pokłócili, znów padły wyzwiska i oskarżenia, że mój mąż to zero i nigdy do niczego w życiu nie dojdzie, doszło niemal do rękoczynów. Wyprowadziliśmy się więc znów do jego rodziców. Ogólnie ten okres po urodzeniu się małej wspominam strasznie. Potem zupełnie odcięliśmy się od najbliższych i od tamtej pory radzimy sobie sami.

Nastolatka z kalendarzykiem małżeńskim

Dominika miała 16 lat, gdy zaszła w ciążę, ojciec dziecka był jej rówieśnikiem. Ich historia – w porównaniu z poprzednimi – jest wręcz sielankowa.

– Ciąży oczywiście nie planowałam, ale mieliśmy bardzo duże wsparcie w rodzicach – opowiada młoda mama. – Prawa rodzicielskie dostał mój tata. Wyznaczono nam kuratora. Mieliśmy świetne warunki bytowe, zarówno jeśli chodzi o wsparcie finansowe, jak i możliwości mieszkaniowe. Dodatkowo dostawaliśmy „kosiniakowe" i 500+. Daliśmy więc sobie radę. Gdy się dowiedziałam o ciąży, poszłam do wychowawcy, by mu o tym powiedzieć, a on zaproponował, by poinformować resztę klasy. Połączył temat mojej ciąży z lekcją wychowania do życia w rodzinie. To był dobry pomysł, myślę, że dzięki niemu nie odczułam żadnego potępienia. Do samego końca ciąży chodziłam do szkoły, choć w tej sprawie dawali mi wolną rękę. Mój chłopak – obecny mąż – również bardzo mnie wspierał, czytał ze mną wszystkie poradniki o wychowywaniu dzieci, był przy porodzie. Kiedy urodziłam, w szkole zaproponowano mi nauczanie indywidualne i w ten sposób uczyłam się do końca semestru. Po wakacjach wróciłam do normalnego trybu, bo synek nie był już karmiony wyłącznie piersią. Udało mi się zdać maturę, jestem już w trakcie studiów. Mieszkamy w domu, który zostawił nam mój tata.

Antonina Lewandowska: – Sytuacja, w której nastoletni rodzice otrzymują pełnię wsparcia od rodziny i szkoły, to niestety rzadkość. Szkoły, bojąc się utraty renomy, niezgodnie z prawem wyrzucają czasem ciężarne uczennice lub w inny sposób uniemożliwiają im ukończenie edukacji. Warto tu wspomnieć o jeszcze jednej trudności wynikającej z naszych przepisów: jeżeli matka jest nieletnia, nie ma praw rodzicielskich. A często zdarza się, że chłopcy są starsi od dziewczyn, które zachodzą z nimi w ciążę. To prowadzi do sytuacji, w której ojcowie mają już prawa rodzicielskie, a matki nie. I jeśli między młodymi rodzicami dochodzi do konfliktu, rozstają się, bardzo trudno jest kobiecie bez praw rodzicielskich budować życie sobie i dziecku. Może być też tak, że oboje rodzice są nieletni – wtedy sąd powinien wyznaczyć osobę, która prawa rodzicielskie uzyskuje. Najczęściej są to rodzice, dziadkowie lub opiekunowie prawni młodych rodziców. W każdym przypadku jednak łatwo zagrozić dziewczynie odebraniem dziecka. Sytuacja jest szczególnie trudna, jeśli ciąża jest wynikiem gwałtu.

W przypadku Dominiki rodzina i nauczyciele stanęli na wysokości zadania. Jednak jej historia pokazuje, że system zapobiegania ciążom nieletnich stoi w Polsce na głowie.

Dominika: – Tak, mieliśmy duży poziom świadomości, jeśli chodzi o seks. Dużo informacji uzyskałam od mamy, sporo nauczyłam się w szkole. Mama oznajmiła mi wprost, że jeśli seks pojawi się w moim życiu, mogę jej o tym powiedzieć. I rzeczywiście powiedziałam. Na to, że zaszłam w ciążę, złożyło się kilka czynników. Po pierwsze – byliśmy trochę lekkomyślni, ale to chyba typowe dla tego wieku. Ponieważ wystąpiła u mnie reakcja alergiczna na lateks, poszłam z mamą do ginekologa, żeby przepisał mi antykoncepcję hormonalną. Trafiłyśmy niestety na jedynego chyba w moim mieście lekarza, który podpisał klauzulę sumienia. Nie przepisał mi antykoncepcji, tylko zapoznał z NPR (naturalnym planowaniem rodziny), powiedział, że ta metoda jest w porządku. Podał mi nawet namiary do jakiegoś centrum NPR. Zaczęłam zgłębiać temat, czytać książki i materiały w sieci. Uznaliśmy, że będziemy stosować kalendarzyk albo stosunek przerywany. Gdybym rzeczywiście rzetelnie przyłożyła się do prowadzenia kalendarzyka, może jakoś by się nam udało... Ale przesunęła mi się miesiączka. I zanim się zorientowałam, było już za późno. Z perspektywy czasu źle oceniam takie poradnictwo, bo przecież te metody mogą się nie sprawdzić u nastolatek, które miesiączkują nieregularnie.

Co z edukacją seksualną w szkole? – Wychowanie do życia w rodzinie było nieobowiązkowe – mówi. – Zajęcia prowadził katecheta. Był bardzo otwarty, ale czuliśmy pewną blokadę, bo to, co mówił, mocno pachniało chrześcijańskim podejściem. Czyli: najlepiej czekać do ślubu. Przyznam zresztą, że nie byliśmy specjalnie zaangażowani w te lekcje, bo i tak każdy z nas miał już za sobą jakieś doświadczenia seksualne.

eprasa.pl 4b09e5477c

Antonina Lewandowska: – Wielokrotnie przeprowadzane były badania, które udowadniają, że odpowiednio – podkreślam, odpowiednio – prowadzona edukacja seksualna sprzyja zmniejszeniu liczby ciąż u nastolatek i obniża ryzyko zakażenia się chorobami przenoszonymi drogą płciową. Zupełnie odwrotnie jest w przypadku tzw. edukacji abstynencyjnej, która zaleca młodym ludziom czekanie do ślubu i definiuje seks jako coś złego. Edukacja abstynencyjna wcale nie odwodzi młodzieży od podejmowania aktywności seksualnej. Łatwo to pokazać na przykładzie Stanów Zjednoczonych. Niektóre stany prowadzą właśnie edukację abstynencyjną, a jednak nie mogą się pochwalić wyższym wiekiem inicjacji seksualnej u młodzieży, niż jest on w tych stanach czy państwach, gdzie prowadzi się kompleksową edukację seksualną.

Edukatorka Pontonu jako wzór kraju, gdzie edukacja seksualna świetnie się sprawdza, podaje Holandię: – Mamy tam jeden z najniższych odsetków nastoletnich matek na świecie. W 2017 r. zaledwie 0,6% – to rewelacyjny wynik. Jednocześnie w kraju tym notuje się jeden z najniższych odsetków przeprowadzanych aborcji. Elementy edukacji seksualnej Holendrzy wprowadzają już w przedszkolach, od czwartego roku życia. Najpierw uczą budowy ciała, świadomej zgody na jakikolwiek kontakt fizyczny, budują postawy asertywne, wszystko w formie dostosowanej do wieku dziecka. Wśród rozwiązań holenderskich warto wymienić udostępnienie młodzieży darmowych prezerwatyw czy refundację tabletek antykoncepcyjnych dla kobiet poniżej 21. roku życia. Antykoncepcja postkoitalna jest dostępna bez recepty w aptekach i sklepach. Każdy lekarz w Holandii ma obowiązek odbycia kursu planowania rodziny. Wprowadzone rozwiązania mają charakter systemowy i prewencyjny, nie doraźny – i stoją na bardzo wysokim poziomie.

Jeśli nastoletnia mama rodzi dziecko, rośnie prawdopodobieństwo, że jej córka też zajdzie w ciążę jako nastolatka.

Lepiej nie będzie

Jak jest w Polsce? Pierwszym komentarzem niech będą znane już cytaty z podręcznika wychowania do życia w rodzinie:

„Stosowanie środków antykoncepcyjnych jest uzależnieniem losu swego i dziecka od techniki i farmacji (...)".

„Prezerwatywy. Skuteczność w zapobieganiu ciąży: niezbyt wysoka, z powodu częstych wad technicznych (nieszczelność, pękanie) oraz wypadków zsuwania się w czasie stosunku. (...) U niektórych mężczyzn stosowanie prezerwatywy powoduje osłabienie doznań seksualnych".

„Pytanie o warunki podjęcia współżycia seksualnego unaoczniło, że najwyższą akceptację seksu pozamałżeńskiego wykazali uczniowie najsłabiej uczący się, a najmniejszą osoby wierzące".

W Sejmie czeka już na głosowanie projekt obywatelski ustawy „Stop pedofilii", w rzeczywistości delegalizujący edukację seksualną. Jego pierwsze czytanie ma się odbyć po wyborach.

Antonina Lewandowska: – Pytanie o to, komu pozbawienie dzieci ich prawa do edukacji, zdrowia i decydowania o sobie jest na rękę, pozostawię otwarte. Przecież mamy dowody na skuteczność edukacji seksualnej – i nie mówię tu o pokątnych badaniach sprzed 40 lat, ale o bardzo aktualnych statystykach. Z chęcią przedstawię je tym, którzy zechcą posłuchać, a nie rzucą się z krzykiem o dobrostanie dzieci i przyrodzonej niewinności. Ci ludzie działają na szkodę młodzieży, są niewiarygodni. Dane, na które się powołują, nie mają umocowania naukowego – zarówno jeśli chodzi o dane na temat środowiska LGBTQ, jak i o zdrowie reprodukcyjne. Nie jesteśmy zdziwieni akcją, jaką jest projekt obywatelski ustawy dotyczącej rzekomo pedofilii, w rzeczywistości mający na celu wtrącenie edukatorów seksualnych do więzień – ten pomysł padł na samym początku rządów PiS. Teraz po prostu temat chwycił przy okazji wyborów. Nagonka, którą prowadzi się na środowiska edukacyjne, jest oburzająca. Wmawianie ludziom, że krzywdzimy dzieci, sprawia, że część zaczyna w to wierzyć, a to znowu tworzy nastrój, który staje się dla nas zagrożeniem – sama miałam kilka nieprzyjemnych sytuacji związanych z moją pracą. Nikomu nie życzę gróźb na ulicy czy hejtu w mediach społecznościowych. Projekt „Stop pedofilii" i działania dookoła niego to hucpa. Tak bezczelne granie na emocjach i kłamanie ludziom w twarz powinno być karalne.

Anna Brzeska

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 4b09e5477c

Sam na sam z autyzmem

Katarzyna Wierzbicka

Bardzo staraliśmy się o dziecko – wyznaje Zdzisław, tata ośmioletniego Franka. – I jasne, że wyobrażasz sobie, jakie ono będzie, na kogo wyrośnie. A potem okazuje się, że nie będzie takie, jakie je sobie wymyśliłeś, za to może nauczyć cię żyć. Kiedy mój syn spojrzy mi przez chwilę w oczy i dotknie mojej ręki, to dla mnie takie przeżycie, jakby zatrzymał się czas.

Franek ma jedną z cięższych postaci autyzmu. Nie mówi, nie rozpoznaje niektórych swoich potrzeb fizjologicznych, nie reaguje na komunikaty. Przez ponad godzinę jego tata opowiada mi o swojej codzienności – licznych terapiach, niekończącym się poszukiwaniu sposobów na polepszenie funkcjonowania dziecka, niepewności, izolacji.

Rodzice dzieci z autyzmem nie mówią o heroizmie czy poświęceniu. A przeciez ich życie to często walka. Pozbawieni kompleksowego wsparcia, odizolowani i bez odpowiednich zasobów rodzice autystów muszą mierzyć się nie tylko z samymi objawami zaburzenia, ale także z niewiedzą i niezrozumieniem otoczenia oraz obojętnością instytucji. Z braku rozwiązań systemowych często sami stają się głównymi terapeutami swoich dzieci.

> Na autyzm może cierpieć w Polsce ok. 40 tys. dzieci. Ich rodzice na wsparcie państwa nie mogą liczyć

Ściana

Nie wiadomo, jak wiele dzieci w Polsce jest autystycznych. – Wyniki badań różnią się w kwestii częstotliwości występowania autyzmu. Niektóre źródła podają, że z autyzmem rodzi się jedno na 150 dzieci, według innych jedno na 100. Są też badania, które mówią o jednym na 68 – wylicza Joanna Grochowska, prezeska Fundacji Synapsis zajmującej się diagnozą, terapią i wsparciem dla dzieci z autyzmem. – Przy założeniu, że w Polsce autyzm jest rzadszy, można przyjąć, że byłoby to jedno na 150 dzieci, jednak są to wyłącznie szacunki.

Do niewiadomych w kwestii częstotliwości występowania dochodzą kolejne, chociażby jakie są źródła autyzmu. W świadomości społecznej autyzm to tajemnicza choroba polegająca na zamknięciu się dziecka. Czasem jest on mylony z innymi chorobami lub „upośledzeniem umysłowym". Ilustracją skali niezrozumienia, czym jest autyzm, może być fragment podręcznika do biologii dla VII klasy „Puls życia", w którym autyzm nazwany został nieuleczalną chorobą. „Ponadto »choroba« została zestawiona razem z chorobami układu nerwowego – stwardnieniem rozsianym i chorobą Alzheimera. Eksperci podważają uznanie autyzmu jako choroby, a samo zestawienie wydaje się być sprzeczne z logiką – czytamy na portalu Polityka Zdrowotna. – Podważane przez ekspertów jest również wskazanie hipoterapii w podręczniku jako sposobu na poprawę relacji osób z otoczeniem społecznym. To stwierdzenie w najmniejszym stopniu nie pokrywa się z ideą odbywania takich praktyk".

Tymczasem, jak można się dowiedzieć ze strony Fundacji Synapsis,

To rodzice najczęściej jako pierwsi zauważają, że coś jest z dzieckiem nie w porządku.

eprasa.pl 4b09e5477c

„autyzm jest całościowym zaburzeniem rozwoju dziecka. U dotkniętych nim dzieci obserwuje się objawy nieprawidłowego funkcjonowania we wszystkich obszarach rozwoju. (…) Zaburzenia autystyczne mają bardzo zróżnicowany charakter, nie tworzą jednolitego obrazu".

– Ludzie często kojarzą autyzm z obrazem niemówiącego, zamkniętego dziecka – komentuje prezeska Fundacji Synapsis. – Ale wśród dzieci z autyzmem są zarówno mówiące, jak i niemówiące, a samo niemówienie nie oznacza np. braków w inteligencji. Wszystko zależy od stopnia głębokości zaburzeń. Czasami zgłaszają się do nas rodzice zaniepokojeni tym, że dziecko po prostu nie mówi, a potem w trakcie diagnozy okazuje się, że ma ono cały przekrój objawów ze spektrum autyzmu.

W odbiorze społecznym autyzm jest jednocześnie demonizowany – jako „nieuleczalna choroba" – i bagatelizowany, kiedy na pierwszy rzut oka dziecko „wygląda normalnie". Dla dzieci dotkniętych autyzmem i ich rodziców oznacza to w praktyce samotność i niezrozumienie.

– To rodzice najczęściej jako pierwsi zauważają, że coś jest nie tak – wyjaśnia Agata Bujnik, pedagożka specjalna i wieloletnia terapeutka dzieci z autyzmem. – Zgłaszają się do nas i okazuje się, że ich przeczucia są słuszne. Jednak zdarza się – szczególnie kiedy autyzm nie ma najcięższej postaci – że rodzina bagatelizuje diagnozę, mówiąc, że dziecko z tego wyrośnie albo że rodzice przesadzają.

Alicja, mama dziewięcioletniej Basi: – Niektórzy dziwią się, kiedy mówię im o diagnozie Basi, odpowiadają: „Przecież mówi" albo „Nie wygląda". Rzeczywiście, autyzm jest trochę niewidzialny, a przynajmniej wtedy, gdy akurat córka ma lepszy dzień – wtedy słyszę, że nie odpowiada na niektóre pytania, „bo jest niegrzeczna". Z kolei w gorszym okresie słyszę sugestie, że powinna chodzić do szkoły specjalnej, chociaż z nauką radzi sobie dobrze. To boli.

Samotność rodziców dzieci z autyzmem nie wynika jednak wyłącznie z braku zrozumienia. Schody zaczynają się już na etapie diagnozy, bo na 6 mln dzieci przypada zaledwie 419 czynnych zawodowo psychiatrów dziecięcych, w dodatku tylko niektórzy specjalizują się w diagnozowaniu autyzmu. Tymczasem, jeśli prawdziwe jest założenie, że jedno na 150 dzieci rodzi się z autyzmem, ma go ok. 40 tys. dzieci w Polsce.

– Na diagnozę w NFZ czeka się często latami, a im wcześniej choroba zostanie zdiagnozowana, tym większa szansa na dobre funkcjonowanie dziecka w przyszłości. Autyzm może być rozpoznany wcześnie, nawet u dwu-, trzylatków. Oczekiwanie na konsultację u odpowiedniego psychiatry w NFZ trwa zaś niekiedy drugie tyle – wyjaśnia Joanna Grochowska. – Diagnoza prywatna kosztuje ok. 1,5 tys. zł i wymaga kilku spotkań, trwa parę tygodni, a czasem nawet miesięcy, w zależności od konkretnego dziecka.

Agata Bujnik: – Teoretycznie państwo refunduje niektóre terapie. Tyle że jest to wsparcie nieciągłe i dalece niewystarczające, np. kilka czy kilkanaście spotkań raz w tygodniu, a dzieci z autyzmem wymagają często kilku spotkań tygodniowo, przez wiele lat. Poza tym tylko dzieci z diagnozą mają prawo do refundowanych lub częściowo refundowanych terapii.

– Kiedy w końcu syn dostał diagnozę, poczułam ulgę. Wiedziałam, że coś jest nie tak, i w końcu dostałam informację, co. Zanim jednak w końcu trafiłam do psychiatry, który specjalizuje się w tego typu zaburzeniach, chodziłam od przychodni do przychodni – wyznaje Małgorzata, mama pięcioletniego Krzysia. – Po uldze i poczuciu, że „teraz to już musi być dobrze", trafiłam na mur. Okazało się, że to dopiero początek.

– Terapia indywidualna dwa razy w tygodniu, tzw. trening umiejętności społecznych, logopeda… – wylicza Alicja. – Mamy wprawdzie zniżkę na niektóre terapie, ale to wciąż dużo pieniędzy. A ja przecież nie pracuję, bo ktoś musi dowozić córkę.

W rodzinach z autystycznym dzieckiem bardzo często jedno z rodziców rezygnuje z pracy. Potwierdza to Agata Bujnik. – Rodzice dzieci autystycznych sami często starają się pracować z dzieckiem. Zwłaszcza że terapia specjalistyczna, nawet prywatna, nie zawsze jest dostępna, chociażby dla większości rodzin spoza dużych miast – dodaje. – Samodzielna praca z dzieckiem wymaga od rodziców olbrzymich zasobów emocjonalnych, czasowych i intelektualnych. Wielu jest wyczerpanych.

Zdaniem Joanny Grochowskiej rodzice nie musieliby rezygnować z pracy lub samodzielnie prowadzić terapii, gdyby państwo zadbało o większą dostępność terapii dla autystów i gdyby można było skupić zajęcia w jednym miejscu. – Ważne byłoby, aby każde dziecko miało jedną wiodącą placówkę, która czuwałaby nad przebiegiem jego całościowej terapii. W tej chwili, żeby zapewnić dziecku odpowiednią terapię, rodzice kilka razy w tygodniu muszą jeździć do różnych, często znacznie od siebie oddalonych miejsc – mówi prezeska Synapsis. – Jest to problemem nawet w Warszawie, nie mówiąc o mniejszych miejscowościach. Do tego terapia jest podzielona, a poszczególni specjaliści nie wiedzą, co robią inni. No i zdecydowana większość zajęć jest odpłatna. Poza tym dramatycznie brakuje psychiatrów dziecięcych, szczególnie tych znających się na diagnozowaniu autyzmu.

Jak podkreśla specjalistka, kolejnym rozwiązaniem znacznie usprawniającym wsparcie dla autystów mogłoby być uproszczenie procedury przyznawania orzeczeń o niepełnosprawności, co przekładałoby się na dostęp do konkretnych świadczeń. Jak wynika jednak z obserwacji Joanny Grochowskiej, dostać takie orzeczenie jest coraz trudniej. Ponadto konieczne wydaje się odpowiednie przygotowanie szkół i przedszkoli do pracy z dziećmi ze spektrum autyzmu. W tej chwili bowiem brakuje nawet kadry – jedynie ok. 10% szkół zatrudnia choćby szkolnych psychologów. Brak odpowiedniego przygotowania szkół przekłada się na ich zdolność do wsparcia rodziców. – Obserwujemy bardzo duży problem z przyznawaniem dzieciom, nastolatkom czy dorosłym orzeczenia o niepeł-

Na diagnozę w NFZ czeka się często latami, a im wcześniej choroba zostanie zdiagnozowana, tym większa szansa na dobre funkcjonowanie dziecka w przyszłości.

eprasa.pl 4b09e5477c

nosprawności, które daje dostęp do konkretnych świadczeń – wyjaśnia prezeska Synapsis. – W dodatku wiele przedszkoli, w tym publicznych, wymaga od rodziców odbierania dziecka z autyzmem o godz. 13 lub 14, czyli po obowiązkowych pięciu godzinach przeznaczonych na realizację podstawy programowej. Oznacza to, że jedno z rodziców nie może podjąć normalnej, pełnoetatowej pracy, bo nie ma jak zapewnić dziecku opieki.

Mama Franka, z zawodu nauczycielka, poza zrezygnowaniem z pracy zdecydowała się samodzielnie odbyć szkolenie dla przyszłych terapeutów pracujących z dziećmi autystycznymi, żeby w całości poświęcić się pracy z synem i obejść się bez niektórych płatnych terapii. Jako „wynagrodzenie" dostaje od państwa od tego roku 1583 zł miesięcznie w ramach tzw. świadczenia pielęgnacyjnego. Należy tu podkreślić, że to najwyższa możliwa kwota wsparcia od państwa, przysługująca jedynie w przypadkach najgłębszej niepełnosprawności i pod warunkiem, że rodzic korzystający z niego całkowicie zrezygnuje z zatrudnienia. Dla rodzica dziecka z ciężkim autyzmem oznacza to, że aby dostać 1583 zł w zamian za rezygnację z pracy – musi udowodnić, że jego dziecko rzeczywiście wymaga „stałej lub długotrwałej opieki lub pomocy innej osoby", bo nie może samodzielnie egzystować.

Większość przypadków autyzmu to dla państwa nie są sytuacje wymagające od rodziców „stałej lub długotrwałej opieki", nawet jeśli terapia obejmuje dowożenie dziecka do trzech różnych, często odległych, placówek kilka razy w tygodniu i jest płatna. Dzieje się tak również dlatego, że – jak podkreśla Agata Bujnik – specjaliści wciąż nie mogą rokować, jak dziecko będzie funkcjonowało w następnych latach. Niektórzy autyści dzięki terapii zaczynają po jakimś czasie funkcjonować względnie samodzielnie, inni nie. Ich rodzice tkwią zatem w błędnym kole – przyszła samodzielność ich dzieci w dużej mierze zależy od czasu rozpoczęcia i częstotliwości terapii, która jednak niczego nie gwarantuje. Z drugiej strony samo jej podjęcie jest kosztowne zarówno czasowo, jak i finansowo. – Najgorsza jest niepewność co do przyszłości – skarży się Małgorzata. – Terapia jest konieczna, ale sami terapeuci nie potrafią powiedzieć, czy i kiedy Krzyś na nią zareaguje. A może bez niej byłoby gorzej? W każdym razie świadczenie nam się nie należy, bo urzędnicy uznali, że opieka nad Krzysiem nie jest wystarczająco „stała".

Tym, którzy nie mogą się ubiegać o świadczenie pielęgnacyjne, pozostaje jeszcze zasiłek pielęgnacyjny – 184,42 zł miesięcznie – lub tzw. specjalny zasiłek opiekuńczy (620 zł), o ile dochód na osobę w rodzinie nie przekracza 764 zł.

Tymczasem liczne terapie to niejedyny element opieki nad autystami. W grupie osób z autyzmem zauważa się bowiem częstsze występowanie niektórych problemów zdrowotnych – a to oznacza dodatkowe koszty. „W 60-70% przypadków autyzmowi towarzyszą zaburzenia neurologiczne – czytamy na stronie autyzmasd.pl. – Epilepsja występuje u 25-30% osób z autyzmem".

eprasa.pl 4b09e5477c

Krzyk dziecka autystycznego wynika z jego bezradności.

– U dzieci z autyzmem bardzo często występują alergie i nietolerancje pokarmowe, choroby przewodu pokarmowego, zaburzenia odporności. Ale dzieci autystyczne często nie potrafią zakomunikować, co je boli, a podstawowe zabiegi, np. pobranie krwi, są dla nich ogromnym stresem – opowiada Joanna Grochowska. – Wśród naszych podopiecznych mieliśmy chłopca, który miał nagłe napady agresji, był nie do wytrzymania. Rodzice miesiącami próbowali dojść, o co chodzi. W końcu zbadali mu nerki. Okazało się, że chłopiec miał kamicę – ataki szału pokrywały się z napadami bólu, który wówczas odczuwał. Natomiast lekarze, którzy go konsultowali, uważali, że te napady agresji wynikają z autyzmu.

Niewidzialni

– Cieszę się, że mogłam z kimś porozmawiać – zwierza się Małgorzata pod koniec spotkania. – Wie pani, my tak naprawdę przestaliśmy wychodzić. Tylko na terapie i do sklepu.

Zdzisław: – Przestaliśmy już wprawdzie zwracać uwagę na oburzony wzrok starszych pań w tramwaju, kiedy Franek zaczyna krzyczeć albo uderzać się w głowę. Gdybyśmy mieli się tym przejmować, zwariowalibyśmy. Jednak każde wyjście z domu wiąże się z jakimś stresem.

– Moje życie towarzyskie nie istnieje – wyznaje Alicja. – Kiedy spotykałam się jeszcze z ludźmi, mówiłam tylko o Basi, potrzebowałam się wygadać. Ale znajomych zaczęło to pewnie irytować, sami nie mają takich problemów.

W historiach opowiadanych przez rodziców autystów powtarza się wątek izolacji, czasem strachu przed komentarzami, spojrzeniami, oceną.

– Dla niektórych spotkania z rodzicami dzieci bez takich problemów są niezwykle trudne – przyznaje Joanna Grochowska. – Słuchają wtedy o osiągnięciach innych dzieci, boją się porównań i oceny. W świecie, w którym dziecko jest wizytówką rodzica, zaburzenia u dziecka wiążą się z rodzajem stygmatu.

Co gorsza, można dojść do wniosku, że na stygmatyzację osób z autyzmem jest przyzwolenie społeczne. Kilka lat temu w magazynie „Plus Minus" „Rzeczpospolitej" Piotr Nowak, profesor filozofii i wykładowca na Uniwersytecie w Białymstoku, opublikował felieton zatytułowany „Czy ludzie niezrównoważeni psychicznie powinni być przyjmowani na uczelnie wyższe", postulując w nim wprowadzenie „ograniczonej dyskryminacji" na uniwersytetach. Choć historia dotyczyła wymyślonej postaci – prof. Niewieskiego – była prawdziwa i stanowiła aluzję do rzeczywistego studenta prof. Nowaka, który był osobą autystyczną.

Innym przykładem może być zeszłoroczna sytuacja w podstawówce na warszawskim Bemowie. Do jednej z klas drugich miało dołączyć dwoje dzieci autystycznych. Jednak reszta rodziców stanowczo się temu sprzeciwiła. „Już po zakończeniu roku szkolnego zorganizowano wspólne spotkanie dla rodziców. (…) Oprócz mam i ojców były na nim dyrektorka szkoły, jej zastępczyni i szkolna pedagog. Psychologa nie było, nie miał też wpływu ani na przebieg, ani na organizację tego spotkania, które trwało dwie godziny. To był lincz na nas, matkach dzieci ze spektrum autyzmu. Pozostali rodzice stawili wielki opór, bez ogródek wykrzyczeli nam, że nie chcą naszych dzieci – słyszymy od mam Karola i Amelki, pani Katarzyny i pani Magdy", czytamy na portalu Radia TOK FM.

Według badania przeprowadzonego przez Fundację JiM, zajmującą się wsparciem dla osób z autyzmem, aż 77% osób z zaburzeniami tego rodzaju odczuwa stres związany z przebywaniem w miejscach publicznych, a w 52% przypadków stres ten jest powodem niewychodzenia z domu. Według tego samego badania aż 20% rodziców dzieci autystycznych unika miejsc publicznych. Pytani o reakcje ludzi na trudne zachowania ich dzieci wskazywali najczęściej nieprzychylne spojrzenia (60%) i nieprzyjemne komentarze (46%), tj.: „Zadzwonię na policję, bo dziecko tak strasznie krzyczy!", „Co za niewychowane dziecko, co z pani za matka!" czy „Psychol!".

Rodzice dzieci z autyzmem nie mówią o heroizmie czy poświęceniu. A przecież ich życie to często walka.

– Kiedy planowałam dziecko albo chodziłam w ciąży, byłam bardzo szybka w ocenie rodziców i ich dzieci – mówi Małgorzata. – Nikogo nie krytykowałam otwarcie, ale myślałam swoje. Krzysiek mnie tego oduczył raz na zawsze.

– Moja córka nie będzie taka, jak ją sobie „zaprojektowałam" – odpowiada Alicja na pytanie, czy autyzm jej dziecka ma dobre strony. – Ona mnie uczy innego sposobu rozumienia świata. Czasem go nie rozumiem albo mnie irytuje, ale ciągle cieszę się, jeśli tylko ona chce mi chociaż trochę go pokazać.

Katarzyna Wierzbicka

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 4b09e5477c

Mateusz Mazzini

Wypłaty z programu Bolsa Família dostawały też rodziny mieszkające bez meldunku w fawelach. Warunkiem było to, że dzieci poniżej 17. roku życia musiały uczęszczać do szkoły.

Pieniądze jak pomost

Transfery pieniężne jako instrument walki z biedą i wykluczeniem stosuje dzisiaj 56 krajów na świecie

„Dlaczego ci ludzie mają dostawać pieniądze podatników za darmo? Nie można za to dofinansować szkół i szpitali?”. „Biedni i tak nie skorzystają, bo nie umieją zarabiać – tylko bogaci wiedzą, jak działa wolny rynek, więc mogliby coś z tymi pieniędzmi zrobić”. „Politycy kupują sobie poparcie, a debile sprzedają się za grosze. Czysty populizm”. Choć brzmią znajomo, komentarze te nie pochodzą z polskich dyskusji o 500+. Zostały wzięte spod eseju opisującego brazylijską kampanię Bolsa Família (Grant rodzinny), opublikowanego w brytyjskim dzienniku „The Guardian”. Bo bezpośrednie transfery gotówkowe budzą emocje na całym świecie – nawet w krajach, w których nie są stosowane.

Kiedy rząd Prawa i Sprawiedliwości obiecywał w 2015 r. wypłatę 500 zł miesięcznie na – początkowo – drugie i kolejne dziecko poniżej 18. roku życia, w Polsce zaczęła się zbiorowa histeria połączona z festiwalem demagogii. Opozycja najpierw oskarżała rządzących o populizm, wyrażający się w rozdawaniu pieniędzy za poparcie polityczne. Były to oskarżenia o tyle bezsensowne, że nawet gdyby PiS chodziło o czysto transakcyjną naturę dodatku 500+, byłby to raczej klasyczny przykład politycznego klientelizmu, w którym – jak sama nazwa wskazuje – elektorat zamienia się w partyjną klientelę. Bezpośrednie instrumenty finansowe z populizmem jako ideologią nie mają nic wspólnego, co wyjaśnia jeden z wiodących ekspertów w tym zakresie, prof. Cas Mudde, holenderski politolog z Uniwersytetu Georgii, w nowej książce „The Far Right Today” („Dzisiejsza radykalna prawica”).

Transfery pieniężne od dekad są używane jako instrument walki z biedą i wykluczeniem czy jako sposób na zniwelowanie nierówności społecznych i ekonomicznych. Według danych Banku Światowego dziś stosuje je w różnej formie 56 krajów na świecie, zarówno państwa bardzo biedne, np. Indonezja czy Kenia, jak i należące do najbogatszych, np. Włochy. I choć oczywiście wciąż mówi się, że to narzędzie do kupowania głosów i rozdawnictwo funduszy podatników, w wielu miejscach przyczyniły się do wyciągnięcia z biedy czy wysłania do szkoły milionów zmarginalizowanych wcześniej obywateli. Co najważniejsze, utrzymywane są nawet pomimo zmiany rządzącej opcji politycznej.

Wsparcie pod warunkiem

Najbardziej znanym i najdokładniej opisanym tego typu programem jest właśnie brazylijska Bolsa Família. Wprowadzona przez socjalistyczny rząd Luiza Inácia Luli da Silvy w 2003 r., pomogła zredukować odsetek mieszkańców żyjących poniżej poziomu ubóstwa o ponad połowę, z 9,7 do 4,3%. Aż 36 mln Brazylijczyków przeszło w ten sposób ponad granicę biedy. Rzecz jasna, nie jest to wyłącznie zasługa jednego programu, bo Lula brazylijską politykę społeczną wywrócił do góry nogami. Bolsa Família działała jako ważny, ale wciąż tylko element całego wachlarza instrumentów socjalnych. Program walki z niedożywieniem dzieci, znany jako Fome Zero (Zero głodu), czy strukturalna reforma systemu ubezpieczeń społecznych i emerytur mogły mieć podobny, a zdaniem niektórych większy wpływ na sukces walki z biedą w Brazylii. Niemniej jednak Bolsa Família wciąż stanowi dobry przykład do analizy, bo była właśnie tym demonizowanym przez liberałów instrumentem – pieniędzmi przekazywanymi do ręki.

Nie był to bynajmniej transfer bezwarunkowy. Takie w zasadzie nie występują; większość instrumentów opartych na bezzwrotnych przekazach pieniężnych jest obwarowana jakimiś warunkami. W przypadku Bolsa Família były to kryteria związane z edukacją i zdrowiem. Żeby dana rodzina otrzymała przysługujące jej miesięczne wsparcie w wysokości ok. 22 dol., wszystkie mieszkające w danym gospodarstwie domowym dzieci poniżej 17. roku życia musiały uczęszczać do szkoły, być zaszczepione na określone choroby i regularnie badane co najmniej do ukończenia

eprasa.pl 4b09e5477c

sześciu lat. Ciężarne kobiety musiały przejść badanie lekarskie przed porodem i po nim, a osoby starsze zostać zarejestrowane w systemie ubezpieczeń zdrowotnych. Tylko po spełnieniu wszystkich tych warunków rodzina mogła otrzymać wypłatę, bardzo często przekazywaną w gotówce.

Ważny w zasadach działania Bolsa Família był też fakt, że władze nie wykluczały z uczestnictwa w programie osób bez formalnego meldunku. W Brazylii ta kwestia to ogromny problem z powodu istnienia wielomilionowych slamsów oraz niemałego odsetka mieszkańców żyjących w głębi amazońskiej dżungli, gdzie adresy nie są skodyfikowane. Nawet rodziny mieszkające w takich miejscach dostawały wypłaty z Bolsa Família. Pod jednym warunkiem – że wcześniej dotarli do nich urzędnicy, którzy wyrobili im specjalne „karty obywatelskie", swoiste pozwolenia na bycie odbiorcą grantu.

I tu pojawia się pierwsza fundamentalna krytyka flagowego programu pierwszych lat prezydentury Luli. Żeby bowiem w ogóle uruchomić Bolsa Família, rząd musiał powołać nową instytucję, tzw. Cadastro Único, czyli Centralny Rejestr Osób Ubogich. Już samo stworzenie nowej jednostki i zebranie danych do zidentyfikowania adresatów Bolsa Família pochłonęło ogromne koszty. Zdaniem ówczesnej opozycji – stanowczo za duże, niewspółmierne do zysków. Firma doradcza aPolitical szacuje, że funkcjonowanie samego Cadastro Único pochłania rocznie aż 0,6% brazylijskiego PKB – bardzo dużo jak na jedną instytucję.

Drugi argument, równie często podnoszony przez krytyków, dotyczy aspektów etycznych. Centralny Rejestr Osób Ubogich przechowuje w tej chwili dane ok. 80 mln Brazylijczyków, czyli 40% gospodarstw domowych. Często są to informacje bardzo wrażliwe, wręcz intymne. Mimo to instytucja automatycznie udostępnia je innym organom państwowym. Ten przekaz danych uzasadnia zresztą istnienie rejestru. Trzymane w nim informacje są podstawą aż 32 instrumentów polityki społecznej, jednak korzystają z nich również wymiar sprawiedliwości, prokuratura, policja podatkowa, co zdaniem liberałów stanowi już zamach na prywatność obywateli.

Mimo to brazylijski rząd nadal wypłaca obywatelom pieniądze. I nawet prawicowy radykał Jair Bolsonaro tego wachlarza nie zwinął, przeciwnie, rozszerzył go, m.in. o powszechną 13. pensję.

Karta na pizzę, ale nie na wino

Transfery pieniężne powiązane z sytuacją na rynku pracy wprowadzili też Włosi. Poprzedni rząd ustanowił tam tzw. dochód obywatelski. To narzędzie skierowane przede wszystkim do osób nieaktywnych zawodowo. Bezrobotni mogą otrzymywać do 780 euro miesięcznie na osobę lub 1,3 tys. euro na rodzinę z dwójką dzieci, pod warunkiem że administracja nie znajdzie dla nich pracy w ciągu trzech miesięcy. Choć wygląda to jak typowy zasiłek dla bezrobotnych, ma dużo więcej kryteriów składowych. Bo żeby osoba została pozbawiona prawa do dochodu obywatelskiego, musi otrzymać ofertę pracy m.in. w promieniu do 50 km od miejsca zamieszkania, zgodną z jej poziomem wykształcenia i kwalifikacjami. W dodatku może te propozycje odrzucać, bo dopiero odmowa przyjęcia trzeciej powoduje odebranie wsparcia finansowego. Można je pobierać przez 18 miesięcy z rzędu, ale premier Giuseppe Conte zapowiada, że po tym okresie ponownie można będzie się ubiegać o pomoc.

W Chile i Maroku wypłaty zasiłków aktywizują kobiety na rynku pracy.

We włoskim dochodzie obywatelskim najważniejsza jest jednak forma wypłaty pieniędzy. Objęci programem nie dostają bowiem przelewu. Wysyłana jest im karta kredytowa z przypisanym kontem, na którym znajduje się miesięczna wypłata. Karty można użyć tylko do płacenia za artykuły spożywcze (bez alkoholu) i lekarstwa. I choć tylko w pierwszym roku funkcjonowania program ma kosztować ponad 7 mld euro, chwali go prawie cała Europa, z Angelą Merkel na czele.

Dla lepszego zdrowia i wykształcenia

Bezpośrednie transfery finansowe są fundamentem polityki społecznej również w Indonezji. Tam jednak, jak zauważa Vita Febriany z Instytutu Badań nad Rozwojem Azji Południowo-Wschodniej, najważniejsze okazało się nie samo wsparcie finansowe, ale jego otoczka. Indonezyjskie programy działają prawie identycznie jak Bolsa Família – rodziny muszą spełniać kryteria edukacyjne i zdrowotne, żeby otrzymać pieniądze. I choć z biedy wydźwignęło to znacznie mniej osób niż w Brazylii, przyczyniło się znacząco, jak pisze Febriany w ubiegłorocznym raporcie, do poprawy stanu zdrowia ubogich Indonezyjczyków oraz ich obecności w szkole. Pieniądze nie okazały się na tyle skuteczne, by wyeliminować ubóstwo, ale stworzyły pomost do lepszego zdrowia i szansy na wykształcenie. A w krajach tak słabo rozwiniętych to szansa na prawdziwy skok cywilizacyjny.

W Kenii bezpośrednie transfery pieniężne zastępują międzynarodową pomoc rozwojową. W Chile i Maroku aktywizują kobiety na rynku pracy. W Meksyku i RPA zwiększają odsetek zapisanych do szkół dzieci wśród mniejszości etnicznych. Stosowane są w krajach bogatych i biednych, mających najróżniejsze problemy. Bywają drogie i czasochłonne, ale często przynoszą spore zyski społeczne. Te najważniejsze, bo nieprzeliczalne na pieniądze. ■

Kim są żoliborscy sąsiedzi Jarosława Kaczyńskiego? **Odpowiedź w nowym numerze tygodnika „NIE".**

FOT. EAST NEWS/AFP

eprasa.pl 4b09e5477c

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Niemieckie ofiary krwawego rytuału

W RFN żyje coraz więcej obrzezanych kobiet i dziewczynek

Inaya ma 21 lat i pochodzi z Kenii. Już nie pamięta dnia, w którym została obrzezana, bo padła ofiarą tej praktyki jako kilkulatka. Ze skutkami okrutnej tradycji młoda Afrykanka walczy jednak do dziś. Ma nieustanne bóle, każda miesiączka jest dla niej piekielną męką. Inaya mieszka od roku w Berlinie i zamierza studiować prawo. Na razie uczy się języka niemieckiego, choć z powodu bólu nie zawsze może chodzić do szkoły. – Chciałabym zostać adwokatką i pomagać rodaczkom, które przechodzą to samo co ja – tłumaczy.

Według informacji UNICEF na świecie żyje ponad 200 mln obrzezanych dziewczynek i kobiet, głównie w Afryce, gdzie ten krwawy rytuał jest rozpowszechniony w ok. 30 krajach. Podobne praktyki stosowane są na Bliskim Wschodzie i w niektórych państwach azjatyckich. Codziennie obrzezanych zostaje 6 tys. dziewczynek, większość w Somalii, Tanzanii i Kenii, ojczyźnie Inai. W Kenii obowiązuje wprawdzie od 2011 r. zakaz okaleczania narządów płciowych, lecz nadal co piąta kobieta albo dziewczynka pada ofiarą tej tradycji. Wiele z nich pochodzi z rodzin zamieszkujących okolice miasta Kajiado w południowej prowincji Rift Valley, które hołdują własnym zwyczajom i obrzędom, nie przejmując się zbytnio kenijskim prawem. – Jedyne, co może pomóc tym dziewczynkom, to żmudna praca edukacyjna i przekazywanie doświadczeń dorosłej kobiety, która przeszła podobne męki – przekonuje Nice Nailantei Leng'ete, 28-letnia Kenijka, która zdaniem magazynu „Time" oraz stacji BBC zasługuje na miano jednej ze stu najbardziej wpływowych osób na świecie. Od lat jeździ po afrykańskich szkołach i próbuje uwrażliwić dzieci na następstwa barbarzyńskiej tradycji okaleczania genitaliów. – W Afryce prawem i ustawami nic nie wskórasz, wiedzą – owszem – wyjaśnia. Jej samej udało się uciec dzień przed terminem obrzezania, siostra natomiast bała się ucieczki i przypłaciła to zdrowiem. Od tej pory Nice Nailantei Leng'ete niestrudzenie walczy o prawa młodych Kenijek, głosząc hasło: *End Female Genital Mutilation!* (Koniec z okaleczeniem kobiecych narządów!).

Zamieszkanie w Niemczech nie chroni przed obrzezaniem. Zabiegi są wykonywane potajemnie lub w czasie wyjazdu do rodzinnego kraju.

Telefony z ośrodków dla uchodźców

Inaya niemal ciągle czuje zmęczenie. – Ostatnio jestem pod stałą opieką lekarską – opowiada. Kenijka czeka na operację w klinice Waldfriede w berlińskiej dzielnicy Steglitz-Zehlendorf, gdzie od kilku lat udziela się chirurgicznej i psychologicznej pomocy obrzezanym kobietom.

Dotąd nie ma żadnych oficjalnych informacji, ile kobiet przebywających w Niemczech jest okaleczonych. Według pierwszych, ostrożnych obliczeń organizacji praw kobiet Terre des Femmes w RFN mieszka ok. 65 tys. obrzezanych kobiet i dziewcząt, w tym ok. 15 tys. niepełnoletnich. Jest to znaczny wzrost w porównaniu z czasem sprzed 2015 r., co wynika głównie z kryzysu migracyjnego, wskutek którego przybyło do Niemiec tysiące kobiet z Somalii i Erytrei. – Klitoridektomia stała się bardzo konkretnym problemem cztery lata temu, kiedy napłynęła do Niemiec fala uchodźców. Spotykają się z nim przede wszystkim lekarze z klinik i gabinetów znajdujących się w pobliżu schronisk dla imigrantów – wskazuje Doris Scharrel, wiceszefowa Związku Zawodowego Ginekologów (BVF).

Z ustaleń Światowej Organizacji Zdrowia wynika, że okaleczanie narządów płciowych wiąże się nie

eprasa.pl 4b09e5477c

tylko z cierpieniem kobiet, ale także z poważnymi zagrożeniami dla zdrowia matki i dziecka podczas porodu. Jedynym rozwiązaniem okazuje się najczęściej cesarskie cięcie. Mimo że berliński szpital Waldfriede był kilka lat temu jednym z pierwszych miejsc w Europie, gdzie pomagano obrzezanym kobietom (patronką placówki jest znana somalijska modelka i autorka pamiętnego „Kwiatu pustyni" Waris Dirie, która wspiera berlińską klinikę poprzez swoją fundację Desert Flower Centre), po roku 2015 okazało się, że nawet nowoczesna niemiecka ginekologia nie była przygotowana do udzielenia pomocy licznie napływającym Afrykankom. – Przez jakiś czas prawie codziennie dzwonili do nas działacze społeczni z ośrodków dla imigrantów, którzy zauważali, że dziewczyny mają stany zapalne i silne bóle miesiączkowe – mówi Roland Scherer, główny chirurg w szpitalu Waldfriede, gdzie lekarze od jakiegoś czasu przeprowadzają zabiegi mające ułatwić afrykańskim pacjentkom oddawanie moczu i poród lub po prostu pomóc im odzyskać kobiecość. Lista schorzeń związanych z klitoridektomią jest długa – począwszy od niemożności utrzymania moczu, a na tworzeniu się cyst i bezpłodności skończywszy, nie mówiąc już o traumie, która często pozostaje do końca życia. W berlińskim szpitalu zoperowano w ciągu sześciu lat już ponad 200 obrzezanych kobiet, a ponad 1000 udzielono pomocy psychologicznej. Koszty rekonstrukcji narządu, na którą czeka także Inaya, pokrywają najczęściej urzędy ds. socjalnych.

Okaleczanie pod osłoną wesela

Rytuałów obrzezania dziewczynek jest tyle, ilu tradycjonalistów próbujących je objaśnić. W zależności od regionu obejmują one zabiegi od nacięcia łechtaczki do całkowitego usunięcia kobiecych zewnętrznych narządów płciowych. Przeprowadzane są one często w fatalnych warunkach higienicznych, niekiedy za pomocą niesterylnych żyletek lub szkła ze stłuczonej butelki. Następnie dziewczęta są niemal całkowicie zaszywane, a wydalanie moczu i krwi menstruacyjnej jest możliwe wyłącznie przez małą dziurkę lub osadzoną w pochwie rurkę. Zwykłe oddawanie moczu może więc być dla okaleczonych kobiet męczarnią, trwając nawet pół godziny. Na południu Kenii owe rytuały bywają praktykowane już na pięciolatkach – bez żadnego znieczulenia. Rodziny próbują przekonać dziewczynki argumentem, że bez owego zabiegu będą wiecznie nieczyste. W rzeczywistości jednak chodzi o zupełną kontrolę nad życiem seksualnym dziewcząt w patriarchalnych rodzinach. Jednym z plemion, w których popularne jest obrzezanie kobiet, są Masajowie zamieszkujący południe Kenii i północną Tanzanię.

W berlińskim szpitalu Waldfriede zoperowano w ciągu sześciu lat ponad 200 obrzezanych kobiet.

Odkąd obrzezanie stało się w Kenii karalne, tradycyjne rodziny coraz częściej uciekają się do rozmaitych wybiegów, np. okaleczając córki już w wieku niemowlęcym. – Niemowlę i tak zawsze krzyczy, wtedy łatwiej ukryć okaleczenie przed policją. Poza tym tak małe dzieci traktują później swoje okaleczone narządy jako coś normalnego – wyjaśnia Nice Nailantei Leng'ete.

28-letnia Kenijka Nice Nailantei Leng'ete niestrudzenie walczy o prawa młodych rodaczek.

Przebieg samego rytuału Kenijka opisuje na podstawie opowieści zasłyszanych od matek. – Mężczyźni opowiadają sąsiadom i policji, że urządzają w domu wesele. Podczas głośnej imprezy najęte do tego „specjalistki" dokonują obrzezania, kładąc trzymane przez ojca i wujków niemowlę na krowiej skórze – opowiada. Matki pozostają w większości bierne i akceptują rodzinne tradycje. Pomoc medyczna brana jest pod uwagę dopiero wtedy, gdy komplikacje po zabiegu zagrażają życiu dziecka. Ostatnie słowo i tak mają jednak ojcowie, co sprawia, że na pomoc może być za późno. Zresztą niezależnie od tego, w jakim wieku dziewczynka przechodzi obrzezanie, gdy jako dorosła przeżywa inicjację seksualną, mężczyźni nierzadko muszą sięgać po nóż.

Przez synów dotrzeć do ojców

Nice Leng'ete pracuje od kilku lat jako referentka ds. obrzezań w afrykańskiej organizacji zdrowia Amref Health Africa, działającej na rzecz uświadamiania kobiet. Chce zmienić nastawienie rodaczek, które z kolei mogą uchronić przed barbarzyńskim rytuałem swoje nieletnie córki. Przede wszystkim rozmawia jednak z samymi dziewczynkami – w szkołach, na ulicach, w małych miejscowościach na prowincji. 20 lat temu uciekła z domu, dzisiaj radzi dziewczynkom, które nie mogą odwieść rodziców od fatalnej decyzji, aby zrobiły to samo. Nice zwraca się także do ojców, usiłując ich namówić jeśli nie do zmiany decyzji, to przynajmniej do zmiany przebiegu rytuału, który powinien być bezkrwawy. – Przeistoczenie się afrykańskiej dziewczynki w kobietę powinno być uwieńczone uroczystością, ale normalną, czyli np. tańcami i wspólną kolacją. Rodzice powinni zrozumieć, że okaleczając córkę, niszczą jej życie – wskazuje.

Jak na warunki w swoim kraju Nice Leng'ete sporo już osiągnęła. To m.in. dzięki jej zaangażowaniu w ostatnich pięciu latach na pograniczu Kenii i Tanzanii ocalono przed obrzezaniem ok. 16 tys. dziewczynek. – Młode Kenijki powoli się uczą, że stają się kobietami nie za sprawą okrutnych rytuałów, lecz dzięki uzyskaniu świadomości posiadania własnych praw – tłumaczy. I zarazem przyznaje, że mimo starań często trafia ze swoją misją w próżnię – zwłaszcza jeśli chodzi o kenijskich mężczyzn. Świat Masajów to bowiem głównie świat dominujących mężczyzn, którym tradycja

FOT. FRANK RUMPENHORST/DPA/DPA PICTURE-ALLIANCE/EASTNEWS, INSTAGRAM.COM/NICELENGETE

eprasa.pl 4b09e5477c

pozwala mieć kilka żon i zastępować najstarszą kobietę znacznie młodszą, która jest w stanie wykonywać ciężką pracę.

– Jeśli chcieliśmy długofalowo coś zmienić i skończyć z fatalną w skutkach klitoridektomią, musieliśmy zacząć rozmawiać z ojcami, którzy w rodzinach Masajów dzierżą niepodzielną władzę – opowiada Nice Leng'ete. Kłopot w tym, że niewielu starszych mężczyzn z tej grupy etnicznej reagowało na jej widok entuzjazmem. Kenijska działaczka zaczęła więc od rozmów z ich synami, którym często szybciej zdołała uświadomić skutki okaleczania ich sióstr i którzy następnie mogli wpływać na rodziców. – W ten sposób już spora część Masajów wycofała się ze swoich tradycji albo znalazła alternatywne, bezbolesne rozwiązania.

Wakacyjny koszmar

Co niepokojące, pobyt w Europie Zachodniej i obowiązujące tam prawo też nie zawsze chroni młode Afrykanki przed krwawymi rytuałami. W Niemczech obrzezanie jest wprawdzie karalne, ale lekarze z kliniki Waldfriede coraz częściej słyszą o nielegalnych zabiegach. Podobnie jak w Kenii są one organizowane jak uroczystość, a przybyłe do Niemiec rodziny sprowadzają specjalnie z Afryki starsze kobiety, które wykonują to zadanie. – Słyszymy, że takie zabiegi są dokonywane przeważnie w weekendy, gdzieś w ukrytych miejscach – twierdzi Scherer, który jest bezradny, podobnie zresztą jak niemieccy stróże prawa. Ponieważ rytuały obrzezania są skrupulatnie zaplanowane i okryte tajemnicą, brakuje konkretnych dowodów. Dlatego dotychczas nie było niemal żadnych doniesień na policję.

Aby uniknąć kary, osiadłe w Niemczech afrykańskie rodziny dokonują obrzezania córek w ojczyźnie.

Aby uniknąć kary, osiadłe w Niemczech afrykańskie rodziny dokonują obrzezania córek również w krajach pochodzenia. W ten sposób pierwszy pobyt dziewczynek w ojczyźnie rodziców staje się koszmarem. – Migracja do Europy wcale nie kładzie kresu tym praktykom – martwi się Charlotte Weil z berlińskiego oddziału Terre des Femmes. Od 2015 r. klitoridektomia jest wprawdzie zakazana w Niemczech również wtedy, gdy przeprowadza się ją za granicą, ale afrykańskie rodziny nie mają większych trudności z ukryciem przed niemieckimi służbami powodu wyjazdu. Nawet niemieccy pediatrzy wzdragają się przed informowaniem policji, chociaż oglądając dziecko, natychmiast dostrzegają zmiany w jego genitaliach. Głównym powodem takiego postępowania jest dochowanie tajemnicy lekarskiej lub zwyczajna obawa przed rodzinami pacjentów.

– Lekarze dziecięcy rzadko donoszą na policję, próbują raczej delikatnie uświadomić rodziców, aby zapobiec obrzezaniu młodszego rodzeństwa. Nie możemy bowiem wykluczyć tego, że zdrowe dziewczynki, urodzone i żyjące w Niemczech, zostaną trwale okaleczone – zaznacza Hermann Josef Kahl, pediatra z Düsseldorfu i rzecznik niemieckiego Związku Zawodowego Pediatrów (BVKJ). Jak opowiada, do obrzezania dziecka w kraju pochodzenia dochodzi niekiedy nawet wbrew woli samych rodziców, którzy w Niemczech zostali uświadomieni o skutkach tej tradycji. Wówczas dalsza rodzina dokonuje okaleczenia pod ich nieobecność. Organizacja Terre des Femmes apeluje tymczasem do wszystkich niemieckich lekarzy, a także do pracowników społecznych i nauczycieli, aby byli bardziej wyczuleni na intymne problemy młodych imigrantek. Próbuje im uzmysłowić, że wymiar sprawiedliwości może wkroczyć jedynie wtedy, gdy zostanie złożone doniesienie o przestępstwie. Tutaj Niemcy mogą wziąć przykład z Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie za nielegalną klitoridektomię wytoczono już niektórym afrykańskim i arabskim rodzinom procesy sądowe. W Niemczech nie było dotąd ani jednego takiego przypadku. Same ofiary nie ośmielają się pozwać kogoś z rodziny. Inaya z Berlina też już tego nie chce. Pragnie tylko odzyskać swoją kobiecość, a wraz z nią pogodę ducha. – Nie wiem, czy będę mogła kiedykolwiek mieć dzieci – mówi. – Ale chciałabym mieć syna, którego wychowam na prawdziwego mężczyznę, będącego w stanie pokochać nieokaleczoną i pewną siebie młodą dziewczynę.

Codziennie na świecie obrzezanych zostaje 6 tys. dziewczynek.

Wojciech Osiński

eprasa.pl 4b09e5477c

Oko w oko

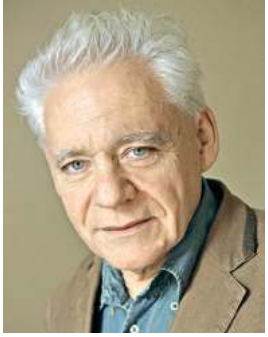

Tomasz Jastrun

Życie w pudłach

To niezwykłe, jak w naszych czasach zmienił się stosunek do dzieci. Tak nie było jeszcze nigdy w historii ludzkości. Pięknie o tym napisał Jesper Juul: „Współcześnie nadal oswajamy się z ideą, że dzieci są nie tylko odrębnymi istotami, ale także stanowią wartość samą w sobie, gdyż są wyjątkowe i dobre tylko dlatego, że istnieją!”. Jadę na spotkanie z dziećmi do Lublina. Piękna nowa biblioteka, świetnie pomyślana przez architekta. Dzieci w wieku 10 lat. Byłem w formie, jakby stres podróży dodał mi skrzydeł. A stałem w korkach, bo budują trasę ekspresową. I lęk, że się spóźnię. Czytam jedno opowiadanie. Co chwila o coś pytam dzieci. Wszystko wiedzą. Genialne. A to zwykła szkoła publiczna. Pytam, czym się różni reportaż od opowiadania w formie literackiej. Dziewczynka podnosi rękę i mówi, że reportaż jest oparty na faktach, a opowiadanie bardziej na wyobraźni. Miewałem warsztaty literackie z dorosłymi czy ze studentami, nikt tak ładnie tego nie zdefiniował. Pytam, co to znaczy, że ktoś jest hipochondrykiem, bo to słowo jest w książce. Las rąk. Kto z was ma jeszcze podwórko i może się na nim bawić? Tylko kilka osób. Śmierć podwórek to ważne zjawisko cywilizacyjne. A jeśli jest już podwórko, to co na nim najważniejsze? Trzepak, mówią. Zgadza się. Czas ich pytań, dziewczynka: czy miewa pan blokady twórcze? Świetne określenie, odpowiadam, właśnie mam taką blokadę, nie wiem, jaką nową książkę pisać. I oczywiście pada jak zawsze pytanie: ile ma pan lat? Odpowiadam, że za dużo. Uśmiechają się pobłażliwie. Tyle mam czułości dla tych dzieci, tak dobrze im życzę. Jaką Polskę im zostawimy? Czy taką, jaka jest teraz, chorą, zatrutą kłamstwem i nienawiścią?

Śmierć podwórek to ważne zjawisko cywilizacyjne.

•

Jestem w Lublinie z żoną, spacerujemy po Starym Mieście. Słońce, ciepło. Obiad na Rynku. To są te chwile szczęścia. Im bardziej chce się je zatrzymać, tym szybciej uciekną.

•

Mój znajomy ma firmę turystyczną w Niemczech, wyemigrował wiele lat temu z Polski. Bankrutuje. Niemcy mniej chętnie jeżdżą do Polski. Zdaniem właścicieli biur turystycznych przyczyną omijania Polski jest to, że PiS doszło do władzy i kojarzy się Niemcom z ksenofobią i niechęcią do nich. Kolega cytuje mi fragment artykułu z „Die Welt”: „Wroga wobec uchodźców i homoseksualistów retoryka partii rządzącej i głośno podnoszone roszczenia reparacyjne za popełnione w II wojnie światowej przez Niemców zbrodnie odstraszają potencjalnych niemieckich turystów”. Kolega pisze: „To jakby ktoś trzymał w jednej ręce katalog turystyczny z ofertą wyjazdów do Polski, a w drugiej ogromny rachunek za szkody i grzechy dziadka, czy częściej już pradziadka, wyrządzone podczas II wojny”.

•

Moje 69. urodziny. Niektórzy mają skojarzenia erotyczne. A tak poważnie to znowu jestem na jakimś progu. Mogę tylko powtórzyć za Nałkowską: „Wszystkiego się spodziewałem, ale że będę stary, nigdy”. Na razie jestem tylko trochę stary albo raczej czasami czuję się młody, czasami stary, a jak młody, to coś jakby mi w tym przeszkadza, krępuje mnie, ale wiem, że przyjdzie dzień, gdy zostanie tylko to ostatnie.

•

Nadal poluję na zdjęcia z lat 40. i 50. do mojej książki „Dom pisarzy w czasach zarazy”. Oglądam archiwa krytyka Ryszarda Matuszewskiego, mam wrażenie, że wczoraj odwiedzam go niemal 96-letniego, był pełen życia i planów na przyszłość. A tu minęło już osiem lat od jego śmierci. Zarchiwizował pod koniec życia wszystkie swoje zdjęcia, miał ich setki, sam też fotografował. Są w kilkunastu grubych albumach. Podpisane i obszernie skomentowane, dowód na świetną pamięć niemal stulatka. Najbardziej wzrusza, gdy znajduję na tych czarno-białych fotografiach swoich młodych rodziców. Potem jestem u Natalii, córki Wiktora Woroszylskiego, i u Agnieszki, mojej stuletniej przyjaciółki, córki Juliusza Żuławskiego. Natalia mieszka w mieszkaniu po rodzicach, w pobliżu placu Wilsona. Piękne, wielopokojowe mieszkanie. I u Natalii, i u Agnieszki wspinaczki, by ściągnąć pudła gdzieś z wysoka. I oto całe życie człowieka w obrazkach mieści się w tych kilku pudłach. Jest w tym rozpacz i smutek przemijania.

•

Już nie spotykam optymistów, wszyscy widzą ciemno. Jeśli przegramy wybory, to już nie będzie, że jakoś to będzie, oni nie są aż tak szaleni ani źli. Są tak szaleni i źli. Program wyborczy PiS, jak się go dotyka, zaczyna wydzielać nieprzyjemny zapach, trochę Wenezueli, trochę Turcji, a także naszego rodzimego zaścianka z wychodkiem za stodołą.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b09e5477c

Bursztynowy mroczny szlak

Nie wiadomo, ile jantaru wjeżdża nielegalnie z Ukrainy i kto na tym w Polsce zarabia

Ewa Smolińska-Borecka

W marcu 2016 r. olsztyńska Izba Celna wystawiła na licytację ważącą 1,4 kg bryłę bursztynu zarekwirowanego na polsko-rosyjskiej granicy.

Funkcjonariusze CBA przyjechali z Rzeszowa. Mieli na sobie sportowe ubrania w stonowanych barwach, a na głowach kominiarki. Jeden na kominiarkę założył jeszcze ciemne okulary, choć wcale nie było nazbyt słonecznie. Jak doniósł portal z Jarosławia, grupa rzeszowskich funkcjonariuszy w piątkowe popołudnie, 13 września, podjechała pod znaną jarosławską restaurację na obrzeżach miasta. Nazwy restauracji portal nie podał, co każe przypuszczać, że lepiej sprawy nie nagłaśniać ani za bardzo się nią nie interesować. W restauracji byli zwykli goście, a także sześciu mężczyzn, z powodu których pojawiło się CBA. Kiedy mężczyźni wyszli z lokalu i zbliżali się do luksusowych samochodów, zostali ogłuszeni granatami hukowymi, rzuceni na ziemię i zatrzymani. Na każdego zatrzymanego przypadało nawet trzech funkcjonariuszy, więc tłok na parkingu był ogromny. A goście restauracji mogli podziwiać, jak sprawnie działa CBA i jak przebiegła akcja specjalna tej formacji.

Do dziesięciu lat więzienia

Jak później się okazało, sześciu zatrzymanych miało się zajmować przemytem na wielką skalę bursztynu z Ukrainy do Polski. Pięciu to Ukraińcy, plus Polak, biznesmen z Jarosławia. Dwóch Ukraińców podawało się za funkcjonariuszy ukraińskich służb specjalnych, chcąc zapewne przekonać CBA, że wykonują jakąś tajną misję, ale im nie uwierzono. Całej szóstce prokurator Maciej Florkiewicz, naczelnik Lubelskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Lublinie, postawił zarzut udziału w zorganizowanej międzynarodowej grupie przestępczej i uszczuplenia należności publicznoprawnych w wielkich rozmiarach z powodu niezapłacenia ponad 23 mln zł podatku VAT. Polskiemu biznesmenowi dodatkowo zarzucono powoływanie się na wpływy w Urzędzie Miasta Jarosław i w Urzędzie Gminy Jarosław. Mężczyźni zostali zatrzymani w areszcie na trzy miesiące. Grozi im kara do 10 lat więzienia.

W marcu 2016 r. w Dorohusku udaremniono przemyt prawie półtorej tony bursztynu. To największy jednorazowy przemyt bursztynu zatrzymany na granicy.

CBA ustaliło, że działalność przemytnicza domniemanej grupy trwała prawie pięć lat, od 2014 r. Przerzuty bursztynu do Polski odbywały się co tydzień albo dwa. Za każdym razem towar był pakowany w cztery paczki po 50 kg, więc jednorazowo przemycano 200 kg bursztynu. Do obliczenia kwoty niezapłaconego podatku VAT przyjęto, że przerzuty odbywały się co dwa tygodnie, a jednorazowo przemycano jedynie 50 kg, co dało 6 ton bursztynu. Przyjmując, że był on słabej jakości i kilogram kosztował 18 tys. zł, CBA ustaliło, że w ciągu pięciu lat przemytnicy przerzucili przez granicę bursztyn o wartości 102 mln zł, a 23-procentowy VAT, który powinni zapłacić, wynosi 23,46 mln zł.

Nie ma żadnych informacji dotyczących wielkości bryłek bursztynu przemyconego do Polski tego dnia. Dlaczego więc jego cenę ustalono na 18 tys. zł za kilogram? Najczęściej przy zatrzymaniach przemycanego z Ukrainy bursztynu dokonywanych przez służby celne, bo zwykle to one lub funkcjonariusze CBŚP udaremniają przemyt, przyjmuje się, że cena kilograma bursztynu wynosi 1 tys. zł. Choć zdarzało się, że przyjęto nawet 16 tys. zł. Jak podkreśla Michał Kosior, dyrektor Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, bursztyn to nie węgiel i rozpiętość cen bywa tu ogromna. Zależy m.in. od wielkości brył, barwy, przejrzystości, kształtu, występowania pęknięć.

Trudno się dowiedzieć, jakie są ceny bursztynu oferowanego przez przemytników. Według programu TVN „Superwizjer" z października 2018 r. drobny ukraiński bursztyn na czarnym rynku można kupić po 150 zł za kilo, trochę grubszy kosztuje 200 zł, a jeszcze grubszy – 700 zł za kilo. Nawet cena pochodzącego z polskich złóż surowca nie jest tak wysoka, jak przyjęło CBA. Dwa złoża o wielkości 1,4 tony znajdujące się na Mierzei Wiślanej w miejscu, w którym ma być poprowadzony przekop, specjalistyczna firma wyceniła na 1,4 mln zł, czyli 1 tys. zł za kilogram. Jeśli przyjąć

eprasa.pl 4b09e5477c

dla ukraińskiego bursztynu taką właśnie cenę, to 6 ton byłoby warte nie 102 mln zł, ale 6 mln zł. A niezapłacony VAT wynosiłby 1,38 mln zł, a nie 23 mln zł. Co oczywiście robi znacznie mniejsze wrażenie.

Stolica w Gdańsku

Za światową stolicę bursztynu uznawany jest Gdańsk. Nie oznacza to, że oferuje się tam wyroby wyłącznie z polskiego bursztynu. – Antwerpia jest nazywana światową stolicą diamentów, a przecież w Belgii nie ma złóż tych kamieni – mówi Michał Kosior. – Specjaliści z Antwerpii słyną ze szlifowania diamentów, a jubilerzy z Gdańska słyną z projektowania i produkcji biżuterii z bursztynu. W tym mieście powstaje 70% światowej biżuterii bursztynowej.

Polscy bursztynnicy od lat wspomagają się surowcem pochodzącym z zagranicy. Największe złoże na świecie znajduje się w obwodzie kaliningradzkim – jest tam ok. 80-90% światowych pokładów bursztynu. Ocenia się jednak, że tylko 10% wydobywanego tam bursztynu nadaje się do celów jubilerskich. Ponadto złoża leżą na dość dużej głębokości, od 60 do 100 m, co podnosi koszty pozyskiwania surowca. Do 2015 r. właśnie zakłady z obwodu kaliningradzkiego były głównym dostawcą bursztynu do Polski. Jednak sytuacja zmieniła się, po tym jak Rosja wprowadziła zakaz eksportu bursztynu do Polski. Najłatwiej byłoby sięgnąć po surowiec z Ukrainy, która na północnym zachodzie ma drugie co do wielkości złoża bursztynu bałtyckiego. W porównaniu z rosyjskimi mają one dwie zalety. Po pierwsze, są położone płytko – od 2 do 10 m, a po drugie, aż 25% surowca nadaje się do obróbki jubilerskiej.

Jednak korzystanie z nich okazało się niemożliwe, gdyż przez lata wydobycie bursztynu było zmonopolizowane przez rodzinę i zaufanych ludzi prezydenta Wiktora Janukowycza. Dopiero po jego upadku i ucieczce z kraju na rynku wydobycia bursztynu powstała próżnia, w którą weszli dotychczasowi kopacze. Zaanektowali tereny bursztynonośne i zaczęli je eksploatować. Potem zaś pojawiła się mafia, która pobiera opłaty za wydobycie. Ten bursztyn wydobywany jest nielegalnie i nie może być oficjalnie eksportowany. Są wprawdzie na Ukrainie kopalnie legalne, prowadzone przez dwie firmy, ale ich wydobycie jest niewspółmiernie niższe. Dlatego przemyt przez polsko-ukraińską granicę kwitnie.

Bursztynowy węch Giny

Był marzec 2016 r. Na przejście graniczne z Ukrainą w Dorohusku wjechała ciężarówka. Miała polskie numery rejestracyjne, za kierownicą siedział Polak, obok ukraiński pomocnik. Do odprawy zgłoszony był jakiś towar przewożony w workach. Celnicy kazali otworzyć samochód. Pod workami z legalnym ładunkiem odnaleźli worki i kartonowe pudła wypełnione nieobrobionym bursztynem. Jego waga wynosiła prawie 1,5 tony! Był różnej wielkości – od drobnicy do brył jak strusie jajo. Celnicy ustalili średnią cenę kilograma bursztynu na 16 tys. zł. Przy takim założeniu wartość przemytu wyniosła 24 mln zł, a VAT, który powinien być zapłacony – 5,52 mln zł. Był to największy jednorazowy przemyt bursztynu zatrzymany na granicy. Ten rekord do dziś nie został pobity.

Zatrzymania przemytu bursztynu z Ukrainy zdarzają się regularnie. Celnicy mają nawet psy przeszkolone do jego znajdowania. W czerwcu 2018 r. suczka Gina z Podkarpackiego Urzędu Celno-Skarbowego w Przemyślu wskazała, że w samochodzie osobowym prowadzonym przez obywatela USA bursztyn schowany jest w nadkolach. Jego waga wynosiła 19,45 kg, a wartość oceniono na 39 tys. zł. W listopadzie 2018 r. na przejściu granicznym w Korczowej zatrzymano rekordowy w tamtym roku przemyt – 275 kg. Bursztyn był ukryty w samochodzie osobowym na polskich numerach rejestracyjnych, którym kierował obywatel Ukrainy. W tym przypadku przyjęto, że cena kilograma bursztynu wynosiła 1 tys. zł, więc przemycana partia miała wartość ok. 275 tys. zł, a VAT, który należało uiścić – 63 tys. zł.

Bywa, że bursztyn przemyca się po prostu w ubraniu. Tak zrobiło dwóch Ukraińców, których w maju br. zatrzymano na przejściu w Krościenku. Siedem dużych bursztynów ważyło prawie 2 kg, a ich łączną wartość określono na 21 tys. zł. W sierpniu br. funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej zatrzymali na przejściu w Medyce obywatela Gruzji, który próbował wwieźć do Polski bursztyn o wadze 0,8 kg. Wartość kamienia oceniono na 20 tys. zł.

Poezje prof. Jędryska

W kwietniu ub.r. na konferencji w Szczecinie prof. Mariusz Orion Jędrysek, ówczesny główny geolog kraju i pełnomocnik rządu ds. polityki surowcowej państwa, powiedział: „Polskie bursztyniarstwo to duma narodowa, dlatego nie może bazować na przemycie i kradzieży. (…) Z szacunków Ministerstwa Środowiska wynika, że jedynie 600 kg bursztynu jest pozyskane legalnie, z ok. 10 ton znajdujących się rocznie w obrocie”.

Co na to bursztynnicy? – Prof. Jędrysek jest poetą – mówi krótko dyrektor Kosior. – Nie wiem, skąd wziął te dane.

Faktycznie według przygotowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut

Bursztyn zarekwirowany przez celników w Korczowej w listopadzie 2018 r.

FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP, KRAJOWA ADMINISTRACJA SKARBOWA

eprasa.pl 4b09e5477c

Badawczy raportu „Bilans zasobów złóż kopalin w Polsce" dotyczącego 2018 r. 0,7 tony bursztynu pochodziło z krajowych złóż, a 5-6 ton jest pozyskiwane przez zbieraczy na plażach. Na jakiej więc podstawie prof. Jędrysek twierdził, że jedynie 0,6 tony bursztynu zostało pozyskane legalnie? A oficjalny import?

– Przy handlu wewnątrzunijnym, czyli np. z Litwy, skąd łatwiej kupić bursztyn, nie są dokonywane żadne odprawy celne i dodatkowe raportowanie – informuje dyrektor Kosior. – Płacony jest podatek VAT, ale żaden urząd nie wie, od jakiego towaru. Podobnie w imporcie spoza Unii żadne ministerstwo nie ma dokładnych danych, gdyż bursztyn jest w jednym numerze taryf celnych z innymi dobrami. Polscy importerzy kupują legalnie kaliningradzki bursztyn, sprowadzając go m.in. z Chin, które mogą handlować bursztynem z Rosją. Nie wiem też, skąd brały się ceny bursztynu, które podawał prof. Jędrysek, kiedy resort środowiska przygotowywał nowelizację prawa geologicznego. Już trzy lata temu powstał taki projekt w ministerstwie, a teraz powrócono do tego pomysłu. Narodziła się propozycja, by opłatę eksploatacyjną za wydobycie bursztynu podwyższyć z 10,26 zł do 800 zł za kilogram, co w kolejnych próbach nowelizacji spadło do 300 zł i 200 zł. Zdaniem ministerstwa 200 zł to opłata stosowna, bo jak twierdził prof. Jędrysek, kilogram bursztynu jest wart co najmniej 3 tys. zł, najczęściej 8 tys. zł, a czasami nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych. Zdaniem moim i innych bursztynników to kompletnie nieprawdziwe wielkości. Owszem, duże bryły mogą być warte nawet kilkanaście tysięcy złotych za kilogram, ale miał bursztynowy to cena poniżej 50 zł za kilo. Chciałem nawet profesorowi kiedyś wysłać worek drobnego bursztynu, żeby go ode mnie kupił za cenę, którą podaje.

Na granicach morskich, lądowych i lotniczych zatrzymano w ubiegłym roku ponad 1,2 tony bursztynu. Z tego na rynek jubilerski trafiło 0,81 tony, zakupione na aukcjach organizowanych przez izby administracji skarbowej. I tak oto wydobywany pod okiem mafii jantar został przez polskie państwo wyprany. Nie wiadomo, ile ton bursztynu wjechało nielegalnie i kto na tym dorobił się fortuny.

Ewa Smolińska-Borecka

Sprawiedliwe podatki

Celem polityki społecznej PiS jest nie zasypywanie nierówności, ale kupowanie poparcia, które ma ułatwić marsz w kierunku autorytaryzmu

Rozmawia Joanna Walczak

Ma pani za sobą już trzy kadencje na Wiejskiej. Nie czuje się pani spełniona jako posłanka?

– Pyta mnie pani, dlaczego kandyduję? Przez lata mówiono, że zagrożeniem dla demokracji jest Sojusz Lewicy Demokratycznej. I co? To brak lewicy w Sejmie otworzył drogę do autorytaryzmu. Chcę wzmocnić projekt zjednoczonej lewicy, mam wieloletnie doświadczenie w pracy parlamentarnej – nie muszę uczyć się jej od początku. Jestem pewna, że nasz sukces wyborczy będzie kluczem do rzeczywistej zmiany.

Czyli?

– Takiej polityki społecznej, która wspiera pracę, dochody z pracy, i która troszczy się o sektor publiczny. Rządy PiS przybliżyły katastrofę sektora publicznego. Mamy chaos w szkołach, upadającą pod ciężarem długów i z braku personelu służbę zdrowia, klęskę programu mającego ułatwić dostęp do tanich mieszkań. A jak wygląda wsparcie dla osób niepełnosprawnych i seniorów wymagających stałej opieki? W Polsce pisowskiego dobrobytu więcej ludzi umiera, niż się rodzi, spada średnia długość życia. Mimo wysokiego wzrostu gospodarczego rośnie skrajne ubóstwo. Wiem coś o tym, bo od wielu lat zajmuję się problemami społecznymi. Zajmowałam się nimi w Sejmie, zajmuję się nimi poza parlamentem. Współtworzyłam Stowarzyszenie Lepszy Gdańsk, jestem jego prezeską. Udało nam się uzyskać m.in. wprowadzenie bezpłatnych przejazdów dla dzieci i młodzieży oraz zmniejszenie odpłatności za usługi opiekuńcze. Z pomocą wybitnych prawniczek i prawników pracowałam nad projektem ustawy kładącej kres ukrywaniu pedofilii w Kościele.

Politycy SLD skarżyli się po przegranych wyborach w 2015 r., że PiS ukradło lewicy postulaty.

– Nie ukradło, choć rzeczywiście w państwie neoliberalnej teorii i praktyki pierwsze od lat hojne transfery socjalne oszołomiły wielu komentatorów i polityków, przesłaniając zapaść w usługach publicznych. Polityka społeczna PiS nie ma nic wspólnego z jej socjaldemokratycznym modelem. Jej celem jest nie zasypywanie nierówności, lecz kupowanie poparcia, które ma ułatwić partii rządzącej marsz w kierunku autorytaryzmu. Dlatego pieniądze płyną do kieszeni potencjalnych wyborców, a równocześnie powiększa się braki w finansowaniu oświaty czy służby zdrowia.

PiS chwali się, że podniosło nakłady na opiekę zdrowotną.

– To dlaczego mamy coraz dłuższe kolejki do specjalistów, do zabiegów, do badań? Wizytówką polityki PiS w służbie zdrowia jest katastrofa SOR-ów, zamykanie całych oddziałów szpitali, w tym onkologicznych. Lista leków refundowanych dla wielu oznaczała kilkaset procent podwyżki. W czasie rządów PiS po raz pierwszy od wielu lat pogorszyły się wskaźniki obrazujące postęp w jakości zdrowia publicznego.

Rząd ogłosił sukces reformy oświaty.

– Każdy widzi bałagan panujący w szkołach w wyniku tej „reformy". Ale jej długofalowe skutki są dopiero przed nami. Ostatnie zmiany, ale i wcześniejsze „reformy" skutkują segregacją – dzieci z biednych rodzin i małych miejscowości będą miały coraz mniejsze szanse na naukę w dobrej szkole, studia na renomowanej uczelni. Nie lepiej jest w innych dziedzinach. Brakuje instytucjonalnego i środowiskowego wsparcia dla osób wymagających opieki z powodu wieku lub niepełnosprawności. Obowiązki opiekuńcze spadają na bliskich, głównie kobiety. Wiele z nich rezygnuje z pracy, pomniejszając nie tylko rodzinny budżet, ale także

eprasa.pl 4b09e5477c

Kandyduje do Sejmu z 2. miejsca listy Komitetu Wyborczego Sojuszu Lewicy Demokratycznej w okręgu wyborczym nr 25.

wysokość przyszłej emerytury, skazując się na biedną starość. PiS o tym nie myśli, bo liczy się bieżąca walka o poparcie wyborców: dajemy 500+, 13. emeryturę. To także swego rodzaju prywatyzacja odpowiedzialności – bierzcie i leczcie się sami, sami opłacajcie opiekę nad starzejącymi się rodzicami. Lewica kładzie nacisk na równy dostęp do usług publicznych wysokiej jakości ze sprawiedliwie rozłożonych podatków.

Pieniądze, które trafiają wprost do kieszeni, bardziej przemawiają niż te, które trafiają na wsparcie sektora usług publicznych.

– Z 13., a nawet z 14. emerytury nie da się sfinansować endoprotezoplastyki stawu kolanowego za 11-20 tys. zł. Tymczasem, aby chodzić, trzeba ją wykonać natychmiast, a nie czekać w kolejce w publicznym sektorze kilka lat. Z 500+ nie wystarczy na szkołę i studia poza miejscem zamieszkania. Bardzo wielu rodzin utrzymujących się z pracy nie stać na zapłacenie miesięcznie 2-3 tys. zł za opiekę nad niesamodzielną matką czy ojcem w publicznej placówce opieki, bo progi dochodowe zobowiązujące do współpłacenia są skandalicznie niskie i od lat niewaloryzowane! Podobne przykłady można mnożyć. Nie ma odwrotu od należytego dofinansowania sektora usług publicznych.

Skąd na to wziąć pieniądze – z 500+ i 13. emerytur?

– Nie mam zamiaru niczego nikomu odbierać. Finansowanie usług publicznych należy połączyć ze sprawiedliwym rozłożeniem ciężarów podatkowych. Nie ma żadnego powodu, dla którego wysokodochodowe korporacje nie płacą podatku progresywnego. PiS od tego tematu ucieka. Rządząca partia chwali się uszczelnieniem systemu podatkowego, tymczasem pod jej bokiem uciekają podatki z powodu fikcyjnego, w gruncie rzeczy niezgodnego z prawem, samozatrudnienia. Proponuję sprawiedliwe obciążenie podatkami, które zapewni nam porządną jakość usług publicznych.

Pieniądze płyną do kieszeni potencjalnych wyborców, równocześnie powiększa się braki w finansowaniu oświaty czy służby zdrowia.

PiS zaszokowało konkurentów planem skokowego wzrostu płacy minimalnej. Panią też?

– Nie, bo za rządów PiS bywało, że pogarszała się relacja płacy minimalnej do przeciętnego wynagrodzenia. Jej wysokość powinna być utrzymywana na poziomie nie niższym niż 60% przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej. Ponadto mówienie o płacy minimalnej zamiast zasadniczej jest sprytnym zabiegiem, oznacza bowiem, że pracodawcy wliczą do niego dodatki o charakterze zmiennym, np. premie. W ten sposób wielu pracowników ominą podwyżki. Nie mamy także systemu regulacji podwyżek w sektorze publicznym – zależą one albo od woli rządzących, albo od skuteczności akcji protestacyjnych.

Czy lewica ma do zaproponowania pracownikom budżetówki więcej niż PiS?

– Wynagrodzenie powinno mieć charakter motywacyjny. Tymczasem pracownica socjalna z wynagrodzeniem netto 1,8 tys. zł i 500+ na dwoje dzieci dysponuje kwotą mniejszą niż ta, którą wypłaca niepracującej podopiecznej w podobnej sytuacji rodzinnej. Brakuje jasnej odpowiedzi na pytanie, czy podwyżki płacy minimalnej obejmą pracowników budżetówki, którzy mają przecież osobne regulacje płacowe. Jeśli tak się stanie – a trudno sobie wyobrazić, żeby było inaczej – w obecnej sytuacji połowa społeczeństwa będzie otrzymywać wynagrodzenie na poziomie minimalnego. Nie można się zgodzić, aby wysokiej klasy specjaliści zatrudnieni w strategicznych dla państwa dziedzinach, takich jak edukacja i ochrona zdrowia, byli wynagradzani w ten sposób. Bez stałego mechanizmu podwyższania płac w sektorze publicznym w odniesieniu np. do tempa wzrostu wynagrodzeń w sektorze przedsiębiorstw – będziemy mieli tu do czynienia z ich spłaszczaniem i zwykłym wyzyskiem. Pracownicy instytucji finansowanych ze środków publicznych powinni zostać objęci obowiązkowymi układami zbiorowymi pracy, dla których stroną jest odpowiednio minister lub samorząd właściwego szczebla. Tymczasem wedle obowiązującego prawa związki zawodowe wchodzą w spór zbiorowy z dyrektorem publicznej placówki, który nie ma żadnego wpływu na wysokość środków na wynagrodzenia. W ogóle układy zbiorowe pracy zawierane między związkami zawodowymi a reprezentacją pracodawców powinny być obowiązkowym sposobem na regulowanie warunków wynagradzania. ■

FOT. MACIEJ KOSYCARZ

eprasa.pl 4b09e5477c

Niedołężni dowódcy. Oddziały na papierze

Raport płk. Rzepeckiego na cztery miesiące przed wybuchem powstania warszawskiego

Tegoroczne obchody 75. rocznicy powstania warszawskiego, podobnie jak wcześniejsze, ograniczają się do akcentowania bohaterstwa powstańców i oskarżania Stalina o nieudzielenie im pomocy. Poza nielicznymi historykami nikt nie zajmuje się oceną postaw żołnierzy i dowódców Armii Krajowej ani ich przygotowaniem do powstania. Lukę tę uzupełnia obszerna, napisana w marcu 1944 r. przez płk. Jana Rzepeckiego (1899-1983), „Ocena położenia", będąca surową analizą Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej. Jej autor w czasie II wojny światowej był szefem VI Oddziału – Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej ZWZ-AK. Adresatem tej oceny byli komendant główny AK Tadeusz Bór-Komorowski i jego zastępcy.

Rzepecki nie zajmuje się taktyką militarną. Patrzy na AK przez pryzmat jej kadr – dowódców i żołnierzy, usytuowania politycznego, a także aspektów społecznych. Z pewnością na jego poglądy miały wpływ rozmowy z bliskimi współpracownikami, uczonymi tej miary co profesorowie Aleksander Gieysztor, Tadeusz Manteuffel, Witold Kula, Kazimierz Kumaniecki, Stanisław Lorentz czy Jan Zachwatowicz.

„Ocena położenia" powstała kwartał przed wybuchem powstania. Dokument ten w znacznym stopniu ułatwia odpowiedź na pytania, dlaczego powstanie wybuchło i dlaczego skończyło się taką katastrofą. I, co może ważniejsze, dlaczego po wojnie doszło do rewolucji społeczno-gospodarczej.

Płk Jan Rzepecki
Ocena położenia dnia 16 III 44 r.[1]

(…) II. Odpowiedzialność.

W Polsce istnieje „podwójne rozdwojenie" kierownictwa wydarzeniami, a więc i odpowiedzialności:

– pomiędzy kraj i emigrację,

– pomiędzy władze cywilne i wojskowe.

Formalnie za całość dziedziny wojskowej jest odpowiedzialny N.W. [naczelny wódz – przyp. red.], którego rozkazy wykonuje dowódca AK, a za dziedzinę cywilną – Rząd, jego pełnomocnik w kraju i K.R.P. [krajowa reprezentacja polityczna – przyp. red.] z wykluczeniem czynników wojskowych. Uważam, że faktycznie odpowiedzialność za stan AK ponoszą częściowo także czynniki cywilne, gdyż one stwarzają klimat i warunki polityczne, w których żyje, wychowuje się i przygotowuje do walki AK. Ta sprawa nigdy nie była jednak jasno i dobitnie postawiona, co jest winą zarówno cywilnego, jak i wojskowego krajowego czynnika kierowniczego. Podział odpowiedzialności politycznej pomiędzy Rząd a krajowe czynniki polityczne nie jest wyraźny, a opinia publiczna odpowiedzialnością za stan polityczny kraju obciąża także Dowódcę AK, czego dowody mamy w licznych wystąpieniach prasowych. To stanowisko jest słuszne, gdyż wskutek nieobecności w kraju N.W., który zresztą opierać się musi na meldunkach Dowódcy AK, tej historycznej odpowiedzialności nie zdejmie z niego żaden formalny przepis.

Tą odpowiedzialnością opinia obciąża niestety także sztab AK. Poczucie tego skłania mnie do zestawienia niniejszej oceny z bezwzględną szczerością i bez wszelkich kurtuazyjnych osłonek. Dodam nawiasem, że nawet „pojedyncze rozdwojenie władzy" uważam za szkodliwe i że, pomijając sprawy, czy w obecnym polskim układzie personalnym byłoby to rozwiązanie szczęśliwe, władza wojskowa powinna być podporządkowana cywilnej. Pogląd ten wyraziłem już w jednym z pierwszych numerów „Insurekcji".

III. Stan duchowy AK.

Na początku 1940 r. wysunąłem wobec „Grota" [Roweckiego – przyp. red.] następujące twierdzenie:

„Wartość przygotowań powstańczych o charakterze techniczno-wojskowym (zabiegi organizacyjne i techniczne, plany taktyczne, wyszkolenie) będzie problematyczna ze względu na wielką zmienność warunków, niebezpieczeństwo i straty związane z tymi pracami. Najtrwalsze będą te przygotowania bojowe, które zostaną dokonane w duszach i umysłach żołnierzy. Główny zatym nacisk trzeba położyć na wychowanie, które powinno być realizowane przez oddziaływanie dowódców, wydawnictwa wyszkoleniowe i przez propagandę".

(…) Zadania wychowawcze dowódców nigdy nie zostały autorytatywnie sformułowane i nigdy nie kładziono nacisku na tę dziedzinę ich pracy, która właściwie powinna być główną. (…)

Stan zaniedbania wychowania wojska trwa dotychczas z nielicznymi, chlubnymi dla niektórych dowódców, wyjątkami. Za planowe wychowanie wojska nie można uważać sporadycznego wydawania rozkazów, przeważnie wymuszonych przez wydarzenia. Dziś większość oddziałów nie jest wychowana wcale. Wiele z nich w ogóle nie zbiera się i nie widuje swych dowódców – istnieją właściwie tylko na papierze.

Dla całości AK można postawić następującą diagnozę. AK nie stanowi masy żołnierskiej, świadomej charakteru przeżywanej epoki i rewolucyjno-powstańczych warunków przyszłej walki, masy posiadającej wyraźnie sformułowany wspólny ideał, o realizację którego będzie walczyła. AK jest zbiorowiskiem dowództw i oddziałów o zestawieniach wzajemnych nieraz wręcz wrogich, związanych tylko nadwątloną silnie nicią karności formalnej, która pęknąć może od pierwszej chwili walki, o której rewolucyjnym charakterze zapomnieć nie wolno.

Karność ta nie jest zbyt silna nawet w kadrze oficerskiej, której wartość obniża ponadto poważnie brak zrozumienia zjawisk społecznych i politycznych i wyraźnie lewicowych tendencyj rozwojowych społeczeństwa polskiego. Tylko znikomy procent kadry stanowi pod tym wzglę-

eprasa.pl 4b09e5477c

Żołnierze 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, marzec 1944 r.

dem wyjątek. Reszta jest teoretycznie „apolityczną", a w rzeczywistości bezideową, bądź nastrojoną konserwatywnie, bądź wreszcie o światopoglądzie wręcz reakcyjnym. Ta kadra w swej większości słabo nadaje się na rewolucyjno-powstańczych dowódców, którzy muszą być zarazem przywódcami walczących w AK rzesz chłopskich i robotniczych.

Cztery lata oczekiwania na walkę powinny były wystarczyć na przekształcenie duchowe kadry. Zostały one zmarnowane przez brak zrozumienia, że jest to potrzebne, przez brak decyzji, jakie oblicze kadrze nadać, i przez brak woli przeprowadzenia takiej zmiany. Od AK w 1944 r. bardziej jednolita duchowo była nasza zbieranina z r. 1919. Nie świadczy to pochlebnie o naszej czteroletniej pracy.

IV. Położenie polityczne.

A. Ogólny stan społeczeństwa.

Nastąpiła niewątpliwie daleko idąca radykalizacja warstw dotychczas upośledzonych i ogólne przesunięcie się światopoglądów na lewo. Niemal powszechne stało się żądanie likwidacji wszelkiego skupienia dóbr w ręku prywatnego człowieka lub grupy ludzi i wszelkiego uprzywilejowania materialnego, kulturalnego i politycznego jednostek lub grup społecznych. Wszelkie próby cofnięcia tego procesu lub choćby zahamowania go są beznadziejne, a zatym szkodliwe. To namiętne dążenie mas, którego nic zdusić nie zdoła, znajdzie swój pełny wyraz dopiero po odzyskaniu wolności. Obecnie hamowane jest zmęczeniem wojennym i okupacyjnym terrorem, a ostatnio także depresją wynikającą z międzynarodowych wydarzeń politycznych.

Te czynniki i odzwyczajenie szerokich mas od myślenia politycznego kategoriami państwowymi oraz wielkie przetrzebienie warstwy lepiej do tego zaprawionych przywódców sprawiają, że zgnębione społeczeństwo tym bardziej oczekuje ratunku od rządu, a także od władz krajowych. Te ostatnie obdarza nadal wielkim zaufaniem, nie dostrzegając jeszcze ich bezwładu, niezdolności do twórczej pracy i impasu politycznego, w którym się znalazły. Trzeba jednak z naciskiem podkreślić, że to zaufanie jest już napięte do ostatnich granic. Jeśli zostanie zawiedzione, jeśli władze krajowe nie poniechają politycznego kramikarstwa i nie podejmą w najbliższym czasie jakiejś energicznej próby wyjścia z impasu, która by miała choć jakie takie szanse poprawienia ponurych perspektyw, nastąpić może krach i załamanie się ducha społeczeństwa, popadnięcie w prestrację[2], a żywioły nawet patriotyczne, lecz burzliwe mogą w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia popaść nawet pod wpływ energiczniejszego i lepszego kierownictwa PPR. Dla niedołężnych przywódców pozostanie pogarda lub nawet nienawiść i… latarnia.

B. Stan kierownictwa.

„Podwójnie rozdwojone" kierownictwo polskiego życia państwowego jest organicznie chore. Dysonanse pomiędzy N.W. a Rządem są tajemnicą publiczną. Wskutek tego o stanie politycznym kraju i warunkach pracy podległej mu AK N.W. nie jest informowany przez rząd, którego nieufność do wojska odbija się, choć słabiej, i na stanowiskach w kraju. N.W. nie jest wystarczająco informowany przez AK (…).

Brak harmonii istnieje także między czynnikami cywilnymi w kraju i na emigracji. Rząd niby to stosuje się do woli kraju w najważniejszych swych decyzjach, ale nie respektuje w praktyce zawartego w kraju „czwórporozumienia"[3], z czego „czwórporozumienie" nie wyciąga konsekwencji. Natomiast pełnomocnik rządu lawiruje pomiędzy poleceniami rządu a „jednomyślnymi" uchwałami krajowej „świętej zgody narodowej", którą na próżno usiłuje rozszerzyć na kilkanaście jeszcze grupek politycznych, nieraz względem siebie bezkompromisowo wrogich.

Wiele oddziałów w ogóle nie zbiera się i nie widuje swych dowódców – istnieją właściwie tylko na papierze.

W rezultacie w piątym roku wojny nie można wskazać żadnego poważnego problemu politycznego, który byłby przez czynniki kierownicze pomyślnie, z sensem i w odpowiednim czasie załatwiony.

Czy to sprawa „większości rządowej", względnie „jedności narodowej", czy reform ustrojowych, czy sprawy narodowościowe, czy utworzenie R.J.N. [Rady Jedności Narodowej – przyp. red.], wszystko jest połowicznie „zaklajstrowane" i nosi w sobie zarodek bliskich, a nieobliczalnych konfliktów, które muszą odbić się katastrofalnie na stanie tak silnie związanej ze społeczeństwem AK. Dlatego stan ten nie może być dla nas obojętny, dlatego nie należało do niego dopuścić i dlatego słusznie społeczeństwo ogląda się za zbawczą, energiczną interwencją Dowódcy AK, która powinna nastąpić, jeśli nie

eprasa.pl 4b09e5477c

mamy przyglądać się biernie, jak nasza przyszłość grzęźnie w bagnie bezwładu i braku energii kierownictwa.

Naród ma prawo oczekiwać od swoich przywódców, by w rozstrzygających, dramatycznych momentach przełamali swe zasadnicze skrupuły i wzajemne uprzedzenia. Niestety w dzisiejszych warunkach nie może on tego wyrazić ani wymusić.

Naród walczący potrzebuje prawdziwych przywódców politycznych, przede wszystkim tu, w kraju. Aby być przywódcą, nie wystarczy być inteligentnym, porządnym i tzw. doświadczonym człowiekiem, pielęgnować „zgodę narodową" i nie robić nikomu przykrości, choćby to znaczyło nic nie robić. Bezczynność przywódcy zawsze okrywa go niesławą. Przywódca nie potrzebuje być geniuszem, który wszystko wie i wszystko robi za innych. Musi to być natomiast człowiek, który:

– ma swój ideał społeczno-polityczny, zbieżny z ideałem co najmniej poważnego odłamu narodu,

– namiętnie pragnie go zrealizować,

– umie dojrzeć siły i środki potrzebne do realizacji,

– uruchamia je zdecydowanie i działa z szybkością odpowiadającą ogólnemu tempu wydarzeń,

– zdecydowany jest przełamać piętrzące się trudności, mimo że się tym komuś narazi.

Kto do tego nie czuje się zdolnym, kto tej iskry Bożej w sobie nie ma, powinien się sam usunąć i nie przeszkadzać innym, bo czas ucieka i tracenie go, zwłaszcza w naszym położeniu, jest zbrodnią, bo opóźnia podjęcie działalności uzdrawiającej zabagnione stosunki. (…)

VI. Résumé dokonanej oceny.

1) Na dowódcy AK ciąży odpowiedzialność nie tylko za stan AK, ale za stan polityczny kraju.

2) Wychowanie żołnierzy AK jest zaniedbane w stopniu katastrofalnym.

3) Stan duchowy kadry nie odpowiada potrzebom i warunkom rewolucyjno-powstańczym.

4) N. Wódz jest poinformowany o stanie Kraju w stopniu zupełnie niewystarczającym.

5) W zgnębionym społeczeństwie narasta kryzys zaufania w stosunku do krajowych czynników kierowniczych.

Płk Jan Rzepecki.

6) Krajowe kierownictwo, oparte na zasadzie „świętej zgody narodowej", wykazuje niezdolność do odpowiednio energicznego, szybkiego a planowego działania politycznego i brak zrozumienia konieczności takiego działania.

7) Układ sił politycznych w Kraju jest niewystarczający do wyciągnięcia wozu państwowego z bagna, w którym ugrzązł.

8) Wciągnięcie opozycji prawicowej do „obozu rządowego" grozi wojną domową.

Karność nie jest zbyt silna nawet w kadrze oficerskiej.

9) W razie wciągnięcia lewicy możliwość takiej wojny jest mała. Wciągnięcie lewicy może okazać się jednak trudne.

10) Głównym niedomaganiem naszej propagandy jest brak pożywki społeczno-politycznej. (...)

VII. Wyjście z sytuacji.

Poszukiwanie wyjścia musi się zacząć od ugruntowania się w wierze, że musi ono być znalezione natychmiast pod grozą śmierci narodu i państwa i pod rygorem okrycia się niesławą przez tych, którzy tego zaniedbali. Następnym krokiem powinno być przekonanie o tym tych, którzy do poszukiwania wyjścia są w pierwszym rzędzie powołani. Jeżeli „powołani" wyjścia nie widzą, to trzeba im je podpowiedzieć i zmusić ich do energicznego działania. (…) Historia uczy, że tylko idee proste zwyciężają i wytrzymują w tragicznych chwilach nacisk sił im wrogich.

Zasadnicze pytanie brzmi, kto ma wóz państwowy z błota wyciągnąć i nadać mu kierunek jazdy. (…)

Jeszcze w listopadzie 1939 r., kiedy z „Grotem" zastanawialiśmy się nad przyszłością polityczną Polski, szybko doszliśmy do wniosku, że musi iść na lewo, a rolę rozstrzygającą muszą w niej odgrywać ruch ludowy i obóz socjalistyczny. Przez cały czas wojny nie zmieniłem zdania. (…)

Szybkość dokonania odpowiednich politycznych przemian jest konieczna, jeśli mają one poskutkować zarówno jako środek przeciw przygotowanej rewolcie PPR, jak i przeciw narastającemu w społeczeństwie kryzysowi zaufania do władz. Zmiana taka pozwoliłaby też nareszcie zerwać z „klajstrowaniem" w propagandzie, dodać jej koniecznego pieprzu, a więc i zwiększyć znacznie jej skuteczność. Obecnie używamy pałek przeciw szablom. (…)

Bez względu na ew. przemiany w zespołach politycznych, absolutnie konieczne jest poprawienie stanu duchowego AK, a w szczególności jej zacofanej kadry. Pierwszym do tego krokiem powinno być osobiste energiczne oddziaływanie na wyższych dowódców dla wpojenia im światopoglądu harmonizującego z epoką i rewolucyjno-powstańczymi zadaniami AK, a to celem natychmiastowego wykorzystania tych dowódców do pracy uzdrawiającej stosunki. Kto konieczności tej przemiany nie rozumie, powinien być natychmiast usunięty z każdego stanowiska kierowniczego. Trzeba zerwać radykalnie z przesadnym szacunkiem dla stopni i skąpstwem awansów, przy obsadzaniu stanowisk kierować się tylko duchowymi wartościami kandydatów i szybko awansować kandydatów odpowiednich. (...)

Oprac. Paweł Dybicz

[1] Archiwum Akt Nowych, KG AK, 203 VII 2.

[2] Prawdopodobnie chodzi o prostrację – skrajną formę wycieńczenia psychicznego.

[3] Cztery partie polityczne, które w latach 1939-1945 tworzyły tzw. legalną władzę, czyli Stronnictwo Ludowe, Polską Partię Socjalistyczną – Wolność, Równość, Niepodległość, Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Pracy.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 4b09e5477c

Im dalej od powstania warszawskiego, tym mniej prawdy.

Kłamstwa o powstaniu są częścią polityki historycznej władzy.
W PiS i IPN nie ma miejsca na obiektywizm.

„Zakłamana historia powstania” to 4 tomy niepublikowanych lub mało znanych dokumentów i analiz. Pokazujemy, jak prezydent Duda, premier Morawiecki i politycy prawicy kłamią. Jak często plotą bzdury o przeszłości.

Odtrutką na ich łgarstwa są nasze książki.

Kupujcie! Czytajcie! Polecajcie!

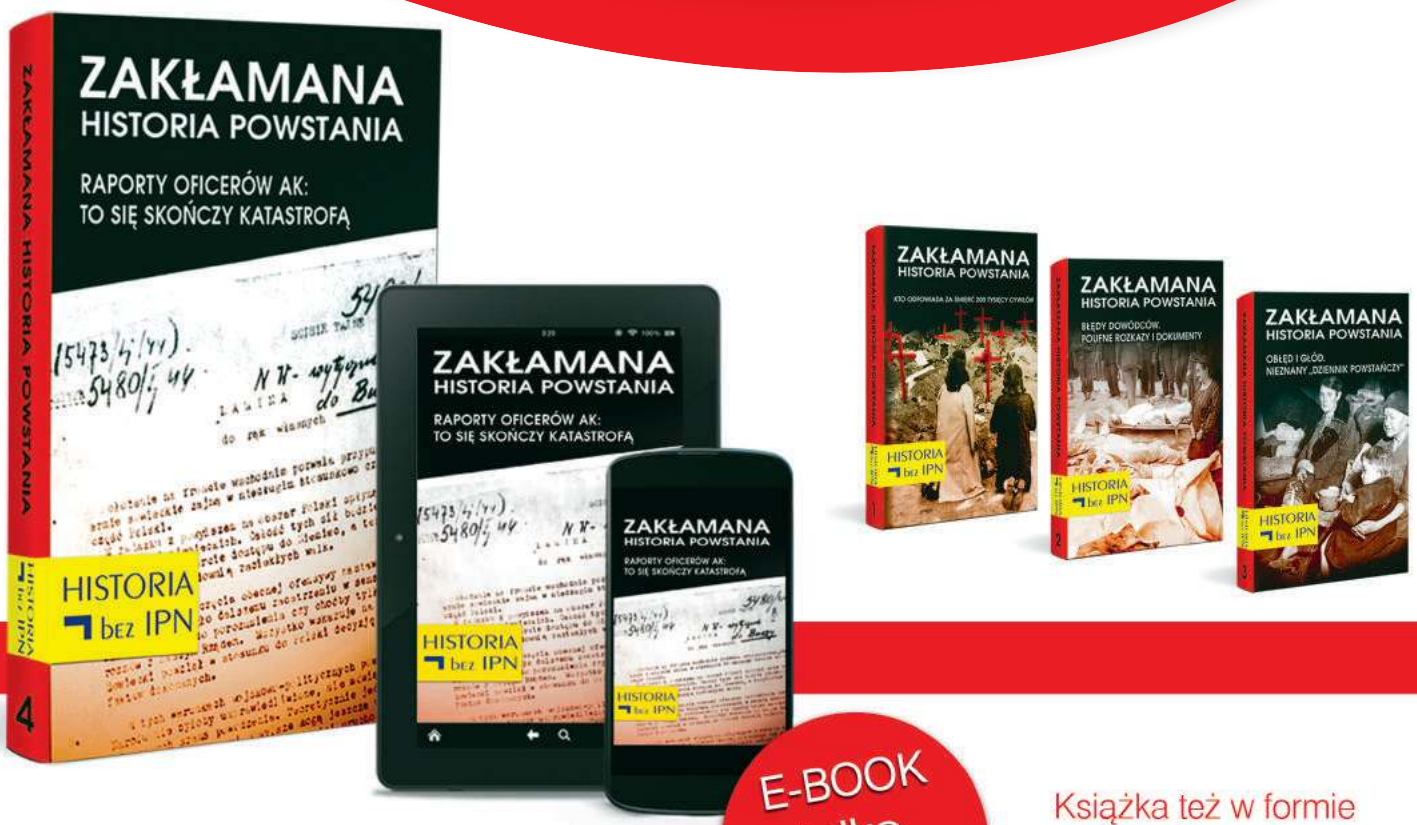

E-BOOK tylko 19,90 zł

Książka też w formie E-BOOKA

Nie przegap okazji!

Wpłat prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł
lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 4b09e5477c

Igranie z wiarą jest jak igranie z ogniem

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, którego nie było na taką skalę – z Kościołem instytucjonalnym reprezentowanym przez silne głosy biskupów

Rozmawia Kuba Armata

JAN KOMASA I MATEUSZ PACEWICZ
– twórcy filmu „Boże Ciało", polskiego kandydata do Oscara

Na początku „Bożego Ciała" pojawia się informacja, że film o tym, jak młody chłopak podszywa się pod księdza, inspirowany jest prawdziwą historią. Mowa o jednym zdarzeniu czy takich sytuacji było więcej?

Mateusz Pacewicz: – Osiem lat temu, kiedy byłem w klasie maturalnej, natrafiłem na notatkę o chłopaku, który udawał księdza. Pomyślałem, że może to być ciekawy materiał na film. W tych historiach, bo było ich znacznie więcej, brakowało mi jednak uniwersalności czy dramaturgii. Co ciekawe, to był i wciąż jest dość popularny fenomen w Polsce. W pracy reporterskiej skoncentrowałem się na jednej historii, dotarłem do bohatera. Później jednak zdecydowałem się odejść w stronę fikcji. Zacząłem dodawać kolejne wątki, kompilowałem zasłyszane historie o fałszywych księżach. Miałem też inne inspiracje, w tym Nowy Testament, który pierwszy raz tak poważnie przeczytałem w kilku przekładach, reportaże Wojciecha Tochmana czy historie o heretykach. Dużo dała mi książka „Kusiciel" Hermanna Brocha. Janek podrzucił mi także „Rewizora" Gogola.

Skąd ten fenomen? Zazwyczaj słyszymy o odwrotnych przypadkach, kiedy ksiądz zrzuca sutannę, by np. założyć rodzinę.

M.P.: – Zazwyczaj to połączenie kilku czynników. Istotny na pewno jest prestiż. Zwłaszcza w niewielkiej, konserwatywnej społeczności, zorganizowanej wokół osoby duszpasterza. W Polsce widać, jakim autorytetem cieszy się taka osoba. Dla ludzi mających potrzebę przewodnictwa, bycia na świeczniku, to może być bardzo pociągające. Nagle bowiem stają się kimś. Pewnie trudno to sobie wyobrazić z wielkomiejskiej perspektywy, ale gdy startuje się z pozycji społecznej niedającej autorytetu czy wpływu na innych, stanowi to ogromny przeskok. Ważny jest jeszcze element bliskości. W Polsce ksiądz jest wciąż osobą niezwykłego zaufania publicznego, choć to się zmienia w wyniku dyskusji o pedofilii i radykalizacji politycznej Kościoła, zwłaszcza w ostatnich miesiącach. Zaufanie się zmniejsza, ale też bez przesady. W kilku przypadkach pojawiał się element heretyckiego buntu przeciwko skostniałej i skrajnie zinstytucjonalizowanej kościelnej strukturze. Myślenie na zasadzie: „Ja wiem lepiej, jak to robić, niż wy i dlatego nie potrzebuję waszego certyfikatu". Często widać było również silny aspekt ekonomiczny.

Jan Komasa: – To bardzo polskie, bo u nas Kościół ma monopol na duchowość. Zupełnie inaczej niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie – poza konserwatywnymi miasteczkami pasa biblijnego – jeżeli chcesz zostać pastorem, po prostu nim zostajesz. Jeździsz furgonetką i głosisz Dobrą Nowinę. Jeśli jesteś przekonujący, ludzie za tobą pójdą. Nie musisz mieć papierka. Z naszym podejściem tracimy jako społeczeństwo. Duchowość ubożeje, kiedy jedna instytucja ma na nią monopol.

To kolejny, po „Sali samobójców" i „Mieście 44", film o wykluczeniu i agresji. Co w tych tematach jest interesującego?

J.K.: – Wykluczenie jest bardzo mocnym tematem nie tylko „Bożego Ciała", ale i „Sali samobójców. Hejtera". Ten drugi tegoroczny film opowiada o tym, jak prowadzi ono do dużej agresji. W tym przypadku bohater mimo wykluczenia ma jakiś kompas moralny. Nawet na potrzeby naszej pracy mówimy, że „Boże Ciało" jest filmem o złożoności dobra, a „Hejter" o złożoności zła. Tym, co mnie zainteresowało w historii, gdy przeczytałem ją po raz pierwszy, był absurd, który od zawsze mnie fascynował. Fakt, że bohaterem zostaje

eprasa.pl 4b09e5477c

ktoś, po kim nikt, w tym on sam, by się tego nie spodziewał. Absurdy bywają pasjonujące. To, jak się rozkładają, pokazał Krzysztof Kieślowski w „Przypadku". Każdy z nas pewnie zna kogoś zajmującego nagle pozycję, o którą nikt by go nie podejrzewał. Ludzie dobrzy zaczynają być groźni, a ci z kolei zostają naszymi jedynymi sprzymierzeńcami. Widzę to w różnych korelacjach. W „Bożym Ciele" igranie z percepcją jest tematem doprowadzonym do poziomu, z którym mamy do czynienia w życiu. Czytanie tekstu Mateusza było dla mnie jak obcowanie z pamiętnikiem.

O jakich sytuacjach mówisz?

J.K.: – Mamy w filmie postać proboszcza, który miał być duchowym przywódcą niewielkiej społeczności. Okazuje się jednak tylko dobrodusznie uśmiechającym się dziadkiem, bezsilnym świadkiem, patrzącym, jak społeczeństwo się zagryza, i dającym na to przyzwolenie. Z drugiej strony widzimy głównego bohatera, który złamał wszelkie możliwe przykazania, a jednocześnie czyni dobro, choć przy tym oszukuje wszystkich dookoła. Wreszcie widzimy wykluczoną społeczność. Niektórzy nazwą ją Polską B, ale nie do końca z tym się zgodzę, bo to strasznie ją stygmatyzuje i odbiera uniwersalność. Nie wyśmiewamy tych ludzi. Pokazujemy ich przez pryzmat tragizmu, a nie komizmu. Nie ma w tej perspektywie wyższości. Ta społeczność także wyklucza. Obserwujemy zatem mechanizm, w którym wykluczeni również wykluczają. Zupełnie jakby ludzie nie mogli przestać się dzielić. Bez względu na to, czy będą w czwórkę na Księżycu, czy w mieście w towarzystwie półtora miliona osób.

Dlaczego tak się dzielimy?

M.P.: – We mnie też jest coraz mniejsza wiara w optymistyczny scenariusz, w którym ci straumatyzowani nie czynią krzywdy innym. Żyjemy w czasach, w których kapitalizuje się krzywdę ludzką, nakręcając agresję u tych, którzy czują się gorzej potraktowani. Z tej perspektywy nasz główny bohater jest nietypowy, bo wykluczony do granic możliwości. Dlatego mówimy, że „Boże Ciało" jest o złożoności dobra. Wyznaczyłem sobie dwa tematy, które chciałem połączyć – rolę i traumę. Ta pierwsza interesowała mnie zawsze, druga była znacznie trudniejsza do złapania. Zastanawiałem się nad konsekwencjami, nad tym, co robi z ludźmi trauma.

J.K.: – Ten film jest połamany na bardzo wielu poziomach. Na festiwalu w Wenecji parę osób zwróciło mi uwagę, że młodzi są dziś w totalnej stagnacji. Dorośli, autorytety rzucili się na siebie i się zagryzają. Młodym odebrano narzędzie, które do tej pory mieli – buntu, języka, ścieku. I nieco przestraszeni tylko się przyglądają.

Tak postrzegacie młodych?

M.P.: – Trochę inaczej jest z ruchem klimatycznym, bardzo młodym i ostrym, ale faktycznie, biorąc pod uwagę polityczno-obyczajowe konflikty, można odnieść wrażenie, że młode pokolenie często wycofuje się na pozycje ironicznych obserwatorów.

J.K.: – Widać syndrom dziecka, które patrzy na kłócących się rodziców i czeka, aż to się skończy. Staje się zatem świadkiem, komentarzem do ich zachowania. To jednak też jest złamane, bo gdy przychodzi co do czego, młodzi zaczynają mówić językiem rodziców.

Mówicie o zawłaszczaniu przestrzeni publicznej przez starsze pokolenie. Do tego dochodzi mechanizm wskazywania kozła ofiarnego jako najprostsza strategia, by odwrócić uwagę od rzeczywistych problemów.

J.K.: – Rozmawialiśmy o tym w kontekście katastrofy smoleńskiej. Męczy mnie to, co obserwujemy, nie tylko zresztą w Polsce. Polaryzacja społeczeństwa i napuszczanie ludzi na siebie. Zazwyczaj mainstream starał się tonować nastroje. Ale to się zmieniło, mainstreamowi jest na rękę, kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych pisze okropne tweety, każdego dnia powielane przez dziesiątki tysięcy ludzi. Cała sfera publiczna niesamowicie się brutalizuje. W kraju również to obserwujemy, jesteśmy świadkami wojny polsko-polskiej na wielu frontach.

Duchowość ubożeje, gdy jedna instytucja ma na nią monopol.

Tę polaryzację doskonale widać w Kościele. Mieliście poczucie, że podejmujecie delikatny w Polsce temat wiary i Kościoła katolickiego jako instytucji?

J.K.: – Jest jedna rzecz, której nie było w Kościele na taką skalę. Mam na myśli Kościół instytucjonalny, reprezentowany przez silne głosy biskupów. Kościół wyraźnie stanął po określonej stronie politycznej. Uważam, że sojusz z konkretną opcją – bez względu na kraj, bo to przecież nie zdarzyło się wyłącznie w Polsce – jest czymś złym. To zawsze powodowało odpływ wiernych i potworne konflikty wewnętrzne, bo igranie z wiarą jest jak igranie z ogniem. Moment, kiedy instytucja, bo za taką uważam Kościół katolicki, staje po stronie tylko części kraju czy jakiejś zbiorowości, stanowi poważny problem.

M.P.: – Wydaje mi się, że w Polsce dzieje się coś niepokojącego. Wśród moich znajomych z bardzo różnych kręgów widzę ludzi, którzy przestają chodzić do kościoła w obliczu tego, co się ostatnio dzieje. Nie mówię o osobach, które przestały wierzyć, ale o tych odczuwających ogromną potrzebę religijności i duchowości. Ugruntowują się w wierze, ale rozumieją, że w Kościele nie znajdą już miejsca dla swojej duchowości i jej ekspresji. Nie chcą poza tym utożsamiać się z instytucją, która w ostatnim czasie wyrządziła wiele złego. Wydaje mi się, że dla wielu osób silnie związanych z religią

Jan Komasa – (ur. 1981) pochodzi z artystycznej rodziny. Uznawany za jednego z najbardziej utalentowanych reżyserów swojego pokolenia. Jego etiuda „Fajnie, że jesteś" (2004) została nagrodzona na festiwalu w Cannes. Takie tytuły jak „Sala samobójców" (2011) czy „Miasto 44" (2014) ugruntowały jego pozycję reżysera bezkompromisowego i skłonnego do ryzyka.

Mateusz Pacewicz – (ur. 1992) absolwent Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego. Jako scenarzysta i reżyser zadebiutował, do spółki z Agatą Trzebuchowską, krótkometrażowym filmem „Skwar" (2016). W tym samym roku otrzymał drugą nagrodę w konkursie scenariuszowym Script Pro za „Boże Ciało".

eprasa.pl 4b09e5477c

instytucjonalną nasz film będzie nie do przyjęcia. Jest w tej historii pewien poziom bluźnierstwa.

J.K.: – Cały czas toczy się gra pomiędzy *sacrum* a *profanum*. Z konserwatywnej pozycji, gdzie Kościół ma monopol na duchowość, ta opowieść nie jest historią religijną.

Nie obawiacie się, że wasz film, podobnie jak wcześniej „Kler", zostanie wpisany w popularną narrację ataku na Kościół?

M.P.: – To ciekawe, bo na premierze na festiwalu w Toronto mieliśmy sporo osób ze środowisk polonijnych. Podszedł do mnie po projekcji człowiek, podziękował za film, który był dla niego obroną wiary przed ciągłymi atakami. Uznał, że została pokazana jako coś pięknego i poruszającego. Chwilę później podszedł inny Polak mieszkający w Kanadzie i podziękował za to, że w „Bożym Ciele" zdemaskowaliśmy zepsucie Kościoła. Dwóch widzów reprezentujących odmienne perspektywy wyszło z filmu zadowolonych (śmiech).

Co zatem Kościół powinien robić?

J.K.: – Powinien stanąć po stronie ciemiężonych, mniejszości. A chociażby po stronie mainstreamowego: „Hej, bądźmy przyzwoici". To już byłoby dużo. W tym wymiarze „Boże Ciało" jest nowotestamentowe. Przecież opowiada o rewolucjoniście, który jest kimś złym dla sanhedrynu i faryzeuszy dbających o sojusz Kościoła z władzą. Piłat tylko się temu przygląda i czeka na wynik rozmowy. W filmie widzimy proboszcza dającego tej społeczności, nie tylko biernie, ale i aktywnie, przyzwolenie na określone zachowania. Jest także kościelna, Lidia, która bardzo się stara, żeby trauma trwała, podlewa ją. Ma w sobie wiele z narcyza, który, jeżeli przydarza mu się trauma, wykorzystuje ją jako broń do tworzenia ego. Dla takiej osoby ktoś, kto chce uleczyć społeczność, nagle zaczyna być wrogiem.

Gramy dzisiaj traumami?

M.P.: – Smoleńsk jest ogromną personalną traumą PiS. Zachowanie, które mogliśmy obserwować, mój brat nazywa „lojalnością wobec traumy". Ona jest w naszym kraju szalenie istotna. Są narody, gdzie traumy się przepracowuje, widać bardziej terapeutyczne podejście. A w Polsce – za co też nie ma co nas winić – historycznie doznaliśmy tylu traum, że nie do końca umiemy sobie z tym poradzić. Byłem ostatnio w Wietnamie i zaskoczyło mnie, jak tamto społeczeństwo dało sobie radę z bolesnym doświadczeniem wojny. Nie ma to nic wspólnego z naszą lojalnością względem traumy z II wojny światowej, gdy po 70 latach wyciągamy kolejne rzeczy.

Boże Ciało

W filmie pojawia się również problem hejtu, w postaci oczerniających, pełnych frustracji listów. To zresztą temat, który mocno wybrzmi w waszym kolejnym filmie „Sala samobójców. Hejter". Z czego bierze się dzisiaj hejt?

J.K.: – W „Bożym Ciele" hejt jest trochę analogowy jak na czasy, w których żyjemy. Pewnie dzisiaj byłoby bardziej zasadne, gdybyśmy pokazywali komentarze na portalu gminy, ale nie pasowało to do języka filmu. Rzeczywiście to temat „Hejtera", jak zresztą wskazuje tytuł. Chcieliśmy postawić pytanie o związek pomiędzy resentymentem a zjawiskiem hejtu i radykalizmu.

M.P.: – Wydaje mi się, że gdy system ekonomiczny, w którym żyjemy, zaczyna się trochę trząść w posadach, ludzie mają coraz większe poczucie dyskryminacji. Duża część świata boryka się z problemem nierówności społecznych, ekonomicznych i z resentymentem. Poczuciem, że panuje niesprawiedliwa dystrybucja dóbr, po kryzysie nie jest tak, jak było kiedyś, a nasze pokolenie ma trudniej niż poprzednie. Dotyczy to zwłaszcza klasy średniej.

To budzi frustrację.

J.K.: – To wywołuje rodzaj frustracji będący paliwem dla sprytnych, cynicznych graczy, czyli głównie polityków, a ci nakręcają złe emocje. Gdy jako społeczeństwo nie potrafimy dobrze zareagować na taki rodzaj destabilizacji i frustracji ekonomicznej, ludzie uciekają w hejt. Wolą wyrażać złość i nienawiść niż lęk, słabość czy niepewność.

Młodym odebrano narzędzie, które do tej pory mieli – buntu, języka, ścieku. I nieco przestraszeni tylko się przyglądają.

M.P.: – W „Bożym Ciele" społeczność, którą obserwujemy, cierpi na coś na kształt zespołu stresu pourazowego. Podobnie jak Polska, będąca społeczeństwem nieprzepracowanej traumy. Gdy nagromadzonych jest wiele trudnych doświadczeń, nawet z poprzednich pokoleń, i w zbiorowej świadomości nie zostały one należycie przepracowane, zbierają żniwo w postaci łatwego popadania w zachowania hejterskie. Jeżeli nie mamy różnych rzeczy dogadanych ze sobą, łatwo nam reagować agresją na innych.

Kuba Armata

FOT. FORUM, MATEUSZ NASTERNAK, ANDRZEJ WENCEL © AURUM FILM

eprasa.pl 4b09e5477c

Agnieszka Wolny-Hamkało

Tak, ale

Kobziarz

Jaki jest najważniejszy mitotwórczy tekst naszych sąsiadów, o których tak dużo mówi się w mediach? Nie jest to zresztą żadna abstrakcja – Ukraińców spotykamy w przedszkolach, sklepach, szpitalach, wrośli w naszą codzienność. Mniej wrażliwi Polacy, którzy na każdą sprzątaczkę mówią Oksana, nie chcą pamiętać, że jeszcze kilka lat temu w Niemczech każda sprzątaczka była Marią. Ci zaś, którzy mają jakieś poczucie przyzwoitości, wygłaszają raz na jakiś czas rytualną pochwałę ukraińskiej serdeczności, powtarzają, że w każdej słowiańskiej duszy ta sama muza gra i w ogóle – wszyscy lubimy barszcz ukraiński i pożywną wódkę. Na tym mniej więcej kończy się powszechna znajomość kultury ukraińskiej. Wiadomo jeszcze, że Ukrainki są „dobre na żony", ale lepiej temu z bliska się nie przyglądać, bo ta opinia jest dla Polaków, by tak rzec, obosieczna.

Ale bądźmy uczciwi – nie znamy nie tylko najważniejszego tekstu literackiego Ukrainy, sprawiedliwie nie wiemy, jakie są „teksty założycielskie" Czechów, Węgrów, Słowaków, nie mówiąc już o krajach skandynawskich, bo kto wie coś o klasyce duńskiej, szwedzkiej, norweskiej? No i czy jesteśmy w stanie zidentyfikować takie teksty w państwach, w których Polacy chętnie spędzają wakacje – w Grecji, Tunezji, Portugalii, Egipcie?

Znamy dość dobrze literaturę anglosaską, bo jest ekspansywna, i niemiecką, która jednak niezbyt dobrze u nas się sprzedaje, uchodzi bowiem za chłodną, „intelektualną" czy po porostu trudną. W Polsce dość dobrze rozpoznawalni są współcześni ukraińscy pisarze – dzięki mrówczej pracy Wydawnictwa Czarne, rzeszy tłumaczy i programom stypendialnym, na które 10 lat temu Ukraińcy często przyjeżdżali. Tak poznaliśmy Natalkę Śniadanko, Jurija Andruchowycza, Tarasa Prochaśkę, Nazara Honczara, Sofiję Andruchowycz, Serhija Żadana. Podobnie jak niemieccy krytycy i niektórzy wnikliwi czytelnicy znają twórczość Doroty Masłowskiej, Andrzeja Stasiuka czy Olgi Tokarczuk – naszego eksportowego tria.

Jednak nie znamy źródłowego tekstu języka ukraińskiego, bliźniaczego do „Pana Tadeusza" zabytku kultury naszego sąsiada. Jest nim „Kobziarz" Tarasa Szewczenki, zbiór romantycznych ballad, tekst, na którym Ukraińcy budowali własną tożsamość, który wspierał i sankcjonował młode państwo. Kobziarze byli niewidomi, dbali o przekazywanie pieśni i ballad, są częścią nie tylko folkloru, ale i historii literatury. Tekst „Kobziarza" nie jest wprawdzie epickim poematem, ale czytelnik „Świtezianki" znajdzie u Mickiewicza i Szewczenki podobne fascynacje, ton, a nawet bohaterów, których dotykają te same ciemne sprawy, którzy ulegają romantycznemu oczarowaniu, nawiedzeniu i melancholii. Wiadomo, „Don Kichot" Cervantesa ma większy potencjał kolonizacyjny niż „Kobziarz" i zawsze będzie chętniej czytany, choćby ze względu na pojemność symboliczną, zresztą jest to rzecz, by tak rzec, nowoczesna, a przede wszystkim pisana prozą, więc i porównanie nieco krzywdzące. Ale już flirtujący z folklorem García Lorca byłby dorzecznym przykładem pewnej dysharmonii w naszym przyswajaniu obcych literatur. Jest to jednak pisarz czytany – przynajmniej przez polskich poetów.

Ciekawa jestem, czy do pomyślenia byłby projekt badawczy – niekoniecznie analogowy, niekoniecznie wydawniczy – który by łączył na wspólnej platformie najważniejsze teksty założycielskie i mitotwórcze wszystkich krajów i kultur. Można by zacząć ostrożnie – np. od krajów Grupy Wyszehradzkiej, a potem poszerzać tę literacką unię o kraje Unii Europejskiej – i tak dalej. Podróżnik, który chętnie odrabia lekcje z rozmówek turystycznych i robi przegląd lokalnej architektury, mógłby znaleźć na takiej platformie opracowane teksty najważniejszych dla nas kultur. Nie ma wątpliwości, że z wielu względów (geograficznych, politycznych, gospodarczych) ważnym krajem jest dla nas Ukraina. Mówiąc patetycznie – jako nośnik wartości literatura naprawdę pomaga zrozumieć i przyjaciela, i sąsiada.

> Wszyscy lubimy barszcz ukraiński i pożywną wódkę. Na tym mniej więcej kończy się nasza znajomość kultury ukraińskiej.

Był kiedyś taki międzynarodowy projekt, w który włączyło się Wydawnictwo Literackie – wybrani pisarze z różnych krajów trawestowali znane baśnie. Był to kapitalny eksperyment na pograniczu antropologii i literatury. Chciałabym przeczytać wariacje na temat ukraińskiej baśni albo natknąć się na nowe tłumaczenie „Kobziarza" Tarasa Szewczenki. Ta bliska nam Ukraina pracowałaby wtedy, że tak powiem, od środka, w nas, na rzecz jakiegoś wspólnego życia.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 4b09e5477c

KURTYNA W GÓRĘ

NA WSCHÓD OD HOLLYWOOD

Komedię muzyczną napisaną specjalnie dla Rampy przez Tomasza Jachimka, kabareciarza i dziennikarza, reżyseruje Jerzy Jan Połoński. Twórczy tandem mierzy się z mitami na temat zawodu aktora i ukazuje w krzywym zwierciadle okoliczności decydujące o doborze repertuaru. Środowisko teatralne poznajemy oczami młodego absolwenta akademii teatralnej, który dostaje pierwszy angaż w zawodowym teatrze. Pracę rozpoczyna z głową pełną akademickich ideałów i wyobrażeń. Gdy jeszcze w planowanej premierze dostaje główną rolę, wydaje się to spełnieniem jego marzeń. Ale w świątyni sztuki zderzy się z dalekimi od ideałów postawami kolegów, co wywoła mnóstwo groteskowych sytuacji. Czy debiutant podejmie wyzwanie i stanie się sprawcą sukcesu Teatru Nieprzeciętnego, czy ściągnie na niego klęskę?

WARSZAWA, TEATR RAMPA, PRAPREMIERA 27 WRZEŚNIA, GODZ. 19.30

BALLYTURK, CZYLI NIGDZIE

Irlandzki reżyser i dramaturg Enda Walsh zabłysnął jako autor „Disco Pigs", „Elektrycznego parkietu" i kilku innych sztuk, które zawitały na wiele scen europejskich. Krytycy brytyjscy go uwielbiają, zwłaszcza jego poczucie humoru bliskie poetyce teatru absurdu. W Polsce nie miał dotąd wielkiego szczęścia. Choć „Elektryczny parkiet" w Narodowym wypadł wyśmienicie, został zjechany przez recenzentów, często mylnie oceniany kategoriami dramatu obyczajowego. Ale uwaga, to akurat nie ten Irlandczyk, bliżej mu do Becketta niż do popularnego u nas McDonagha.

Tego dystansu do dramaturgii Walsha pewnie nie przełamie najnowsza, niezależna produkcja, za którą stoi Przemysław Wasilkowski – autor tłumaczenia, reżyser oraz wykonawca jednej z ról. Piszę „jednej z ról", ponieważ bohaterowie Walsha nie mają nawet imion. To dwa „świry" (drugiego gra Artur Krajewski), które tworzą w odizolowanej od reszty świata przestrzeni wyobrażone miasteczko Ballyturk, mieszkańców i łączące ich dziwne relacje. Jak również rozmaite rytuały zapobiegające atakom agresji, np. karmią się nawzajem podczas skromnych posiłków, oceniają także swoje występy.

Kiedy w ich kryjówce zjawia się nieoczekiwanie ta trzecia (dawno niewidziana w teatrze Małgorzata Rudzka), sprawia wrażenie kosmitki. Poukładana wewnętrznie niczym Mrożkowski Stomil niechciana przybyszka sprawia, że świat świrów się wali. Gra musi się skończyć dramatycznie.

Interpretować to można na różne sposoby, ale esencją spektaklu jest rozdygotana forma, w której czai się panika towarzysząca parze bohaterów. Ich ratunkiem pozostają rytuały i toczona gra, nimi rozpraszają lęki. Chociaż Walsh na koniec uchyli furtkę – w finale pojawi się dziewczynka, wnosząca ze sobą nadzieję na przyszłość.

Tomasz Miłkowski

Enda Walsh, „Ballyturk", tłumaczenie i reżyseria Przemysław Wasilkowski, produkcja niezależna, premiera w Teatrze Soho w Warszawie, 6 września 2019

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jędrzej Napiecek

KRÓL, KTÓRY UCIEKŁ

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019

O historii można pisać akademicko, czyli nudo; można też pisać na polityczne zamówienie i wtedy obok nudy mamy jeszcze żenadę. Można jednak pisać błyskotliwie i z humorem. Tak jak to w debiutanckiej powieści zrobił Jędrzej Napiecek. Losy Henryka Walezego, który polskiej korony nie chciał, odmalowuje bez taryfy ulgowej, wyśmiewa wydelikaconego pana, przy okazji kpiąc na potęgę z polskich i francuskich mitów. Mamy tu i bogobojny Wawel, i rozpasany Luwr, jest ciemnota rodzimej szlachty, a także chore fantazje francuskiego dworu. Szczególnym bohaterem powieści jest Jan Krasowski (postać historyczna!), bystry karzeł pałający żądzą zemsty. Konus, stając się szarą eminencją, prowadzi własną intrygę, która kończy się wielkim politycznym przekrętem. Jeżeli ktoś myśli, że dzisiejsza polityka to komedia, powinien sięgnąć po „Króla, który uciekł" – bawi dużo lepiej niż najnowszy film Vegi.

Rafał Pikuła

eprasa.pl 4b09e5477c

ZAJRZYJ TU

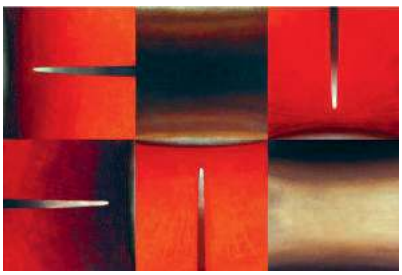

DEEP IMPACT
Stefan Gierowski i europejska awangarda lat 60.

Stefan Gierowski (rocznik 1925), wybitny abstrakcjonista, legenda awangardy malarskiej drugiej połowy XX w., w drugiej połowie lat 50. odszedł od malarstwa figuratywnego i rozpoczął współpracę z Galerią Krzywe Koło, w tamtym czasie jedyną galerią sztuki nowoczesnej. Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień artystycznych. Miał ogromny wpływ na całe pokolenia polskich malarzy. Nie nadaje swoim pracom tytułów, numeruje je cyframi rzymskimi. „Malarstwo zachłyśnięte dynamiką świata lat 60. Zafascynowane podbojem kosmosu. Owładnięte pędem zmian. Wibrujące witalnością. Wystawa (…) tworzy przestrzeń, w której obrazy polskiego artysty dialogują z twórczością czołowych malarzy zachodnioeuropejskich drugiej połowy XX w.", czytamy we wprowadzeniu do wystawy, którą można oglądać w Warszawie przy pl. Dąbrowskiego 8/11.

WARSZAWA, FUNDACJA STEFANA GIEROWSKIEGO, DO 15 LISTOPADA

GDYNIA – TEL AWIW

Gdynię i Tel Awiw mimo odległości łączy wiele podobieństw. Oba miasta powstały na początku XX w. i szybko stały się nowoczesnymi portami i kurortami o modernistycznej architekturze. Ale łączy je także wspólna, polsko-żydowsko historia. O czym przekonamy się dzięki nowej wystawie w POLIN, do udziału w której zaproszono Maurycego Gomulickiego (zaprojektował neon nawiązujący do symboliki obu miast), fotografa Wojciecha Wilczyka i malarkę Marię Kiesner. Wystawa związana jest z obchodami 100-lecia powstania Gdyni, 100-lecia założenia niemieckiej uczelni Bauhaus i wreszcie 110-lecia powstania Tel Awiwu. **Więcej: www.polin.pl/pl/gdynia-tel-awiw.**

WARSZAWA, POLIN, DO 3 LUTEGO

FESTIWAL

GRAND FESTIVAL RÓBREGE
im. Roberta Brylewskiego

Grand Festival Róbrege to najstarszy festiwal muzyki alternatywnej w stolicy. Od zeszłorocznej edycji dedykowany jest zmarłemu Robertowi Brylewskiemu, wielkiej postaci polskiej sceny undergroundowej. Ideą festiwalu sięgającego początku lat 80. było wyszukiwanie młodych buntowników, którzy nie liczą na sukces komercyjny, a ich muzyka ma pozytywny i autentyczny przekaz. Tym razem przedstawią go nam: Blok Warsaw Pact Records RÓBCZAD (ID, Deuter, Moskwa), November Project, Vienio Twarzova Orkiestra + Goście, Tabu i Organek.

Podobnie jak w minionych latach Róbrege odbędzie się w namiocie przed Pałacem Kultury i Nauki (od strony ul. Świętokrzyskiej). **Szczegóły: pl-pl.facebook.com/robrege.**

WARSZAWA, 28 WRZEŚNIA, OD GODZ. 17.00

BYLIŚMY

HRABINA PÓŁSCENICZNIE

Rozpoczęcie sezonu koncertowego Orkiestry Polskiego Radia wypadło szczególnie uroczyście, bo do Studia im. Lutosławskiego przyniesiono kilka dekoracji, solistów zaś ubrano w kostiumy z epoki Księstwa Warszawskiego. Zagrano i zaśpiewano operę „Hrabina" Stanisława Moniuszki, a tytułową postać wykreowała robiąca szybką karierę sopranistka Ewa Tracz. Krytycy po premierze pisali zgryźliwie, że treść dzieła to „dramat rozdartej sukni hrabiny". Podczas radiowego wykonania, którego można było słuchać na żywo na antenie Dwójki, nikt sukni nie nadszarpnął. Nie było też tancerzy, choć orkiestra zagrała muzykę do sceny baletowej. Polskie Radio zapowiada wydanie płyty audio z tą rzadko wystawianą operą, w której Moniuszko wykorzystał m.in. popularną pieśń „Pojedziemy na łów".

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Moniuszko, „Hrabina", dyrygent Michał Klauza, Orkiestra Polskiego Radia, Chór Filharmonii Narodowej, koncert 15 września 2019

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b09e5477c

Adam Jaśkow

30 lat polskiej kontrreformacji

Co roku organizatorzy przestrzegają, że to mogą być ostatnie Dni Świeckości, ale nigdy wcześniej te obawy nie były tak silne

W Polsce po roku 1989 najlepiej czułby się Roman Dmowski. To jego pogrobowcy rządzą sceną polityczną. Sam Dmowski balansował między deizmem a ateizmem, przed śmiercią podobno wrócił na łono Kościoła, postanawiając zapalić Panu Bogu ogarek. Jednak w 1928 r. ogłosił w manifeście „Kościół, naród i państwo", że „katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznym stopniu stanowi jej istotę. Usiłowanie oddzielenia u nas katolicyzmu od polskości, oderwania narodu od religii i Kościoła, jest niszczeniem samej istoty narodu". Przyznał Kościołowi rolę stabilizatora społeczeństwa, strażnika moralności. Po roku 1989 politycy, mniej lub bardziej świadomie, uczynili Kościół jednym z filarów władzy, instytucją, na której tę władzę opierają.

Od Magdalenki do konkordatu

Grę z Kościołem rozpoczęła już ekipa Wojciecha Jaruzelskiego. Tyle że wtedy była to gra interesów, w której czasem zyskiwała władza, a Kościół zawsze. W lata 90. Kościół wszedł jako akuszer nowego systemu, jego ociec chrzestny. Wszystkie decyzje okrągłostołowe zapadały wcześniej, w Magdalence, przy suto zastawionych stołach, pod bacznym okiem biskupów. W Pałacu *nomen omen* Namiestnikowskim, dziś siedzibie prezydentów RP, odbywało się teatrum na użytek pospólstwa.

Od każdego rządu biskupi otrzymywali, co chcieli. Tylko SLD w krótkich okresach swoich rządów (1993-1997 i 2001-2003) próbował się targować i stawiać warunki. Ale były to sytuacje epizodyczne.

Z kolei od PiS Kościół otrzymywał wszystko: nieruchomości, beneficja, pieniądze. I bezkarność.

Zaczęło się od religii na telefon. Jeden telefon biskupa do ministra wystarczył, by katecheza wróciła do szkół. Być może parę telefonów było potrzebnych, aby przygotować ustawę o ochronie życia poczętego. Życie po urodzeniu nie wymaga specjalnej troski. Nie wiemy, co było potrzebne do podpisania konkordatu, być może wystarczyła jedna kolacja z prymasem i audiencja u papieża.

Przyjęta w referendum konstytucja nigdy nie miała aprobaty biskupów, mimo że pisali ją po części członkowie Klubów Inteligencji Katolickiej, a do preambuły wprowadzono potwierdzenie istnienia Boga. Konstytucja dopuszcza wyrażanie opinii przez tych, którzy uznają inne systemy wartości, ale praktyka ostatnich lat pokazuje, że władza i wspierający ją biskupi niespecjalnie mają ochotę wysłuchiwać tych, którzy nie dostąpili łaski wiary.

Jak słusznie wypominają biskupi, konstytucja ani nie wprowadza rozdziału państwa od Kościoła, ani nie deklaruje świeckiego państwa. Wręcz przeciwnie, zapisy o poszanowaniu autonomii Kościołów, wzajemnej niezależności państwa i Kościołów przy deklaracji współpracy otwierają szerokie pole do interpretacji. A wprowadzenie do konstytucji zapisów o konkordacie dodatkowo podkreśla wyjątkową pozycję, jaką przyznano Kościołowi katolickiemu w Polsce.

Od konkordatu do traktatu akcesyjnego

Ratyfikacja konkordatu była pierwszą decyzją rządu Buzka, ostatniego rządu posolidarnościowego, który połączył działaczy dawnej opozycji. To był rząd Unii Wolności, dawniej Unii Demokratycznej, co jest poniekąd symptomatyczne. Otarło się o niego wielu aktywnych dziś polityków, wielu też zdążyło już zmienić przynależność partyjną. W tamtym rządzie Leszek Balcerowicz siedział ramię w ramię z Lechem Kaczyńskim, Bronisław Komorowski obok Kazimierza Michała Ujazdowskiego, Jan Szyszko obok Hanny Suchockiej.

Rząd powstał pod hasłem dokończenia transformacji. Przeprowadzono wiele zmian strukturalnych, m.in. wprowadzono system emerytalny, który dziś następcy tamtego rządu likwidują. Koszty obu transformacji ponieśli obywatele. Reformy rządu Buzka doprowadziły wszystkie tworzące go partie do upadku, ale politycy bez problemów przepłynęli do nowych partii, zasilając Platformę Obywatelską oraz Prawo i Sprawiedliwość. Fundamenty pod państwo klerykalne zostały jednak położone.

Po wyborach powstał rząd współtworzony przez SLD, który nie był w stanie, a po części nie miał w planach, odwracać reform rządu Buzka. Postawił sobie za zadanie wprowadzenie Polski do Unii Europejskiej. Unia miała być gwarantem polskie-

eprasa.pl 4b09e5477c

go dobrobytu, polskiej demokracji, polskiego bezpieczeństwa. Pamiętając o doświadczeniach związanych z referendum konstytucyjnym, SLD szukał europejskiego konsensusu. Niestety, opozycja albo histerycznie broniła Nicei – jak Jan Maria Rokita w imieniu Platformy Obywatelskiej – albo – jak świeżo powstałe na gruzach PC Prawo i Sprawiedliwość – forsowała koncepcję Europy narodów, czyli czegoś zupełnie przeciwnego niż integracja europejska. Leszek Miller zwrócił się więc do przewodniej siły narodu, czyli do Kościoła. Bruksela warta jest mszy – pomyślał, a może nawet i powiedział. Po raz kolejny biskupi katoliccy dostali okazję powiększenia swojej władzy i majątków. Symbolami Kościoła w Unii Europejskiej stali się Sławoj Leszek Głódź „walczący dla Chrystusa", prymas Józef Glemp i oczywiście prałat Henryk Jankowski.

Dni Świeckości 2019, Kraków, 24-29 września

Wtorek, 24 września
Godz. 18.00 – wernisaż wystawy prac graficznych Aleksandry Herzyk
Spółdzielnia Ogniwo, ul. Paulińska 28

Środa, 25 września
Godz. 19.00 – promocja książki Konrada Szołajskiego „Zlecenie – walka z szatanem"
Kawiarnia Literacka, ul. Krakowska 41

Piątek, 27 września
Godz. 19.00 – debata publiczna „Rok po »Klerze«"
Stowarzyszenie Kuźnica, al. Słowackiego 44

Sobota, 28 września
Godz. 11.00 – debata publiczna „Nauka albo śmierć"
Stowarzyszenie Kuźnica, al. Słowackiego 44
Godz. 14.00-16.00 – Marsz Świeckości pod hasłem „Świeckość – kocham i rozumiem"
Godz. 17.30 – debata publiczna „Polityka świeckości czy sojusz tronu i ołtarza"
Stowarzyszenie Kuźnica, al. Słowackiego 44

Niedziela, 29 września
Godz. 11.00 – otwarte mistrzostwa Polski w grze Kleropol (rejestracja o godz. 10.30)
Kawiarnia Literacka, ul. Krakowska 41

Szczegóły: https://www.facebook.com/events/416670419057722/

Dni Świeckości w 2017 r.

Biskupi domagali się już wtedy, by Unia Europejska gwarantowała życie od poczęcia do naturalnej śmierci, uznanie małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny oraz ochronę statusu prawnego religii, czyli np. nienaruszalność konkordatu. Jako zagrożenia dla Polski wskazywali laicyzację, materialistyczny styl życia oraz indyferentyzm religijny. Nie przeszkadzało to np. analizować podobieństwa Unii Europejskiej do Związku Radzieckiego. Owocem kompromisu między rządem Leszka Millera a Episkopatem w sprawie akcesji do Unii Europejskiej wydaje się Telewizja Trwam, która koncesję na nadawanie otrzymała 13 marca 2003 r., niespełna trzy miesiące przed referendum akcesyjnym. Podpisali ją Juliusz Braun, przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, oraz zapewne Włodzimierz Czarzasty – ówczesny sekretarz KRRiTV. Historia ma wredne poczucie humoru.

Od akcesji do Dni Świeckości

Po erozji obozu lewicy do władzy miał dojść POPiS, czyli nowa wersja koalicji AWS- UW… Jarosław Kaczyński dostrzegł jednak swoją szansę w Samoobronie. Sam rząd zorganizował i poniekąd sam zakończył. W międzyczasie w mediach szalał Roman Giertych, wtedy jeszcze prawomyślny poseł Ligii Polskich Rodzin. Najtrwalsze zmiany wprowadzone przez PiS w ciągu dwóch lat to likwidacja Wojskowych Służb Informacyjnych, powołanie Centralnego Biura Antykorupcyjnego oraz lustracja, która miała objąć niemal wszystkie osoby publiczne, a ostatecznie – po uchyleniu części przepisów przez Trybunał Konstytucyjny – objęła kandydatów na radnych.

Wzmożona aktywność LPR i PiS oraz późniejszy upadek rządu Jarosława Kaczyńskiego obudziły jednych, a ośmieliły drugich. Środowiska antyklerykalne i ateistyczne otrząsnęły się ze starych porażek. Zbiegło się to ze światową ofensywą czterech jeźdźców ateizmu.

Zaczęły powstawać grupy antyklerykalne, i to nawet w uznawanym za święte papieskie miasto Krakowie. Jedną z takich grup było Stowarzyszenie Wolnomyśliciele. Funkcjono-

FOT. ADAM MANTERYS

eprasa.pl 4b09e5477c

wało dosyć krótko (2008-2012), ale pozostawiło po sobie najciekawsze i największe w Polsce cykliczne wydarzenie antyklerykalne. Nieliczna, za to zdeterminowana grupka aktywistów zorganizowała Marsz Ateistów i Agnostyków. W królewsko-papieskim mieście Krakowie, ulicami, po których przechadzał się kard. Wojtyła. III Marsz Ateistów i Agnostyków w 2011 r. przekształcił się w I Dni Świeckości. W tym pamiętnym roku odbywał się wielki marsz w Londynie na rzecz świeckiej Europy i podobny, choć niestety mniejszy, w Krakowie. W tym samym roku, przymuszony kolejnymi skandalami i postępowaniami prokuratorskimi, premier Tusk zlikwidował Komisję Majątkową dla Kościoła Katolickiego. Stało się to po części dzięki aktywności władz Krakowa, które komisja ograbiała z cennych nieruchomości wystawianych na sprzedaż. Co prawda, rząd PO nie zamierzał zmieniać polityki wobec Kościoła, ale komisję szybko rozwiązał. Może dlatego duża część jej szarej działalności nie wyszła na jaw i chyba już nie wyjdzie.

Dziś

Żyjemy jakby w polskiej wersji powrotu do przeszłości. Skaczemy do czasów pierwszego rządu PiS, potem do tradycji sanacyjnych, a nad głowami wisi nam cały czas kontrreformacja. Taka symbioza władzy i Kościoła ostatni raz funkcjonowała chyba za Władysława Warneńczyka. Skończyło się to katastrofą dla Polski i króla, ale nie można powiedzieć, że Jarosław Kaczyński nie uczy się na błędach. Skoro wie, że nie może zostać ani prezydentem, ani prymasem, woli pozycję szachisty, przesuwa pionki po szachownicy, którą zresztą rysuje wedle własnych projektów. Czy na kryształowej współpracy prezesa z Episkopatem może się pojawić jakaś rysa?

Sporo się wydarzyło w ciągu ostatniego roku. Można było zobaczyć filmy „Kler" i „Tylko nie mów nikomu", można było przeczytać o prawdziwej historii prałata Jankowskiego i zobaczyć usuwanie pamiątek po ks. Eugeniuszu Makulskim, budowniczym bazyliki w Licheniu, a jak się okazało, słynącym również ze skłonności do pedofilii. Wydaje się, że zmieniło to postrzeganie Kościoła, ale chyba nie wpłynęło na postrzeganie władzy, która od Kościoła uzyskuje wsparcie.

Zaczynają się kolejne Dni Świeckości. Co roku organizatorzy przestrzegają, że może odbywają się już po raz ostatni. Nigdy wcześniej te obawy nie były tak silne. Tegoroczne Dni Świeckości znowu poświęcone są nauce, polityce i kulturze. Z zaproszonymi gośćmi będziemy rozmawiać o tym, że tylko wiedza naukowa pozwoli nam przetrwać, o ile zechcemy się nią posługiwać. O tym, czy „Kler" Wojciecha Smarzowskiego wpłynął na opinię publiczną. A także o tym, czy polskie partie są zdolne do zareagowania na negatywne zjawiska w Kościele. Imprezami towarzyszącymi będą wystawa prac graficznych Aleksandry Herzyk, dyskusja o najnowszej książce Konrada Szołajskiego na temat egzorcyzmów „Zlecenie – walka z szatanem" i pierwsze w Polsce mistrzostwa w nowej grze, Kleropol. Dyskusje poprowadzą członkowie zarządu Stowarzyszenia Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej, Monika Szymańska i Adam Jaśkow. Warto, byście pamiętali o nas, dokonując tegorocznych wyborów.

Adam Jaśkow

Od PiS Kościół otrzymywał wszystko: nieruchomości, beneficja, pieniądze. I bezkarność.

Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego 2019

Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego jest przyznawana przez Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska od 2012 r. osobom fizycznym i prawnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce. Tegoroczne nagrody wręczono 13 września. Kapituła w składzie: Aleksander Kwaśniewski (przewodniczący), Aleksander Gappa, Witold Gintowt-Dziewałtowski, Anna Grygierek, Riad Haidar, Krzysztof Janik, Adam Jarubas, Jacek Majchrowski, Jerzy Mazurek, Małgorzata Ochęduszko-Ludwik, Kazimierz Pałasz, Zbigniew Podraza, Włodzimierz Stępień, Witold Wróblewski, Jerzy Żmijewski, Janusz Żmurkiewicz i Jan Kazimierz Czubak (sekretarz) postanowiła przyznać następujące nagrody:

Nz. od lewej: Jan Kazimierz Czubak, Wiesław Szczepański, Andrzej Opala, Alicja Kowalska i Michalina Lulek-Majka (CIVITAS), Andrzej Bocheński, Jacek Majchrowski, Krzysztof Matyjaszczyk, Rafael Rokaszewicz (prezydent Głogowa).

1. **Kategoria Organizacja Pozarządowa: Stowarzyszenie CIVITAS**, Dąbrowa Górnicza,
2. **Kategoria Jednostka Samorządu Terytorialnego:** miasto **Głogów**,
3. **Kategoria Samorząd Województwa: Wiesław Szczepański**, przewodniczący Sejmiku Województwa Wielkopolskiego,
4. **Kategoria Samorząd Powiatowy: Andrzej Opala**, starosta łódzki wschodni, członek Komisji Rewizyjnej Związku Powiatów Polskich,
5. **Kategoria Samorząd Miejski: Krzysztof Matyjaszczyk**, prezydent Częstochowy, członek Zarządu Związku Miast Polskich,
6. **Kategoria Całokształt Działań na rzecz Samorządu Terytorialnego: Andrzej Bocheński**, radny Rady Miejskiej w Zielonej Górze.

W kategorii Firma Przyjazna Samorządowi kapituła postanowiła nagrody nie przyznać.

FOT. MAREK ŚWIĘS

eprasa.pl 4b09e5477c

Czy budżet na 2020 r. jest na miarę krajowych wyzwań?

W projekcie budżetu nie widać skutecznych działań na rzecz zmniejszenia nierówności dochodowych obywateli

Katarzyna Pietrzak

Premier poinformował, że przyszłoroczny budżet będzie miał zerowy deficyt. Wiele osób zastanawia się jednak, czy budżet faktycznie jest w dobrej kondycji i co jego treść oznacza dla pracujących.

Rządowi sprzyja przede wszystkim koniunktura gospodarcza. Dzięki wynikającym z niej wyższym dochodom podatkowym już tegoroczny budżet zostanie wykonany z niższym od planowanego deficytem. W kolejnym roku, podobnie jak w latach poprzednich, kondycja budżetu będzie zależeć od poziomu naszej konsumpcji. To bowiem podatek PIT, VAT i akcyza będą głównym źródłem przyszłorocznych dochodów podatkowych państwa. Konsumpcję ma pobudzać przede wszystkim program Rodzina 500+ rozszerzony o świadczenia dla osób posiadających jedno dziecko. Szczodrość rządu będzie mu się opłacać, ponieważ dzięki niej wzrosną dochody podatkowe budżetu państwa, i to aż o 6%. Dochody z podatku VAT wzrosną w porównaniu do tegorocznych o 14,7 mld zł, a z akcyzy o 3,4 mld zł. Ciekawa jest zwłaszcza informacja o przyszłorocznych dochodach z podatku PIT. Rząd bowiem chwali się zmianami podatkowymi, które mają być korzystne dla podatników i kosztowne dla budżetu. Obniżenie stawki podatku PIT z 18% do 17%, zwolnienie z tego podatku osób do 26. roku życia i podniesienie kosztów uzyskania przychodu mają kosztować budżet ok. 11 mld zł i być dowodem prospołecznej polityki budżetowej. Warto jednak zwrócić uwagę, że projekt budżetu zakłada jednocześnie wzrost dochodów z PIT. Oznacza to, że rosnące dochody obywateli, wynikające m.in. ze wzrostu wynagrodzeń, pozwolą nie tylko utrzymać, ale i zwiększyć w kolejnym roku dochody z podatku PIT.

W projekcie budżetu nie widać skutecznych działań na rzecz zmniejszenia nierówności dochodowych obywateli, które są wyzwaniem, jeśli weźmie się pod uwagę choćby poziom wynagrodzeń, skalę skrajnego ubóstwa oraz konstytucyjną zasadę mówiącą o potrzebie urzeczywistnienia w kraju sprawiedliwości społecznej. Niestety, w przyszłym roku system podatkowy nadal będzie bardziej sprzyjał osobom o najwyższych dochodach. Obowiązywać będzie stawka podatku PIT w wysokości 32%, choć OPZZ od lat postuluje wprowadzenie dodatkowej stawki i progu podatkowego dla osób o najwyższych zarobkach. Także zasady dotyczące kwoty wolnej od podatku nie zostaną zmienione, a przecież w niewielkim stopniu korzystają z niej obecnie osoby zatrudnione na umowę o pracę. W projekcie budżetu nie widać też zmian wysokości stawek podatku VAT, chociaż skutki ich podwyższenia dotykają od dawna osoby o najniższych zarobkach, bo ich głównymi wydatkami są żywność i utrzymanie mieszkania.

Budżet można było przedstawić jako zrównoważony, ponieważ rząd w niewielkim stopniu zwiększa wydatki w kolejnym roku (zaledwie o 3%). I znów pozornie można to uznać za dobrą strategię, jeśli chodzi o kondycję budżetu. Jednak jeśli popatrzeć na braki w finansowaniu usług publicznych dla obywateli, np. żłobków i przedszkoli czy opieki długoterminowej dla osób starszych i wsparcia dla bezrobotnych, okaże się, że taka polityka nie może być uznana za prospołeczną. Rosnące zatrudnienie pozwala na niższą w kolejnym roku dotację z budżetu dla Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, jednak rząd i tak chce mniej wydać na zasiłki macierzyńskie i chorobowe. Ponadto przewidziano co prawda w budżecie środki na wzrost płac sfery budżetowej (106%), ale w ocenie OPZZ jest to wzrost niewystarczający. Skumulowany wzrost inflacji w latach, w których płace w budżetówce były zamrożone, wynosi bowiem ok. 15%. Dlatego domagaliśmy się wzrostu płac w budżetówce o co najmniej 15%. Analiza wydatków budżetu wskazuje poza tym, że część tych wydatków będzie musiała być pokrywana z budżetów samorządów. Subwencja ogólna dla nich co prawda rośnie, ale wobec nowych zadań, zmian w edukacji i potrzeb zdrowotnych obywateli można założyć, że nie pozwoli ona samorządom na pokrycie wydatków i jeśli będą chciały inwestować w rozwój, będą musiały się zadłużać.

W przyszłym roku system podatkowy nadal będzie bardziej sprzyjał osobom o najwyższych dochodach.

Gdy rząd chwali się zerowym deficytem, nie dodaje, że zamierza uzyskać dochody z nowych podatków i jednorazowych wpływów. Opodatkowanie wydobycia ropy naftowej i gazu, wzrost stawki akcyzy na alkohol i wyroby tytoniowe czy wprowadzenie opłaty recyklingowej to tylko niektóre zmiany mające zwiększyć dochody państwa w przyszłym roku. Także zmiany w systemie emerytalnym związane z likwidacją OFE i wprowadzeniem pracowniczych planów kapitałowych czy sprzedaż uprawnień do emisji dwutlenku węgla i częstotliwości związanych z technologią 5G zasilą w kolejnym roku kasę państwa. Czy taki kształt budżetu w kolejnym roku może zadowalać pracowników? Koszty utrzymania państwa będą ponosić głównie oni, a firmy w związku ze zmianami podatkowymi, takimi jak opłata recyklingowa, będą przerzucać opłaty na konsumentów. Jeśli weźmie się pod uwagę rosnącą inflację, można uznać, że w 2020 r. warunki bytowe pracujących nie poprawią się w zadowalającym stopniu.

Katarzyna Pietrzak jest głównym specjalistą w Zespole Polityki Gospodarczej OPZZ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b09e5477c

Otyłość – choroba jak każda inna

Dziewięciu na dziesięciu chorych na otyłość nie jest winnych swojej choroby

Rozmawia Michał Sobczyk

Ile prawdy jest w stwierdzeniu, że każdy waży tyle, na ile sobie zasłużył? Innymi słowy, że otyłość jest ceną, którą płacimy za niezdrowy tryb życia?

– Choć jestem pacjentką, a nie lekarzem, wiem z całą pewnością, że otyłość jest skomplikowaną chorobą przewlekłą, z której nie sposób wyleczyć się samemu. Chorobę otyłości wyzwala bardzo wiele czynników, w tym środowiskowych, czyli nieprawidłowe odżywianie, znikoma aktywność ruchowa, picie alkoholu i palenie tytoniu, ale również np. leki zażywane na inne schorzenia. Ważne są czynniki metaboliczne oraz hormonalne, wśród których najistotniejsze zdaniem badaczy są zakłócenia pracy osi hormonów głód-sytość. Tworzą ją dwa hormony: grelina, która mówi naszemu mózgowi: „Idź jeść", oraz leptyna, która mówi mu: „Stop, jesteś najedzony". Im bardziej zaawansowana otyłość, tym mocniej zakłócone funkcje wspomnianych hormonów; czasami dochodzi wręcz do tego, że grelina wysyła do mózgu ciągły sygnał: „Jesteś głodny, jesteś głodny!".

Prawie każdy ma w najbliższym otoczeniu kogoś, kto na otyłość zachorował pomimo racjonalnego odżywiania się, uprawiania sportu itd.

– Prof. Magdalena Olszanecka-Glinianowicz, prezes Polskiego Towarzystwa Badań nad Otyłością, należąca do najbardziej uznanych na świecie specjalistów w zakresie leczenia tej choroby, mówi wprost, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć chory nie jest winny jej wystąpienia. Przyczyny zachorowania na otyłość są zawsze bardzo indywidualne, dlatego że czynników, które mogą ją wywołać, jest bardzo wiele. W związku z tym obiegowa opinia, że „X jest gruby, bo za dużo je, a za mało się rusza", jest bardzo krzywdząca.

Trzeba być ponadto świadomym, że otyłość, z którą mamy obecnie do czynienia, różni się od tej, która występowała jeszcze 50 czy 60 lat temu. Według mnie ludzie współcześnie chorujący na otyłość są po prostu ofiarami rozwoju cywilizacyjnego.

Mówimy o ok. 650 mln osób w skali świata i ok. 7 mln w Polsce.

– Wielu jest przekonanych, że krajem, w którym największa część społeczeństwa choruje na otyłość, są Stany Zjednoczone. Okazuje się, że to nieprawda – największe odsetki chorych są notowane w wyspiarskich państwach na Pacyfiku. Ciekawy przykład to Nauru, gdzie na otyłość choruje ponad 60% populacji. Stała się ona problemem zdrowotnym i społecznym dopiero w latach 80., kiedy mieszkańcy zaczęli rezygnować z tradycyjnego sposobu odżywiania i przerzucili się na produkty wysoko przetworzone. Podsumowując, nie ulega wątpliwości, że otyłość jest chorobą. Gdyby nią nie była, nie trafiłaby do Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-10 Światowej Organizacji Zdrowia. Przypominam – kod choroby otyłości to E66. W XXI w. twierdzenie, że otyłość jest np. defektem estetycznym, świadczy o skrajnej ignorancji.

Jaka jest wiedza lekarzy rodzinnych na temat przyczyn otyłości i prawidłowych metod jej leczenia?

– Kiedy w 2014 r. Fundacja Osób Chorych na Otyłość OD-WAGA rozpoczynała działalność, jedną z pierwszych kwestii, które podnosiliśmy, było kompletne nieprzygotowanie polskich lekarzy do leczenia nadwagi i otyłości. Już bowiem przy nadwadze wymagana jest wizyta u lekarza – nie u trenera fitness czy dietetyka – który powinien zdiagnozować, jakie czynniki wpłynęły na to, że pacjent zaczął przybierać na wadze, oraz ustalić plan leczenia.

Kolejny problem to brak w polskim lecznictwie specjalizacji lekarza obesitologa, czyli eksperta od leczenia nadwagi i otyłości. Wprowadzono ją już w wielu krajach Europy Zachodniej, ale także np. na Węgrzech i w Rumunii. Przy tylu milionach chorych Polaków jest ona absolutnie niezbędna. Europejskie Towarzystwo Badań nad Otyłością w ogłoszonej w 2015 r. deklaracji mediolańskiej powiedziało wprost: czas profilaktyki otyłości już dawno się skończył, najwyższa pora zacząć leczyć chorych.

Ilu lekarzy w Polsce ma do tego kompetencje?

MAGDALENA GAJDA

– założycielka i prezeska Fundacji Osób Chorych na Otyłość OD-WAGA, społeczny rzecznik praw osób chorych na otyłość w Polsce. Od 2003 r. związana zawodowo ze środowiskiem organizacji pozarządowych działających na rzecz osób z niepełnosprawnością. Od dzieciństwa choruje na otyłość.

FOT. JUSTYNA RADZYMIŃSKA/CAMERA WORK STUDIO

eprasa.pl 4b09e5477c

– Specjalistów z zakresu obesitologii, z międzynarodowym doświadczeniem, mamy w kraju niewielu. Natomiast na początku 2018 r. Polskie Towarzystwo Badań nad Otyłością, nie czekając na kroki ze strony Ministerstwa Zdrowia, uruchomiło specjalny program szkolenia lekarzy z diagnozowania i leczenia tej choroby. Mowa o lekarzach POZ, ale też o specjalistach zajmujących się schorzeniami będącymi powikłaniami otyłości: diabetologach, ortopedach, kardiologach, endokrynologach itd. Pod adresem certyfikacjaptbo.pl można znaleźć kontakt do certyfikowanych lekarzy zajmujących się leczeniem nadwagi i otyłości. Jest ich już ponad 400, co oznacza, że dostęp pacjentów do profesjonalnego leczenia otyłości znacząco się poprawił. Na tyle, że wspomniana inicjatywa PTBO, której nasza fundacja jest partnerem, została w tym roku uznana za najlepszy program szkoleniowy w dziedzinie obesitologii w Europie.

Czy szkolenia certyfikacyjne obejmują wyłącznie kwestie medyczne?

– Jedne z zajęć są poświęcone przeciwdziałaniu dyskryminacji chorych na otyłość. Podpowiadamy lekarzom, w jaki sposób zwracać się do takich osób, np. żeby nie używać słowa otyły, od dawna uważanego za stygmatyzujące, i co najważniejsze – jak rozmawiać z nimi o chorobie otyłości. Reasumując, choć nadal brakuje obesitologów, pewne postępy w zakresie leczenia nadwagi i otyłości niewątpliwie są. A będą jeszcze większe, jeżeli odpowiedniego leczenia zaczną się domagać sami pacjenci. Dlatego apeluję, by mówić swoim lekarzom o programie certyfikacji i zachęcać ich do udziału w nim.

Jak się leczy otyłość?

– Nadwagę i otyłość I i II stopnia – dwiema metodami. Pierwsza, tzw. zachowawcza, polega na trwałej zmianie sposobu żywienia i indywidualnie dobranej aktywności ruchowej. Druga metoda to farmakoterapia. Ale uwaga! Chodzi tutaj nie o tzw. suplementy diety, ale o leki na receptę, wspierające redukcję masy ciała i przyjmowane pod kontrolą lekarza. Mamy w Polsce trzy takie. Jeśli chodzi o otyłość III stopnia, tzw. otyłość olbrzymią, można ją leczyć dwiema pierwszymi metodami albo chirurgicznie.

O otyłości III stopnia mowa w przypadku osób, których wskaźnik masy ciała, czyli BMI, wynosi ponad 40. Na przykład kobieta mająca 160 cm wzrostu i ważąca 110-120 kg jest już chora na otyłość olbrzymią. W takich przypadkach najlepsze efekty daje leczenie operacyjne, czyli chirurgia bariatryczna. W 2016 r. nasza fundacja, wspólnie z chirurgami bariatrami, wywalczyła, że wszystkie operacje bariatryczne w Polsce są refundowane przez NFZ. Mogą z nich skorzystać pacjenci z otyłością III stopnia, a od tego roku także osoby z otyłością II stopnia i schorzeniami będącymi powikłaniami otyłości, takimi jak cukrzyca typu 2 czy nadciśnienie tętnicze. Operacje bariatryczne, a właściwie – jeszcze bardziej nowoczesna nazwa – metaboliczne, są przydatne w leczeniu cukrzycy typu 2.

Polska chirurgia bariatryczna jest uważana za jedną z najlepiej rozwijających się w Europie. Jesteśmy na bieżąco ze światową czołówką, każdą nową metodę operacyjną wdraża się również w naszym kraju. Z drugiej strony w zeszłym roku operacyjnemu leczeniu otyłości poddano zaledwie 3,5 tys. osób, podczas gdy na otyłość III stopnia choruje ok. 700 tys. Polaków.

W polskim lecznictwie nie ma specjalizacji lekarza obesitologa, czyli eksperta od leczenia nadwagi i otyłości.

Wszystkie operacje bariatryczne w Polsce są refundowane przez NFZ.

OD-WAGA wskazuje ponadto, że system leczenia nadwagi i otyłości jest niekompletny.

– Lekarze powinni mieć zapewnione wsparcie ekspertów w zakresie żywienia, psychologów i fizjoterapeutów. Jeżeli chodzi o pierwszą z tych specjalności, konieczne jest odpowiednie szkolenie zajmujących się nią osób, a ponadto wprowadzenie porad dietetycznych dla pacjentów z nadwagą i otyłością do koszyka świadczeń gwarantowanych. Bo nie oszukujmy się, wielu chorych nie stać na regularne wizyty u dietetyka. Równie ważne jest prawne uregulowanie tego zawodu. Obecnie dietetyką, czyli leczeniem poprzez żywienie, zajmują się nawet osoby po kilkutygodniowych kursach.

Fizjoterapeuci to kolejna grupa zawodowa, którą należy szkolić. Doszło bowiem do kuriozalnej sytuacji, że tzw. odchudzaniem, czyli leczeniem nadwagi i otyłości, zaczęli się zajmować np. trenerzy fitness, często do tego nieupoważnieni, bez żadnych wskazówek ze strony lekarza obesitologa.

Do tego dodajmy konieczność uporządkowania rynku suplementów diety oraz ograniczenia dostępności nielegalnych środków wspomagających odchudzanie, masowo sprzedawanych przez internet. I wreszcie kwestia szczególnie mi bliska jako specjaliście ds. public relations – potrzeba prawnego uregulowania przekazów reklamowych „środków odchudzających". Obecnie wiele z nich zawiera komunikaty dyskryminujące lub obiecujące gruszki na wierzbie.

W jakich sferach życia społecznego, poza lecznictwem, konieczne są systemowe działania państwa i samorządów na rzecz osób chorujących na otyłość?

– Na pewno zmian wymaga system wsparcia społecznego, w tym praktyka orzekania o niepełnosprawności. Chciałam podkreślić, że nie dążymy do tego, by otyłość została uznana za kolejny rodzaj niepełnosprawności. Rzecz w tym, że lekarze orzecznicy z ZUS czy powiatowych/miejskich zespołów ds. orzekania o niepełnosprawności, wydając opinię na temat stanu zdrowia pacjenta, często nie biorą pod uwagę jego kondycji wynikającej z choroby otyłości. Tymczasem zwłaszcza osoby z tzw. otyłością skrajnie olbrzymią (o wadze od 150 kg) nie są w stanie wychodzić z domu, znaleźć pracy, samodzielnie się utrzymać itd.

Kolejny ważny temat to dostosowywanie przestrzeni publicznej. Tutaj również nie domagamy się żadnych szczególnych przywilejów. Chcielibyśmy po prostu, aby potrzeby osób z otyłością były uwzględniane w realizowanych programach dostępności – miasta bez barier. Weźmy choćby siłownie miejskie, które powinny być dostępne dla wszystkich, tymczasem maksymalne obciążenie

eprasa.pl 4b09e5477c

wykorzystywanego w nich sprzętu wynosi np. 120 kg. Z jednej strony, zarzuca się nam, że się nie ruszamy, z drugiej – nie daje się nam do tego narzędzi. Kluby fitness też niechętnie patrzą na klientów z dużą otyłością, bo nie potrafią z nimi pracować albo uważają, że inni klienci nie będą zadowoleni z faktu, że ćwiczą razem z osobami z otyłością.

Sytuację chorujących na otyłość pogarszają stereotypy na ich temat.

– Postrzega się nas jako osoby, które za dużo jedzą, za mało się ruszają, są leniwe, niezorganizowane, powolne i w związku z tym nie zasługują na pomoc. Takie krzywdzące wyobrażenia przekładają się na wszystkie sfery życia społecznego.

Od wielu pacjentów słyszałam, że zrezygnowali z wstawiania zdjęcia do swojego CV, bo kiedy to robili, nie byli zapraszani na rozmowy kwalifikacyjne. Znam wiele hardkorowych przypadków dyskryminacji, takich jak powiedzenie wprost osobie ubiegającej się o pracę, że odstraszałaby klientów. Pamiętam historię absolwentki turystyki, uprawiającej kilka sportów, której odmówiono zatrudnienia w sklepie sportowym, bo jest chora na otyłość.

Osoby zdrowe nie uświadamiają sobie wielu przykrości spotykających chorych.

– Dobrym przykładem jest dostęp do ubrań. Oczywiście wiele firm produkuje je także w większych rozmiarach, tylko nie bardzo rozumiemy, dlaczego w sklepach często są one sprzedawane w osobnych sekcjach, co jest formą stygmatyzacji. Ja jako klientka chora na otyłość chciałabym robić zakupy razem ze szczupłą przyjaciółką i brać z tych samych wieszaków ciuchy o kilka numerów większe.

Jakiś czas temu jedna z firm produkujących odzież sportową wprowadziła do swoich sklepów manekiny osób noszących duże rozmiary. Posypały się komentarze, że w ten sposób promuje otyłość. Czy pokazywanie, jak wygląda część klientów, dostosowanie asortymentu do ich potrzeb, to promowanie otyłości?

OD-WAGA postawiła sobie za cel pokazanie osobom z nadwagą i chorującym na otyłość, że są pełnoprawnymi członkami każdej społeczności, że zasługują na szacunek.

– Jeżeli one same nie będą o to walczyć, my za nie nic nie zdziałamy. Cieszę się, gdy widzę, jakie negatywne reakcje wywołują już w mediach społecznościowych treści, które w jakikolwiek sposób wykluczają osoby z większą masą ciała. Oznacza to, że świadomość społeczna rośnie.

Myślę, że to zasługa dobrej roboty wykonanej przez fundację przez te pięć lat, ale zarazem efekt tego, że przy takiej skali epidemii otyłości ta choroba jest blisko nas. Jeśli sami na nią nie chorujemy, to choruje ktoś z naszej najbliższej rodziny, przyjaciele, koledzy z pracy itd. Stykając się z tymi ludźmi, zaczynamy rozumieć, że otyłość to nie jest taka prosta sprawa, jak się wydaje.

Obiegowa opinia, że „X jest gruby, bo za dużo je, a za mało się rusza", jest bardzo krzywdząca.

W jaki sposób najlepiej okazywać wsparcie osobom zmagającym się z tą chorobą?

– Po pierwsze, nie mówić im, by „wzięły się za siebie", bo to jak powiedzieć osobie z depresją, żeby „wzięła się w garść". Badania pokazują, że tego typu negatywne komentarze, powszechnie uważane za łagodny sposób nakłaniania osób z otyłością, by zaczęły się leczyć, wywołują efekty odwrotne do zamierzonych. Słyszący je chory zaprzestaje jakichkolwiek działań.

Nie chcemy jednak także głaskania po głowach i mówienia nam, jacy to jesteśmy chorzy. Zależy nam na tym, żeby otyłość była traktowana jak każda inna choroba. Jeżeli w naszym otoczeniu ktoś ma kaszel czy jakieś bóle, zaczynamy się interesować: „A może ci w czymś pomóc, czy byłeś u lekarza, może wspólnie poszukamy dobrego specjalisty?". Podobnie powinno być w przypadku chorych na otyłość. Zamiast „Zobacz, jak ty wyglądasz!", powiedzmy bliskiej nam osobie, że jeśli obawia się wizyty w poradni, chętnie będziemy jej towarzyszyć.

Chcemy, żeby traktować nas normalnie: nie komentować naszego wyglądu, nie zaglądać nam do talerzy ani do koszyków sklepowych. Być może wymusi to powszechność otyłości, gdyż obecnie w wielu krajach to osoby zdrowe zaczynają, niestety, powoli stanowić mniejszość. Mam nadzieję, że świat zacznie dostrzegać nasze, osób chorych na otyłość, potrzeby, a manekiny przedstawiające klientów z większymi pokładami tkanki tłuszczowej przestaną wzbudzać sensację. Chociaż wolałabym, aby choroba otyłości nie zbierała takiego żniwa i duże manekiny nie były potrzebne.

Michał Sobczyk

eprasa.pl 4b09e5477c

Trampowisko

Edward Mikołajczyk

Trampy wyszły z użycia. Już nie zdarza się, aby na widok podrdzewiałej łajby, wyraźnie sfatygowanej wałęsaniem się pomiędzy nieodległymi przystaniami, ktoś krzyknął na nabrzeżu: o, zobacz, tramp! Chyba rodzice przestali czytać Conrada, jak tylko Rok Conradowski się skończył, bo nie ma już tego słowa na lądzie ani tych pożytecznych stateczków na wodzie. Razem poszły na dno.

W ogóle tramp wychodzi z mody. Owszem, są jeszcze ludzie włóczący się po świecie, może nawet jest ich więcej niż kiedykolwiek, ale nie słyszę, by ktoś się przedstawiał jako tramp. Na krakowskim Kazimierzu dostałem w poniedziałek „Południki szczęścia" Elżbiety i Andrzeja Lisowskich, książkową sumę pierwszych 30 lat wspólnego podróżowania tego małżeństwa po świecie. Zostało mi jeszcze kilkadziesiąt stron lektury, a dotąd nie spotkałem ani jednego trampa. Lisowscy co prawda włóczą się profesjonalnie, więc nie wypada, by się „wyrażali" o swoim zajęciu, ale kto choć raz w życiu spotkał tę kolorową parę, musiał pomyśleć: trampowie, trampka i tramp. Dzisiaj powie na ich widok po prostu: Lisowscy, a jak solidnie zaprzyjaźniony, to krócej: Liski.

Zanim się ucieszę, że tramp się wyprowadza z naszego języka, a zaraz potem podejmę próbę zatrzymania go w celu zatrudnienia na nowym stanowisku znaczeniowym, muszę uczynić dwie uwagi. Pierwsza: nasz tramp, czyli słowo, o którym piszę, zdradza dźwiękowe podobieństwo do brzmienia nazwiska aktualnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, dlatego oświadczam, że to jest okoliczność przypadkowa, zbieżność zresztą też. Druga uwaga dotyczy słowa trampka. Kiedyś pojedynczy trampek nazywał się w języku polskim trampka, czyli był rodzaju żeńskiego. Dlatego oświadczam, że kiedy piszę trampka, kobietę mam na myśli, nie but.

Moim zamiarem jest poddanie trampa operacji dobrej zmiany, czyli zabiegowi językowo-klinicznemu podobnemu do eksperymentu, który na żywym ciele i języku narodu wykonuje od pewnego czasu dr Jarosław Kaczyński, wynalazca metody i ordynator na oddziale Polska, człowiek niesłusznie pominięty w ostatnim rozdaniu Ig Nobli. W skrócie można powiedzieć, że największym osiągnięciem dr. Kaczyńskiego jest takie wywindowanie bariery immunologicznej u pacjentów kliniki, że nikt już Polakom, a zwłaszcza dobrym Polakom, nie wmówi, że czarne jest czarne, a białe jest białe.

Pierwszym zbiorowym efektem tego czteroletniego eksperymentu jest dzisiejszy obraz kampanii wyborczej. Dawne błonia elekcyjne zamieniły się w jedno wielkie trampowisko i do tego właśnie określenia potrzebny jest tramp. Chcę, aby został w ojczyźnie, ale poddał się operacji dobrej zmiany i jak wszystko w naszym kraju znaczył coś zupełnie innego niż dotychczas.

Dobrze wiem, że język nie słucha się nawet tak genialnych językoznawców jak generalissimus Józef Stalin czy chorwacki generał Franjo Tudjman, więc nie ma co zuchować i rozkazywać mu z pozycji kaprala podchorążego. Ale, z drugiej strony, gdyby się udało, może dostałbym awans na sierżanta...

Dlatego mimo przeciwwskazań ruszam na wojnę o nowego trampa w języku polskim. Wzywam na pomoc zaprzyjaźnione armie z obszaru języka serbsko-chorwackiego. *Trampić* po serbsku znaczy przefrymarczyć, a sama *trampa* to po słoweńsku *zamenjavna kupczija*, czyli handel wymienny. W rosyjskim nie znalazłem ani trampa ani trampy, co oznacza, że na ten sojusz nie będzie można liczyć; oni się nie trampią, używają też ładnego, ale innego wyrażenia – *machniomsia*.

Będzie ciężko. Pamiętam walkę Władysława Kopalińskiego o podomkę, która miała zastąpić szlafrok. W efekcie częściowo zastąpiła tylko damski szlafroczek albo rozpinaną sukienkę nakładaną na nocną bieliznę. Z trampieniem może być lżej. Ten nowy termin niczego nie zastępuje. Powinien być samodzielnym bytem językowym na określenie zupełnie nowego zjawiska, które zajęło miejsce opuszczone przez demokrację w tegorocznej kampanii wyborczej. Ten pozaustrojowy wynalazek dr. Kaczyńskiego już zaimplantowany do państwowego organizmu bywa nazywany demokracją nieliberalną, co znaczy tyle samo co wolny najmita. Wynalazca zaprzestał numerowania Rzeczypospolitych, bo nieoczekiwanie powiódł mu się eksperyment z monarchią z nim samym jako nieodpowiedzialnym, bo nieznanym sprawcą w roli króla. Jest gotów strampić wszystko za dozgonną miłość poddanych.

To nie mogłoby się wydarzyć w Luksemburgu. ■

Pozaustrojowy wynalazek dr. Kaczyńskiego bywa nazywany demokracją nieliberalną, co znaczy tyle samo co wolny najmita.

FOT. BLASTRY.PL

eprasa.pl 4b09e5477c

Edukacja braci

O miłości i seksie w Omanie

Anna Romaniuk

Lajla ma złotą cipkę. Na wydepilowanej ciemnej skórze skrzy się tatuaż. Misterne esy floresy wiją się ze wzgórka łonowego głęboko między uda. Wiem to, bo po zaledwie godzinnej rozmowie zapytała, czy chcę ją zobaczyć nago.

Chcę.

Zrzuca luźną tunikę. Pod spodem nie ma niczego.

Modlę się, żeby nie kazała mi zrobić tego samego.

10 dni wcześniej loguję się na omańskim Tinderze, międzynarodowym serwisie randkowym. Są na nim zdjęcia kobiet i mężczyzn. Kciuk w prawo na ekranie smartfona: podoba mi się, kciuk w lewo: następny. Jeśli akurat przypadnę do gustu temu, którego sama wybrałam: bingo! Serwis połączy nas w parę, a reszta zależy od nas. Działa to tak samo wszędzie na świecie. Tyle że na omańskim Tinderze jest mało kobiet. W związku z tym każda cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W ciągu pierwszej godziny oznacza mnie ponad 90 zainteresowanych mężczyzn. Przyglądam się ich zdjęciom i wyławiam Omańczyków. Większość z nich jest ubrana po europejsku, w dżinsy, czapkę z daszkiem, T-shirt. Pozują na tle drogich samochodów, na jachcie, w czasie wakacji w Europie. Łatwo się jednak zorientować, że są Omańczykami. Zdradzają idealnie wymodelowane brody i charakterystyczne imiona. Nikogo nie udają, można nawet łatwo rozpoznać, gdzie w Maskacie zrobiono zdjęcie. (…)

Wszystkie nokturny Fajsala

Wśród wielu chętnych do flirtu trafiam na Fajsala. Wyróżnia się na tle innych. Posługuje się słowami zamiast emotikonów. Pisze świetną angielszczyzną. Rozmawiamy nie tylko o miłości czy seksie, ale o podróżach i sytuacji gospodarczo-politycznej Omanu. I o Polsce. Bo Fajsal wie, gdzie leży nasz kraj. Jest wielkim miłośnikiem Chopina. Zastanawiam się, co taki facet robi na Tinderze. Umawiamy się na kawę.

Fajsal wybiera na nasze spotkanie miejsce publiczne i bardzo europejskie, kawiarnio-piekarnię Paul w centrum handlowym. Dziwię się, ale szybko okazuje się, że to celowa strategia. W ten sposób wygląda to zupełnie niewinnie. Daje gwarancję, że kobieta zachowa się przyzwoicie, a w razie czego można po prostu się pożegnać i wyjść z francuską bagietką pod pachą. (…)

Ma koło czterdziestki, jest wysoki i dystyngowany. Mówi po angielsku z idealnym brytyjskim akcentem. Jak się okazuje, studiował w Londynie. Ma wypielęgnowane dłonie i brodę prosto od barbera. Na kawiarnianym stoliku leżą kluczyki od ferrari. Musi być bardzo zamożny. Widzę, że nudzi go rozmowa ze mną. Rozgląda się. Obawiam się, że zaraz wyjdzie. Ucinam więc jałową pogawędkę i przyznaję się, że jestem reporterką z Polski i nie szukam erotycznej przygody. Trudno, najwyżej grzecznie się pożegna. Fajsal jednak widocznie się rozluźnia.

– To zmienia postać rzeczy. Cóż, nie obraź się, ale nie jesteś do końca w moim typie.

– Za stara? – upewniam się.

– Nie ująłbym tego tak dosadnie, ale tak.

Śmiejemy się. Opowiada chętnie. (…)

Fajsal ma 42 lata, jest najstarszy z trzech braci. Ma żonę i trójkę dzieci, najstarszy syn właśnie kończy szkołę średnią. Jego rodzina należy do najbogatszych w Omanie. Dorobili się w przemyśle wydobywczym, a teraz inwestują w turystykę i handel detaliczny. Fajsal jest właścicielem kilkunastu sklepów w centrum handlowym, w którym się spotkaliśmy. Między innymi salonu z biżuterią, gdzie pracuje Lajla ze złotym tatuażem. Ale zanim dojdziemy do historii wytatuowanej Filipinki, rozmawiamy o miłości i seksie w Omanie. W sumie spotykamy się cztery razy. Za trzecim razem wreszcie wychodzimy poza ogólniki. Fajsal najwyraźniej lubuje się w swojej roli przewodnika i tłumacza omańskiej obyczajowości. Jest wobec mnie protekcjonalny, ale chętnie opowiada o sobie.

– Kiedy miałem 17 lat, ojciec zabrał mnie do malezyjskiej prostytutki. To był luksusowy burdel w willi nad morzem. Kilkanaście półnagich kobiet, przesadnie umalowanych. Na fotelach, na tarasie, przy barze. To był 1995 r., nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie było jeszcze internetu, a omańskie dziewczyny nosiły się dużo skromniej niż teraz. Zachodnich, roznegliżowanych turystek było mało. Nie mogłem się napatrzeć. Od razu zauważyłem też, że ojciec był tam stałym bywalcem. Wiedzieli, co lubi, po wszystkim podano jego ulubione słodycze. Nie, nie gorszyło mnie to. Uznałem, że to tak samo część jego życia, jak drogie samochody. Ojciec miał chłodne relacje z moją matką i ze swoją drugą żoną. Rzadko je nawet widywał, mieszkaliśmy w ogromnym domu. A potrzeby najwyraźniej miał duże. Jak i ja. (…)

– Sama dziewczyna była drobniutka i przestraszona, chyba bała się równie bardzo jak ja. Nie pamiętam jej imienia. Tylko, że miała długą, poszarpaną bliznę na łydce. Wszystko trwało może trzy minuty. Przez cały czas patrzyła tępo w sufit. Na koniec zaczęła chichotać. Zbiegłem na dół, ojciec poklepał mnie po ramieniu

Lajla zapytała, czy chcę ją zobaczyć nago. Chcę. Zrzuca luźną tunikę. Pod spodem nie ma niczego.

eprasa.pl 4b09e5477c

i zjedliśmy razem kolację. Tak wyglądała moja inicjacja seksualna.

To nic nadzwyczajnego. W Omanie seks przedmałżeński jest zabroniony. Chłopcy i młodzi mężczyźni często więc odbywają swój pierwszy raz z prostytutką albo ze służącą: sprzątaczką, praczką czy kucharką. Kilku moich rozmówców na czacie wspomniało, że doświadczyli pierwszego seksu z nianią, która ich wychowała i wciąż mieszka w rodzinnym domu. Ci z bogatszych domów często tracą dziewictwo podczas wakacji lub nauki za granicą.

Fajsal ma dwóch dużo młodszych braci – 25-letnich dziś bliźniaków Rahima i Dżamala. W 2013 r. po przedwczesnej śmierci ojca postanowił sam zająć się ich edukacją seksualną. Bardzo chciał im zafundować pierwszy raz inny niż jego własny. Lepszy.

– Wybrałem Lajlę, bo znałem ją dłuższy czas. Była młodziutka, niespełna 23 lata. I piękna. Miała też doświadczenie. Pracowała od dwóch lat w salonie masażu i wiedziałem, co potrafi. Nie była wulgarna, jak inne dziewczyny, nigdy się nie narzucała, nie wyciągała pieniędzy. Urocza, skromna, chętna – dokładnie taka, jakiej szukałem.

Wszystko dokładnie zaplanował. Wykupił Lajlę od jej sponsora, czyli Omańczyka, właściciela salonu masażu, gdzie pracowała, który załatwił jej zaproszenie i wizę. Zatrudnił ją jako pomoc w salonie biżuterii w jednym z hoteli należących do rodziny. Dzięki temu całkowicie legalnie załatwił jej wizę. Miała bardzo określone zadanie. Zająć się edukacją erotyczną braci bliźniaków, którzy byli mniej więcej w jej wieku, ale zupełnie niedoświadczeni. Zrobić to delikatnie. A dodatkowo oczywiście dostarczać przyjemności Fajsalowi. (…)

Na omańskim Tinderze jest mało kobiet.

Sąsiadka fryzjera

Lajla mieszka w Madinat as-Sultan Kabus, willowej dzielnicy Maskatu. Przeniosła się tam, gdy sąsiedzi w pierwszym mieszkaniu zrobili się podejrzliwi. Nie wydarzyło się nic szczególnego, nikt nie doniósł, ale czuła na sobie pytające spojrzenia. Ostatecznie jak wytłumaczyć, że sprzedawczyni z salonu jubilerskiego może sobie pozwolić na tak luksusowe mieszkanie? Jak ukryć regularne wizyty braci? Fajsal szybko zdecydował o zmianie lokum. Teraz Lajla mieszka w połówce domu w spokojnej bocznej uliczce. To część bliźniaka, który należy do rodziny. W drugiej połowie mieści się ekskluzywny zakład fryzjerski dla mężczyzn, który ma niewielu stałych klientów. A dokładnie trzech: Fajsala i jego dwóch braci. Teoretycznie dwie części domu i ogrodu są osobne, dzieli je kamienny mur z dorodną bugenwillą. W rzeczywistości dom jest połączony w środku, z ulicy nie widać więc, jak mężczyźni wchodzą do Lajli. Rolety i okiennice zakrywają resztę.

Ja wchodzę od ulicy podobnie jak służąca, dostawcy, sporadycznie siostra Lajli, jeśli przyjedzie z Filipin z wizytą. Ona niczego nie wie, podobnie jak reszta rodziny. Jak twierdzi Lajla, na nic ta wiedza by się im przydała, wystarczy, że regularnie posyła im pieniądze. A nie jest to mała kwota: 400 riali, czyli 4 tys. zł. To dwa razy tyle, ile zarabia na Filipinach jej brat, zawodowy kierowca. Trzy razy tyle, ile wynosi renta matki, która, gdyby wiedziała, nie zniosłaby takiej hańby. (…)

Pijemy kawę na zacienionym patio. Przestronny dom Lajli jest urządzony w omańskim stylu. Dywany, ciężkie meble, rzeźbione artefakty na ścianach, plecione tace na owoce, ceramika z Bahli. Bogato, ale wygląda normalnie. Nie wiem zresztą, czego dokładnie się spodziewałam: skórzanych pejczy na wieszaku czy obciągniętej czerwonym aksamitem leżanki? Niczego takiego nie ma. Są za to cztery sypialnie, każda urządzona w nieco innym stylu. Bo każdy z trzech braci jest nieco inny. Jasnozłota sypialnia należy do Lajli, na zasłonach i poduszkach dominuje motyw motyla. Kamienna podłoga, ciężkie lejące się brokatowe zasłony. Złoty półmrok.

U Fajsala: kremowa pościel z satyny, dwa gięte fotele, wysokiej klasy sprzęt muzyczny.

U Dżamala: na ścianach zdjęcia krajobrazów Omanu, łóżko drewniane, proste, w kącie worek z kijami golfowymi.

U Rahima: łóżko z pikowanym wezgłowiem, ogromne lustro, szezlong pod oknem, liczne gadżety, w tym fioletowe dildo porzucone na szklanej szafce nocnej.

Lajla oprowadza mnie po swoim domu jak po muzeum. To przyjechało z Tajlandii, to włoski kamień, szwajcarska armatura. Lajla jest dumna z tego, co osiągnęła.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b09e5477c

– Zobacz, za to wszystko płaci Fajsal. Mam służącą, która sprząta i pierze, przychodzi codziennie. W moim domu często trzeba zmieniać pościel, myć łazienki, musi być idealnie. Jest też ogrodnik i młody Hindus na posyłki. Oraz Fatima, osobista masażystka. Dba o moje ciało. Rzeczywiście, Lajla jest bardzo zadbana. Idealnie smukła, drobna i niewysoka. Tylko wydatne usta, mocno umalowane rzęsy i długie paznokcie sprawiają, że nie wygląda na nastolatkę. Tatuaż na łonie okazuje się henną z brokatem. Fatima nie tylko potrafi masować, ale zakłada Lajli sztuczne rzęsy i rysuje skomplikowane wzory henną. Na dłoniach, stopach i podbrzuszu. Zawsze w złocie, które Lajla lubi ponad wszystko. (…)

– Lubię to, że każdy z nich jest inny. Przy każdym z nich i ja jestem inna. Fajsal kocha masaże, dużo czasu na tym spędzamy. Jest wyrafinowany, kocha muzykę. Nigdy się nie śpieszy. Zna się na rzeczy, miał wiele kobiet i umie o nie zadbać. Z kolei Dżamal jest wstydliwy, mimo że znamy się już prawie pięć lat. Uczyłam go wszystkiego. Nie wiedział, jak się za to zabrać, był taki nieporadny. W jego przypadku byłam prawdziwą nauczycielką. Teraz lubi wpaść, żeby uciąć sobie drzemkę, przyjeżdża do mnie w przerwie na *lunch*, gotuję dla niego. Najczęściej jego ulubione *adobo* – jagnięcinę (…). Rahim lubi tańczyć, wygłupiać się, jest najbardziej otwarty w łóżku. Zabawki, żele, wiązanie – ciągle coś wymyśla. Łatwo się nudzi. Ma ciężką rękę, ale rzadko posuwa się za daleko. Nie skarżę się Fajsalowi, bo po co? Dla Rahima oczywiście nie byłam pierwsza, śmiał się trochę z brata, że taki naiwny. Ostatnio rzadziej mnie odwiedza. Jest na Tinderze, chodzi do klubu Al-Ghazal, bierze też dziewczyny z hoteli, choć wie, że Fajsal tego nie popiera, bo za bardzo rzuca się w oczy. Ale to przecież tylko takie młodzieńcze wybryki.

W praktyce nie ściga się singli, chyba że zachowują się nieprzyzwoicie w miejscu publicznym.

Każdy z braci ma swoje ustalone pory wizyt – precyzyjny grafik, żeby uniknąć wchodzenia sobie w drogę. Fajsal bywa regularnie dwa razy w tygodniu. On ma zawsze pierwszeństwo. Rahim wpada trzy razy w tygodniu, czasem zdarza mu się przyjść dodatkowo, w nocy, gdy wraca z imprezy: pijany, głośny. Ale na prośbę starszego brata przestał. Dyskrecja to podstawa tego układu. Byłoby fatalnie, gdyby wpadli, bo sąsiedzi skarżyli się na hałasy. Dżamal nie wykorzystuje wszystkich swoich dni, bardzo dużo pracuje. Choć ostatnio bywa częściej, bo w listopadzie się żeni. Radzi się Lajli w sprawie biżuterii dla przyszłej żony. (…)

Chińszczyzna na wynos

Kara za seks pozamałżeński wynosi dla obu stron od trzech miesięcy do dwóch lat więzienia. Plus grzywna minimum 100 riali. W praktyce nie ściga się singli, ani kobiet, ani mężczyzn, chyba że zachowują się nieprzyzwoicie w miejscu publicznym. Albo ktoś doniesie, a to się zdarza. To samo dotyczy cudzołożników obu płci, więzienie to sporadyczne przypadki.

W wypadku prostytucji klient najczęściej unika kary cięższej niż grzywna. Co innego kobieta. Prostytuujące się cudzoziemki są deportowane po kilku tygodniach aresztu. Jak udało mi się dowiedzieć nieoficjalnie, z tego właśnie powodu w połowie lipca 2018 r. ambasada Tajlandii zorganizowała przyśpieszony powrót do domu 88 swoich obywatelek. Samolotem rejsowym. Nikt nie chciał rozmawiać o szczegółach, ale wyobrażam sobie te rzędy kobiet na pokładzie wypełnionego turystami samolotu do Bangkoku. Wszystkie młode i piękne, z biletem w jedną stronę.

Oprócz salonów masażu prostytutki można znaleźć także na ulicy. W Maskacie, w hinduskiej dzielnicy Ruwi, wystarczy krótki spacer w okolicach największego postoju taksówek, żeby już o ósmej rano natknąć się na naganiaczy. Oferują tanie – od 10 do 40 riali – kobiety z Bangladeszu, Filipin, Indonezji, a także wysoko cenione, podobno szczególnie piękne, dziewczyny z Kerali, stanu na północno-zachodnim wybrzeżu Indii. Za nie płaci się najwięcej, nawet 50 riali. Policja raz po raz urządza naloty na obskurne mieszkania, w których tłoczą się dziewczyny. Prawie wszystkie na wizach turystycznych, często nielegalnie, bo wiza wygasła.

Fragment książki Agaty Romaniuk *Z miłości? To współczuję. Opowieści z Omanu*, Wydawnictwo poznańskie, Poznań 2019

eprasa.pl 4b09e5477c

„Dobra zmiana” pożera i nagradza

Sprawa ambasadora w Japonii, która ciągnęła się przynajmniej od pół roku, w końcu została zamknięta. Wspominaliśmy już o tym, parę miesięcy temu głośno było w MSZ o liście ambasadora w Japonii Jacka Izydorczyka skierowanym do Kancelarii Prezydenta.

„W związku z nagłym i natychmiastowym w skutkach odwołaniem mnie w dniu 19 czerwca br. (decyzję otrzymałem w dniu 21.06) z funkcji ambasadora RP w Japonii, zwracam się z uprzejmym pytaniem o powód podjętej decyzji”, pisał do prezydenta Izydorczyk, przedstawiając historię swojej wojny z dyrektorem generalnym MSZ Andrzejem Papierzem i innymi urzędnikami MSZ.

Zanim Izydorczyk został odwołany, w marcu tego roku na inspekcję do Tokio przyjechał wspomniany Andrzej Papierz, główny kadrowy w MSZ, oficer UOP. Ta inspekcja wypadła dla Izydorczyka źle, czego efektem było jego nagłe odwołanie. Nagłe – bo był on ambasadorem od stycznia 2017 r., a że zwyczajowo ambasadorem jest się cztery lata, powinien nim być przynajmniej do roku 2021.

Wyrazy współczucia? Nie za bardzo… Izydorczyk to specjalista od prawa karnego, z dyplomacją nie miał wcześniej nic wspólnego. No, chyba że rozumie się przez to znajomość z Witoldem Waszczykowskim. Bo właśnie on wysunął Izydorczyka na ambasadora w Tokio. A to dlatego – jak tłumaczono w Sejmie – że ów znakomity kandydat studiował dwa lata w Japonii, poza tym trenuje kendo, dzięki czemu czuje japońską kulturę.

Naprawdę trzeba wielkiej dozy optymizmu, by zakładać, że ten kapitał pozwoli mu sprawnie funkcjonować w nowej roli.

Oto zresztą krótki opis jego działalności: „Izydorczyk był lojalnym ambasadorem »dobrej zmiany«. Skrupulatnie sprawdzał życiorysy zastanych na placówce pracowników, a nowych zatrudniał tylko po linii politycznej lojalności. W kontaktach z dyplomatami japońskimi oraz tamtejszymi firmami atakował opozycję i krytykował ostatnie ćwierćwiecze przemian”. Ta gorliwość niewiele mu pomogła. „Dobra zmiana” pożarła swoje dziecię.

Na jego miejsce jedzie teraz zawodowy dyplomata, Paweł Milewski, sinolog, były ambasador w Australii, dyrektor Departamentu Azji i Pacyfiku. Z punktu widzenia dyplomacji osoba szyta na miarę.

Ale ciekawsze w tym wszystkim jest coś innego. Jeszcze latem mówiono, że ambasadorem w Japonii ma być nie Milewski, ale wiceminister Maciej Lang. O! To byłoby wydarzenie, bo do Tokio na ambasadora jeżdżą albo dyrektorzy departamentu, albo japoniści (Izydorczyk był więc wyjątkiem in minus).

Jednakże Lang do Japonii nie pojechał, ma za to zostać ambasadorem w… Bukareszcie. Byłaby to dziwna nominacja. Po pierwsze, Lang jest specjalistą od Azji, a nie od Europy. Po drugie, Rumunia to nie Japonia. Po trzecie, w ogóle wysyłanie Langa na placówkę trzeciego rzutu to jak zesłanie.

A dodajmy, że w kierownictwie MSZ (minister i pięciu wiceministrów) jest on jedynym, który był na placówce i życie przepracował w dyplomacji. Reszta w porównaniu z nim to amatorzy. Łącznie z ministrem Czaputowiczem. I teraz to grono dyletantów chce się pozbyć jedynego zawodowca.

Może wtedy będzie im razem przyjemniej. Ale czy przyjemniej będzie nam?

Attaché

Trójkąt Ilemi to terytorium sporne, do którego zgłaszają roszczenia Sudan Południowy, Kenia i Etiopia, ale czasami największym zagrożeniem są po prostu krowy.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 4b09e5477c

JOLKA

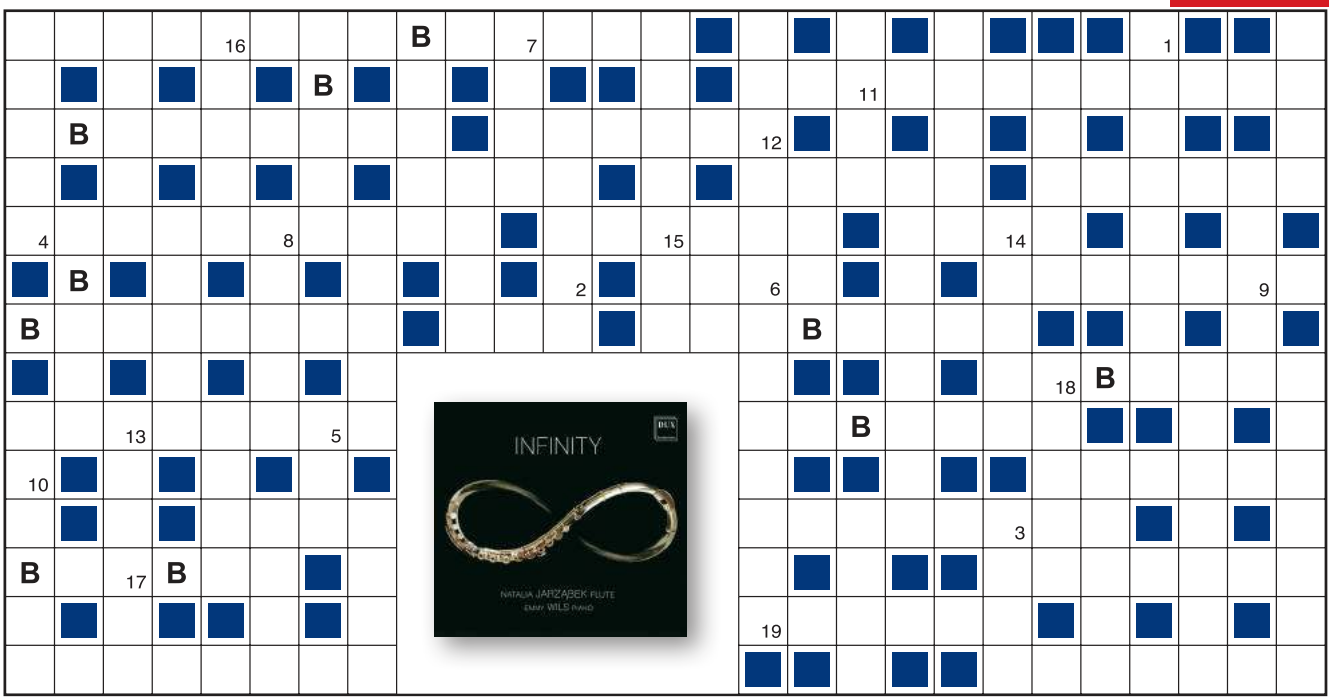

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery B ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- dostaje propozycje ról
- …miłosna to amorka
- fioletowa, przezroczysta odmiana kwarcu
- ślepa do ćwiczeń w strzelaniu
- ogłoszenie zamieszczone na łamach
- koń ze stadniny w Michałowie
- tkanina na podszewki, suknie
- oprych
- ich skrzynia w aucie lub przełajowe
- największe miasto Kraju Basków
- buraczkowy chrzan
- wewnątrz opony rowerowej
- choroba albo skala muzyczna
- wyzyskiwacz
- krótki utwór łączący elementy prozy artystycznej, naukowej i publicystycznej
- nauka o lekach
- z niego kiełbaski, karkówka, warzywa
- panuje na szkolnej przerwie
- w archipelagu Balearów, rozbrzmiewa muzyką elektroniczną
- i Turgieniew, i Mazepa
- drugie imię Sztaudyngera
- łódka taka sama wprost i wspak
- Ambroży, który uczył przędzenia liter
- przeciwieństwo roztropności
- ziele wzbudzające miłość
- linia poligonalna
- najpierw otwarcia, potem o wszystko, ostatni o honor
- „…za miasto Arras” Szczypiorskiego
- bywają jak postronki
- dostaje pałę za pałą
- zaraźliwa choroba psów
- dorobkiewicz, nowobogacki
- saharyjska lub spokoju
- poprzednik Trumpa
- składane przedwyborcze
- nieprzemakalna tkanina na kurtki
- przyrząd lekkoatletyczny Marii Andrejczyk
- …Smerf – najważniejszy w wiosce
- Fronczewski lub Adamczyk
- …kosmiczny to wahadłowiec
- mały może się bać podwyżek płacy minimalnej
- i kopane, i nadmorska wieś letniskowa
- …krwi – zabijanie
- analizowanie kwestii
- himalajska o różowym zabarwieniu
- wynik dodawania liczb
- dar, lwi pazur
- niemała kabała
- na nim deseń
- pstryk i w mig królik znikł
- Konstytucyjny lub Stanu
- z ręcznika na głowie
- skrzynia na głosy
- jeden z pięciu w limeryku
- Gołas albo Myśliwski
- miasto rodzinne Lecha Janerki
- wzniesienie usypane przez wiatr
- edukacyjna dla malca
- tumult, wrzawa
- zapalany olimpijski
- choroba źrebiąt jak złe kobiety
- po nich dożynki

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-927”. Do rozlosowania CD „Infinity” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 29 września 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-924” z 8 września: *Cudownie jest nie musieć.* Nagrody otrzymują: Bronisława Balcarek z Cieszyna, Inga Grymińska z Warszawy, Krzysztof Ostrowski z Mieleszyna.

eprasa.pl 4b09e5477c

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Nawet latem, gdy życie medialne zamiera, notujemy tyle naruszeń wolności słowa, że moglibyśmy nimi zapewne obdzielić kilkanaście niefasadowych demokracji w Europie. Cztery lata temu nie uwierzyłbym, że będę kiedyś tak wyliczał: Superstacja nie wyemitowała rozmowy z pisarzem, gdyż mówił szczerze, co sądzi o partiach politycznych w Polsce. Efektem było zwolnienie z pracy dziennikarza przeprowadzającego wywiad. Posłowie nie zajęli się raportem Rady Języka Polskiego na temat propagandy w paskach informacyjnych telewizji publicznej, bo temat był niewygodny dla większości sejmowej. Znani i nagradzani dziennikarze radiowi, którzy nie podobają się nowym szefom nominowanym przez upartyjnioną Radę Mediów Narodowych, są albo wyrzucani, albo odsuwani do pracy w archiwum.

charaktery **JACEK KRZYSZTOFOWICZ,** TEOLOG I PSYCHOTERAPEUTA

Siedziałem na fotelu u fryzjera. W pewnej chwili do zakładu wszedł chłopak, na oko licealista, i umówił się na… manicure. Byłem w takim szoku, że o mało z fotela nie spadłem. Wydało mi się to kompletnie „nienormalne". Pomyślałem, że gdyby to się wydarzyło w czasach, kiedy ja chodziłem do szkoły średniej, i gdyby zobaczył go któryś z jego kumpli, to chyba musiałby zmienić szkołę. Zapytałem strzygącego mnie fryzjera, czy często zdarzają się teraz takie sytuacje. Odpowiedział, że tak, oczywiście, młodzi mężczyźni coraz częściej umawiają się na zabiegi kosmetyczne.

Twój STYL **KASIA SMUTNIAK,** MODELKA, AKTORKA

Mustang – dziś prowincja Nepalu, a kiedyś niezależna monarchia buddyjska, to maleńki region graniczący z Tybetem. Pamiętam, że kiedy 20 lat temu przyjechałam tam pierwszy raz, uderzyło mnie, że w wiosce jest tak cicho. Nie było tam dzieci. Wyjechały do szkół w Dolinie Katmandu, o kilka dni drogi, z dala od rodziców. Na miejscu brakowało szkoły. To był czteroletni poligon. Wznosiliśmy budynek od zera. Materiały mogliśmy przewozić tylko przez trzy miesiące w roku, kiedy wysychała woda na dnie lokalnej rzeki – Mustang to jeden z największych kanionów w świecie. Olbrzymie ciągniki ledwo pokonywały drogę. Zbieraliśmy pieniądze, szukaliśmy sprzymierzeńców. Szkoła działa od lipca 2016.

PLAYBOY **ANDRZEJ GRABOWSKI,** AKTOR

Podczas kręcenia filmu czy serialu na planie jest wiele osób, aktorzy są w znamienitej mniejszości. A krzeseł jest tylko pięć. Gdy ja kończę swoją scenę i mam te 15 minut przerwy, chciałbym odpocząć, ale nie mam gdzie, bo krzesło okupuje młody oświetleniowiec czy kierowca. I niech sobie siedzi, ale jeśli na tym krześle jest napisane „Andrzej Grabowski", to jak on mnie zobaczy, to ustąpi mi miejsca.

Pszczoły też mogą mieć fajne domy. Pierwszy ul zbudowany z klocków Lego.

FOT. EAST NEWS

Aby język giętki…

DANIEL OLBRYCHSKI O MARYLI RODOWICZ

Zakochałem się w Maryli. No ale poszła mi w szkodę. Poparzyła mnie, ale ciągle mam dla niej masę czułości i podziwu dla jej talentu.

JAROSŁAW GOWIN O TELEWIZJI

Nie oglądam telewizji w ogóle. A moi znajomi nie znajdują specjalnej satysfakcji ani z oglądania „Faktów", ani „Wiadomości".

PROF. JADWIGA STANISZKIS O ZDJĘCIACH DONALDA TUSKA

Jest przeczołgany. Widać na nich jego zdziwioną, zakłopotaną, wręcz błazeńską twarz.

PIOTR OSĘKA O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Cała jego autobiografia jest opowieścią o tym, gdzie, kto i kiedy nie podał mu ręki, odwrócił się, nie wydał stałej przepustki, zlekceważył.

PROF. ANDRZEJ FRISZKE O DWÓCH OPCJACH

Ci, którzy chcą gonić Zachód, kontra obrońcy tradycji, swojskości, naszości.

DOROTA SZELĄGOWSKA O TRENDACH

Trwa bum na PRL. W końcu zauważyliśmy, że za komuny istnieli wspaniali projektanci. I że od lat 60. niczego wielkiego nie wymyślono.

ANDRZEJ BARGIEL O K2

Tkwienie przez trzy miesiące pod K2 w oczekiwaniu na okno pogodowe to nie dla mnie. Nie czuję tego.

KATARZYNA ZIELIŃSKA O MĘŻU

Od dziewięciu lat co wieczór gotuje dla mnie coś dobrego. Nawet jak wracam z teatru po godz. 23, kolacja czeka na stole.

JANUSZ JÓZEFOWICZ O SYNU JAKUBIE

Od aplauzów jest publiczność. Ja zwracam uwagę na niedociągnięcia i motywuję do rozwoju.

EMILIA KRAKOWSKA O MĘŻCZYZNACH

Mężczyzna jest dla mnie wytworem zagadkowym. Popełniłam cztery małżeństwa i w każdym za dużo z siebie dawałam.

eprasa.pl 4b09e5477c

I kto się śmieje ostatni?

Josh Thompson, copywriter z nowozelandzkiego oddziału globalnej agencji reklamowej FCB, na rozmowie w sprawie redukcji swojego etatu pojawił się z… klaunem o imieniu Joe. Tamtejsze prawo umożliwia bowiem pracownikom zabieranie ze sobą na trudne spotkania osób, które stanowią dla nich wsparcie emocjonalne. Kiedy szef wręczał Thompsonowi wypowiedzenie, jego towarzysz m.in. odgrywał scenę płaczu i robił pudla z balonów. Copywriter ma już nową pracę, a jego była agencja stała się obiektem żartów.

Jest solidarność na tym świecie

Gdy 28-letnia Jade Savage po trzyipółgodzinnej podróży przybyła na miejsce randki, mężczyzna poznany na Tinderze stwierdził, że od ich poprzedniego spotkania miesiąc temu „chyba trochę przytyła". Po krótkiej wymianie zdań mieszkanka angielskiego Leicester zdecydowała się wsiąść do pociągu i wrócić do domu. Mężczyzna obiecał jej zwrot 90 funtów za bilety, ale nie dotrzymał słowa. W tej sytuacji kobieta ogłosiła internetową zbiórkę „na butelkę wina i kawał boczku". Internauci zdali egzamin z empatii – na jej konto wpłynęło ponad 900 funtów.

Nosi mąż razy kilka

Litewskie małżeństwo Vytautas Kirkliauskas i Neringa Kirkliauskiene drugi raz z rzędu obroniło mistrzostwo świata w noszeniu żon. Podczas tegorocznego czempionatu, który od 1994 r. odbywa się w Sonkajärvi w Finlandii, krzepki Litwin pokonał tor przeszkód z małżonką przerzuconą przez ramię w świetnym czasie 66 sekund. Nagrodą za zwycięstwo było tyle piwa, ile waży pani Kirkliauskiene. W ten sposób potwierdziła się zasada, że w małżeństwie nie ma lekko, ale mimo wszystko opłaca się wysilać.

Piłkarski poker to już przeżytek

Australijskie władze aresztowały sześć osób w wieku 19-21 lat w związku z ustawianiem wyników rozgrywek w... komputerową strzelankę. Gracze w Counter-Strike: Global Offensive uzgadniali przebieg spotkań przed obstawianiem zakładów bukmacherskich. Ostatecznie zostali zwolnieni do domów, jednak sprawa jest w toku, a władze zapewniają, że przestępstwa związane z e-sportem będą traktowane z pełną powagą. Drżyjcie, cyfrowi „Fryzjerzy"!

Skłodowska się chowa

Na Harvardzie wręczono tegoroczne Ig Noble, czyli nagrody za odkrycia naukowe, które „najpierw śmieszą, a potem skłaniają do myślenia". W dziedzinie biologii uhonorowano międzynarodowy zespół, którego część stanowią Polacy: Agnieszka Górecka, Aleksandra Urbanek i Tomasz Paterek. Ustalił on, że namagnesowane karaluchy rozmagnesowują się znacznie wolniej, gdy są martwe. Wśród laureatów znaleźli się także autorzy publikacji na temat asymetrii temperatury krocza nagich i ubranych francuskich listonoszy oraz Japończycy, którzy obliczyli, ile śliny produkuje w ciągu dnia typowe pięcioletnie dziecko.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 4b09e5477c

Takimi okazami z pewnością można się najeść. Na jesiennej wystawie kwiatowej w Harrogate nie tylko kwiaty robiły wrażenie.

Dromader by się uśmiał

Dość nieoczekiwanie zakończyła się bójka na laski, którą na placu św. Piotra w Watykanie stoczyły dwie żebrzące, schorowane staruszki. W trakcie zażartej potyczki o datek jednej z turystek najwyraźniej zapomniały o swoim *emploi* – wyprostowały się, a spod ubrań wypadły im sztuczne garby. Oszustkom, które zostały wyproszone z placu przez ochroniarzy, obca zapewne była nadwiślańska mądrość: pracuj, a garb sam ci wyrośnie.

Przeliczył się

– Niemożliwe, że wyszło aż tyle. Specjalnie chodziłem z kalkulatorem – oświadczył ochroniarzom 46-letni mieszkaniec gminy Bodzechów, przyłapany na kradzieży w jednym z marketów w Ostrowcu Świętokrzyskim. Mężczyzna planował ukraść towary o łącznej wartości nieprzekraczającej 500 zł, za co groziłby mu najwyżej mandat o tej samej wysokości. Ponieważ artykuły znalezione w jego torbie były warte łącznie 506 zł, jego postępek zakwalifikowano jako przestępstwo zagrożone karą do pięciu lat więzienia. Tak się kończy nieuważanie na lekcjach arytmetyki!

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, ANONIMOWY INTERNAUTA, MEM NEWS.PL, OLI SCARFF/AFP/EAST NEWS (2)

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 4b09e5477c

FIGURA KREŚLONA

NU, AKT

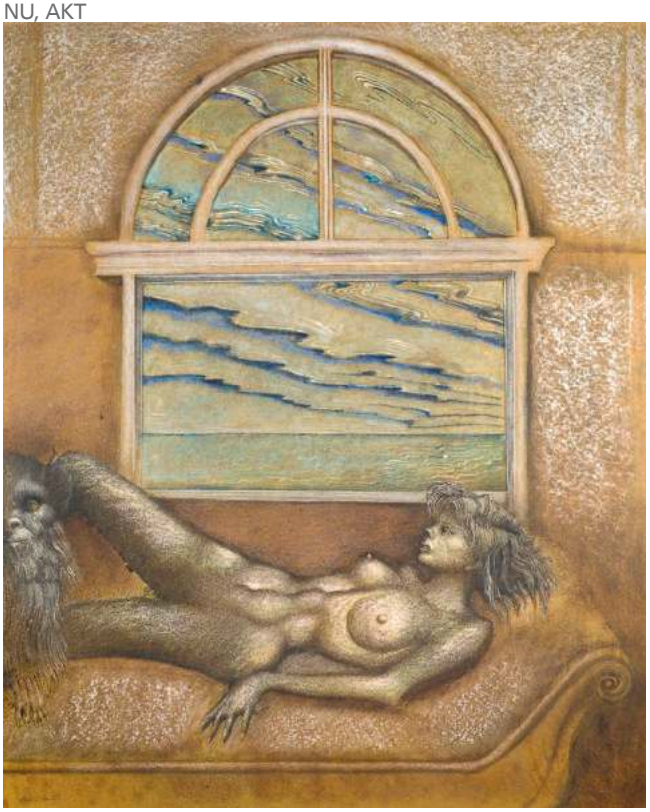

Wystawa skupia się na relacji między kobietą a mężczyzną, wyłaniającej się z imponującego bestiarium Jana Lebensteina. Pierwiastek kobiecy jest dominujący i wyrazisty, męski zaś podległy, usłużny i zezwierzęcony. Świadomie nakreślona nierównowaga zakłada pewną sadomasochistyczną grę, odbicie mrocznych fantazji i niespełnienia. Podkreśla ją dwoistość przedstawień: ciało i przebijający przez nie szkielet, ludzkie postawy i zwierzęce rysy. Relacja pani-niewolnik osadzona w mitycznym, barokowym entourage'u oddaje ponadczasową fantazję na temat związków.

Jan Lebenstein
Capriccia

Wejman Gallery
Warszawa, ul. Jaracza 8
do 15 listopada

CALME PLAT II, CICHE MIESZKANIE II

BEZ TYTUŁU

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4b09e5477c

MFF w Cork
Konkurs Główny

Najlepszy Film
Nagroda Główna
MFF W MIŃSKU

MFF W GIJON
Najlepszy Reżyser
Najlepsza Scenografia

OSCAR
NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY
RUMUŃSKI KANDYDAT

tiff.
MFF w Toronto
Konkurs Główny

MFF
w Karlowych Warach
Kryształowy Glob

EUROPA CINEMAS LABEL

„NIE OBCHODZI MNIE, CZY PRZEJDZIEMY DO HISTORII JAKO BARBARZYŃCY"

reżyseria Radu Jude
(„Aferim!")

Ostra jak skalpel satyra polityczna

W KINACH OD 27 WRZEŚNIA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

eprasa.pl 4b09e5477c

TEATR CAPITOL

PRZEKŁAD
BOŻENA SŁAWIŃSKA

O co biega?

PHILIP KING

REŻYSERIA
MARCIN SŁAWIŃSKI

Światowy hit !

PREMIERA WRZESIEŃ 2019

MARCIN TROŃSKI · MICHAŁ ROLNICKI · ALEKSANDRA DOMAŃSKA · STEFAN PAWŁOWSKI · ANNA CZARTORYSKA · WOJCIECH MAJCHRZAK

PIOTR ZELT · MAREK KALISZUK · VIOLA ARLAK · MACIEJ DAMIĘCKI · OLGA BOŃCZYK · TOMASZ GĘSIKOWSKI

DELFINA WILKOŃSKA · RAFAŁ SZAŁAJKO · KATARZYNA PTASIŃSKA · PIOTR MIAZGA · DARIUSZ WIETESKA

• KUP BILET TEATR CAPITOL 2019 • teatrcapitol.pl

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 4b09e5477c